IMPERIUM HABSBURGÓW
W czasach świetności należała do nich niemal połowa Europy

„PULP FICTION" OKUPACJI
Jak Niemcy karmili Polaków podłymi powieścidłami

CESARZOWA Z DOMU PUBLICZNEGO
Rzym nie znał drugiej tak zdemoralizowanej władczyni jak opętana seksem Messalina

NR 9(139)/2024 WRZESIEŃ 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031
ISSN 2299-9515

Na krawędzi armagedonu

ATOMOWA WOJNA PRL

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA PETER MATTHEWS: „WOJNA WYWIADÓW 1914-1945"

Wojna wywiadów 1914-1945. Walka w eterze

Podczas pierwszej wojny światowej szybko rozwijająca się łączność radiowa objęła swym zasięgiem całą kulę ziemską. Równocześnie pojawiła się nowa dziedzina wywiadu wojskowego, zajmująca się szyfrowaniem, odszyfrowywaniem oraz analizowaniem tysięcy radiowych telegramów i meldunków. Radiooperatorzy i kryptolodzy ze sławnego ośrodka wywiadowczego brytyjskiej Admiralicji, znanego jako Room 40, położyli podwaliny pod osiągnięcia kryptoanalityków z Bletchley Park z lat drugiej wojny światowej. Podczas tej wojny zmagania wywiadów sygnałowych, znanych też pod angielską nazwą Sigint (od signals intelligence), wiązały się z wykorzystaniem różnych maszyn szyfrujących, a agenci i kryptolodzy z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Japonii starali się wzajemnie przechytrzyć, stosując coraz bardziej złożone kody. Swój udział w złamaniu kodu słynnej niemieckiej Enigmy mieli też Polacy.

Ta książka odkrywa tajemnice historii wywiadu sygnałowego podczas obu wojen światowych. Dopuszcza do głosu bezpośrednich uczestników zdarzeń: niemieckich kryptologów pracujących po wojnie dla aliantów, brytyjskich specjalistów od łamania szyfrów, a także amerykańskich i rosyjskich kryptoanalityków.

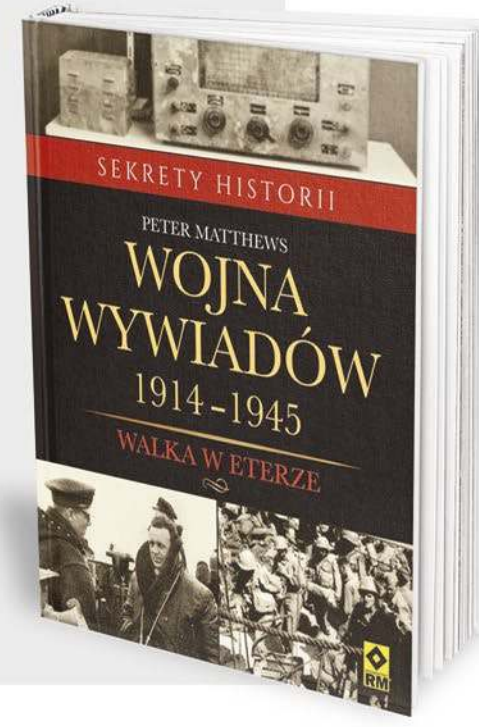

152 zł

oszczędność 33 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9e8667b183

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Pawłowi Lisickiemu

w tak trudnym dla niego momencie
wyrazy najgłębszego,
przepełnionego bólem współczucia i żalu
z powodu śmierci Ojca

ŚP.

Bronisława Lisickiego

składają wydawca oraz przyjaciele
z miesięcznika „Historia Do Rzeczy",
tygodnika „Do Rzeczy"
i portalu DoRzeczy.pl.

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Wystawieni na zagładę

Kreml przedstawiał państwa Układu Warszawskiego jako bratnie narody, które pod opiekuńczymi skrzydłami ZSRS mogą się czuć w pełni zabezpieczone przed „imperialistyczną" agresją NATO. Nasze usytuowanie geograficzne oznaczało jednak w kontekście agresywnej doktryny wojennej Moskwy, że Polska zostałaby zamieniony w nuklearną pustynię, gdyby doszło do konfliktu Wschód-Zachód. Ucierpielibyśmy w takim scenariuszu nieproporcjonalnie bardziej od innych państw europejskich.

Jak podkreśla Grzegorz Janiszewski (str. 6), Polska była idealnym celem atomowego uderzenia. „Miało ono również powstrzymać drugi rzut Armii Sowieckiej zmierzający przez teren naszego kraju na zachód Europy" – pisze Janiszewski.

Polska była wystawiona na atomowe uderzenia NATO nie tylko z powodu koncentrującej się na naszych ziemiach Armii Sowieckiej. Swoją rolę odgrywała również polityka. PRL było po prostu dużo „bezpieczniej" zaatakować niż terytorium ZSRS. Bezpośredni atak nuklearny na Sowietów oznaczałby przecież uderzenie na USA.

LWP szacowało w 1973 r., że detonacja nad Polską 200–300 ładunków jądrowych spowoduje śmierć ok. 30 proc. populacji i skażenie nawet połowy terytorium państwa.

I właśnie dlatego płk Ryszard Kukliński powinien mieć swój pomnik w każdym większym mieście w Polsce. Gdy ten „pierwszy polski oficer w NATO" poznał sowieckie plany i zrozumiał, czym taka wojna skończyłaby się dla Polski, postanowił nawiązać współpracę z Amerykanami. Pokazał im, że NATO jest w stanie pokonać Sowietów siłami konwencjonalnymi, co odsuwało od jego ojczyzny widmo atomowej zagłady. ©℗

eprasa.pl 9e8667b183

/ TEMAT NUMERU

.6 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Atomowy deszcz nad PRL

.12 JAKUB OSTROMĘCKI
Mocna strona Stronga

.16 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Jak wygrać wojnę jądrową

.19 JAN PARYS
Polscy bohaterowie zimnej wojny

/ CZASY I LUDZIE

.22 LESZEK LUBICKI
Śmiertelne starcie kuzynów

.28 ANNA SZCZEPAŃSKA

Dzieci zabójcy Kony'ego

.34 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Krwawa okupacja Wojwodiny

.38 PIOTR SEMKA
Kuchenna klątwa Albionu

.42 ROZMOWA PIOTRA WŁOCZYKA Z NORBERTEM BĄCZYKIEM
Największy błąd Polaków

.46 ŁUKASZ CZARNECKI
Cesarzowa z lupanaru

.50 MAREK GAŁĘZOWSKI
Orlęta w obronie Starówki

.54 PIOTR KITRASIEWICZ
„Pulp fiction" czasów okupacji

.58 MIKOŁAJ IWANOW
Mengele Stalina

eprasa.pl 9e8667b183

.62 SŁAWOMIR KOPER
Topniejące imperium Habsburgów

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Polski akcent Conrada

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Kochanowski złośliwy

.73 PIOTR SEMKA
Biografia pęknięta

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 PIOTR WŁOCZYK
Komandosi w Norsk Hydro

.78 MICHAŁ MACKIEWICZ
Wojna okopowa

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Między Hitlerem a Stalinem

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Samotny lot Skarżyńskiego

REKLAMA

eprasa.pl 9e8667b183

XX w. / Polska w obliczu wojny Układ Warszawski – NATO

Atomowy deszcz nad PRL

Grzegorz Janiszewski

Przez kilkadziesiąt lat Europa żyła w strachu przed nuklearną zagładą. Dla Polski miałoby to jednak najbardziej tragiczne skutki – rola przydzielona przez Moskwę PRL w konflikcie Wschód – Zachód oznaczałaby dla naszego kraju totalną zagładę

Sowieci pierwszą próbę z wierną kopią amerykańskiej bomby atomowej „Fat Man" wykonali na poligonie w Semipałatyńsku w sierpniu 1949 r. Trudno było jednak wtedy marzyć o skutecznym wykorzystaniu przez nich nowej broni. W 1950 r. Moskwa miała zaledwie pięć ładunków jądrowych, Amerykanie – 369. ZSRS nie był jednak na straconej pozycji – planistom z NATO sen z powiek spędzał stan sił konwencjonalnych przeciwnika. Zwłaszcza po powstaniu w 1955 r. Układu Warszawskiego. Żywcem kopiowano tam niektóre rozwiązania paktu północnoatlantyckiego, zmieniając grupę dosyć luźno powiązanych armii w skuteczną maszynę do prowadzenia wojny, z jednolitym dowództwem, bronią i procedurami.

Ówczesna doktryna wojenna NATO zakładała więc działanie na zasadzie „tarczy i miecza". Europejskie siły konwencjonalne miały powstrzymać siły przeciwnika

eprasa.pl 9e8667b183

Żołnierze 6. Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej podczas ćwiczeń FOT. JEZRY OCHOŃSKI/PAP

jak najdalej na wschodzie, jednocześnie umożliwiając amerykańskiemu lotnictwu wykonanie bombardowań strategicznych z użyciem broni jądrowej.

W 1957 r. NATO przyjęło „strategię zmasowanego odwetu", opracowaną przez amerykańskiego sekretarza stanu Johna Fostera Dullesa. Zakładała ona wielkoskalową odpowiedź na atak przy użyciu taktycznej i strategicznej broni jądrowej. Nad Europą Zachodnią został rozpięty amerykański „parasol jądrowy", który nie tylko chronił przed atakiem Sowietów, którzy nie byli w stanie adekwatnie odpowiedzieć, lecz także pozwalał na redukcję przez NATO sił konwencjonalnych.

Liczba ładunków atomowych szybko rosła. Kiedy powstawał Układ Warszawski, Sowieci mieli ich już 200. Pojawiły się udane bombowce dalekiego zasięgu Tu-16 i rakiety średniego zasięgu R-5 Pobieda. Mogły one przenosić ładunki atomowe do atakowania strategicznych celów – głównie baz wojskowych i rejonów koncentracji wojsk w Europie Zachodniej. W 1960 r. na wyposażenie weszła pierwsza sowiecka rakieta międzykontynentalna R-7. Chruszczow przechwalał się, że w Związku Sowieckim „rakiety toczą się z fabryk jak parówki", i forsował doktrynę „pierwszego uderzenia" bronią jądrową.

Podczas kryzysu kubańskiego w 1962 r. obie strony miały już wszystkie elementy atomowej triady – bombowce strategiczne, wyrzutnie lądowe i okręty podwodne z rakietami dalekiego zasięgu. Od tej chwili atakująca strona mogła być w zasadzie pewna obezwładniającego atomowego odwetu. Nawet jeśli zdążyłaby zniszczyć wyrzutnie lądowe i ciągle krążące w powietrzu samoloty.

W związku z tym między atomowymi mocarstwami utrwaliła się swego rodzaju równowaga, określona już na początku lat 60. przez amerykańskiego sekretarza obrony Roberta McNamarę jako „wzajemne zagwarantowane zniszczenie". Użycie broni atomowej przez jedną ze stron nieuchronnie miało prowadzić do odwetu i zniszczenia obu przeciwników.

Podobne założenia przyświecały początkowo planistom Układu Warszawskiego – początkiem konfliktu miał być zmasowany atak jądrowy, po którym nastąpiłoby natarcie wojsk zmechanizowanych. Zmiana nastąpiła w połowie lat 60. Wtedy zaczęto przewidywać użycie broni jądrowej dopiero przy niepowodzeniu sił konwencjonalnych. McNamara położył wówczas również podwaliny pod nową doktrynę NATO, nazywaną strategią elastycznej odpowiedzi. Zakładała ona konwencjonalną odpowiedź na konwencjonalny atak. Jednak w przypadku uzyskania przewagi przez przeciwnika planowano użycie taktycznej broni jądrowej. Z prowadzonych w tamtym czasie przez NATO ćwiczeń i gier wojennych niezmiennie wynikało, że właśnie z tego powodu przejście do fazy nuklearnej nastąpi najpóźniej kilka tygodni po ataku. Niezależnie od obowiązującej strategii i doktryny najgorzej zakończyłoby się to dla Polski.

Front w PRL

Od początku panowania Sowietów w Europie Środkowo-Wschodniej Polska odgrywała kluczową rolę w ich planach. Koncepcja Frontu Polskiego pojawiła się już w 1947 r., jednak zaraz po wojnie koncentrowano się raczej na odbudowie kraju. W 1948 r. polskie siły zbrojne liczyły zaledwie 141 tys. żołnierzy. Trudno było więc w oparciu o tak niewielkie wojsko tworzyć samodzielny związek operacyjny. Od 1949 r. zimnowojenna retoryka uległa znacznemu zaostrzeniu i koncepcja Frontu powróciła na początku lat 50. wraz z wojną w Korei.

W tym czasie szybko zwiększano liczebność LWP. Docelowo miało ono liczyć 350 tys. żołnierzy w czasie pokoju, a 900 tys. w czasie wojny. W latach 1950–1954 podwoiła się liczba oficerów zawodowych. Na wojsko przeznaczano 15 proc. PKB. Frontowi Polskiemu od początku stawiano zadania ofensywne – miał nacierać przez północne Niemcy w kierunku Danii, aby po 21 dniach dotrzeć do Kopenhagi. Polskie okręty desantowe miały natomiast dokonać inwazji na Bornholm. Jak wspominał uczestnik gier wojennych przyszłego Frontu z lat 50., gen. Jan Drzewiecki, „obrony nie przewidywano". Idea Polskiego Frontu była skwapliwie wykorzystywana przez Gomułkę i jego zaufanego, marszałka Mariana Spychalskiego, do zyskania większej samodzielności od Moskwy oraz poparcia wśród żołnierzy. Nieufni Sowieci chcieli natomiast raczej rozdzielić polskie jednostki między oddziały Armii Sowieckiej.

Formalnie utworzony w kwietniu 1961 r. decyzją marszałka Spychalskiego Front Polski, nazwany później Nadmorskim, miał prowadzić kluczowe działania na Środkowoeuropejskim (według NATO) albo Zachodnim (według terminologii sowieckiej) Teatrze Działań Wojennych. Polskie i niemieckie niziny skłaniały do wyprowadzania zmasowanych ataków pancernych i zmechanizowanych. Był on też kluczowy dla transportu wojsk, uzbrojenia i zapasów. Polska ze względu na liczbę ludności,

eprasa.pl 9e8667b183

rolnictwo i przemysł stanowiła dogodne zaplecze działań. Z tych względów stanowiła pierwszorzędny cel dla ataków nuklearnych. Nie tylko dla NATO. W razie niekorzystnego rozwoju sytuacji broni atomowej z pewnością użyliby też Sowieci, aby powstrzymać natarcie na wschód i zapobiec przejęciu polskich zasobów.

Do 1965 r. opracowano plan operacji Frontu. Miał on nacierać polskimi armiami 1., 2. i 4. w pasie szerokości 200–250 km na północne Niemcy i Jutlandię. Głębokość natarcia wynosiła 500–800 km, przy zawrotnym tempie 60–80 km na dobę. Wsparcie z powietrza zapewniać miała 3. Armia Lotnicza. W ciągu trzech dni dwie polskie armie miały dotrzeć do granic Holandii i Danii, rozbijając po drodze Jutlandzki Korpus Armijny NATO liczący ok. 40 tys. żołnierzy. W szóstym dniu operacji na Zelandii miała wylądować 7. Dywizja Desantowa i ruszyć na Kopenhagę. Na tyłach wroga pojawić się mieli żołnierze z 6. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Marynarka Wojenna miała natomiast zablokować cieśniny bałtyckie, odcinając sojusz północnoatlantycki od akwenu. Część tzw. Ludowego Wojska Polskiego ruszyłaby potem dalej, w kierunku Francji i Norwegii, a reszta zamieniłaby się w siły okupacyjne.

Spodziewano się dużego oporu ze strony NATO. Teren ataku był co prawda nizinny, ale poprzecinany licznymi rzekami i kanałami. Tereny depresyjne można było zalać. Granicy z RFN strzegł tzw. Pas Trettnera – wkopane w ziemię na szerokości 100 km atomowe miny. Liczne miasta utrudniały posuwanie się naprzód, a duńskie wyspy posiadały stałe fortyfikacje. Spodziewano się, że NATO naprzeciw Frontu wystawi przynajmniej 15 dywizji – z 400 tys. żołnierzy, prawie 3 tys. czołgów i 850 samolotów. Do tego ponad 500 taktycznych ładunków jądrowych. Wojska Frontu musiałyby więc dosłownie „wyrąbać" sobie drogę, używając taktycznej broni jądrowej, jednocześnie neutralizując możliwość użycia jej przez przeciwnika. Celem miały być wyrzutnie rakiet balistycznych, porty wojenne i bazy lotnicze. Do zniszczenia wyznaczono 150 lotnisk, 35 baz morskich i 170 portów. O powodzeniu ataku miały decydować jego zaskoczenie i szybkość. O ludność cywilną nie troszczono się w ogóle. Zdawano sobie sprawę, że duże miasta w nowoczesnym konflikcie będą odgrywać rolę fortec. W razie niepowodzenia w zdobywaniu ich z marszu miały więc być niszczone bronią jądrową.

Tupolew Tu-16, nosiciel bomb atomowych FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY

Pewna samodzielność Frontu Polskiego wymuszała też przyznanie mu własnych środków rażenia jądrowego. Początkowo były to taktyczne zestawy rakietowe 9K52 Łuna-M. Przy zasięgu ok. 70 km ich rozrzut wynosił nawet 3 km. Nie miało to jednak aż tak dużego znaczenia przy koncepcji masowego uderzenia jądrowego. 32. i 36. Brygady Rakiet Operacyjno-Taktycznych posiadały na stanie 177 pocisków jądrowych. Do tego dochodziło 17 bomb lotniczych. „Polskie" bomby atomowe miały dosięgnąć m.in. Kopenhagę, Bremę, Wilhelmshaven, Amsterdam i Antwerpię. Sowieci byli tak nieufni, że początkowo ładunki jądrowe miały być dostarczane do Polski z ZSRS dopiero w razie zagrożenia wojną. Ćwiczenia w ich transporcie drogą lądową, powietrzną i morską wykazały jednak, że trwa to zbyt długo. W połowie lat 60. zaczęto więc wdrażać plan pod kryptonimem Wisła. W 1967 r. rozpoczęto budowę trzech polskich obiektów przechowywania ładunków jądrowych. Powstały one pod Podborskiem koło Białogardu (Obiekt 3001), Brzeźnicy-Kolonii koło Jastrowia (3002) i Templewa koło Trzemeszna Lubuskiego (3003). W każdym można było składować ich ok. 300. Magazynami zarządzali Sowieci, udostępniając je Wojsku Polskiemu tylko na wypadek konfliktu. Armia Sowiecka miała też na terenie Polski własne atomowe magazyny przy bazach wojskowych. Według oficjalnych danych ujawnionych pod koniec PRL w Polsce przechowywano 133 ładunki, w NRD ponad 500, następne 100 w Czechosłowacji.

Polskie kalkulacje prowadzenia działań opierały się na optymistycznych sowieckich założeniach. Podczas ćwiczeń „Burza-61" przyjęto np., że po ataku jądrowym na 50. Armię wchodzącą w skład Frontu straty poniosłaby tylko jedna dywizja – zaledwie 15 proc. stanu. Jednak – co było całkiem prawdopodobne – gdyby nie udało się zniszczyć NATO-wskich nosicieli, polskie dywizje

eprasa.pl 9e8667b183

musiałyby przyjąć na siebie uderzenie ok. 270 ładunków nuklearnych. W zasadzie wyłączyłoby to LWP, łącznie z rezerwami, z dalszej walki.

Atomowy deszcz

Pod koniec lat 60. sytuacja zaczęła się zmieniać na korzyść państw NATO. Gospodarczo zaczęły one znacznie wyprzedzać kraje socjalistyczne. Przewagę widać było również w zbrojeniach, gdzie szczególnie ważna była automatyzacja i informatyzacja. Na początku lat 60. ważący 400 kg prototyp polskiego komputera Odra 1003 trafił do Zarządu Topograficznego Sztabu Generalnego, gdzie w ciągu dwóch godzin wykonywał obliczenia, na które wcześniej potrzebowano dwóch miesięcy. Nie miał jednak żadnych szans z miniaturowymi produktami z Doliny Krzemowej.

Jedyną szansą na uniknięcie atomowej zagłady były więc natychmiastowe wyjście wojska z koszar, koncentracja w nieznanych przeciwnikowi z NATO rejonach alarmowych i wyprowadzenie wyprzedzającego uderzenia. Część jednostek tzw. ludowego Wojska Polskiego utrzymywana była w stanie wysokiej gotowości. Niektóre miały wychodzić z koszar w ciągu dwóch godzin od ogłoszenia alarmu, zabierając tylko najbardziej przydatny sprzęt. Osiedla wojskowe budowano wokół jednostek, na opuszczenie garnizonu żołnierze zawodowi musieli mieć zgodę dowódcy. W PRL przeznaczano ogromne sumy na uzbrojenie wojska, ale do lat 80. nie potrafiono sobie poradzić z tak prozaiczną sprawą jak łączność telefoniczna.

Zawodowych żołnierzy alarmowały więc wielkie dzwonki, umieszczone na klatkach schodowych. Przy ich akompaniamencie, podczas ogłaszanych zwykle w środku nocy ćwiczebnych alarmów, żołnierze wychodzili z domów i biegli do koszar. Wyjścia poborowych na przepustki były mocno limitowane.

Państwa NATO nie miały oczywiście zamiaru bezczynnie przyglądać się tym planom. Polska była idealnym celem atomowego uderzenia. Miało ono również powstrzymać drugi rzut Armii Sowieckiej zmierzający przez teren naszego kraju na zachód Europy. Polskę wygodniej było atakować nie tylko ze względu na zasięg rakiet i samolotów, lecz także z powodów politycznych. Atak na ZSRS spowodowałby odwet na terytorium USA. W pierwszej fazie na Polskę miało spaść ok. 300–400 głowic. W następnej jeszcze od 100 do 300.

Z odtajnionego w 2015 r. amerykańskiego planu SIOP-62, zatwierdzonego jeszcze przez prezydenta Eisenhowera, wynika, że zniszczone miały zostać „główne ośrodki przemysłowe i miejskie w stopniu niezbędnym do sparaliżowania gospodarki oraz uczynienia sowiecko-chińskiego bloku niezdolnym do kontynuowania wojny". W Polsce najsilniejsze (300-kilotonowe) bomby miały spaść na Warszawę, Nową Hutę, Wrocław i Medykę. Mniejsze (100-kilotonowe) m.in. na Poznań, Kraków, Łódź i Białystok.

Wiedza na ten temat pozostawała ściśle tajna. Informowani byli tylko najważniejsi oficjele – przede wszystkim pierwsi sekretarze PZPR i nieliczne grono oficerów Sztabu Generalnego. Między innymi płk Ryszard Kukliński, który od połowy lat 60. pełnił tam służbę w Zarządzie Operacyjnym. To właśnie wizja atomowej zagłady Polski skłoniła go do podjęcia współpracy z CIA. Jak później wspominał: „Doszliśmy do wniosku, że niezależnie od tego, kto tę wojnę wywoła, przez Polskę w ciągu pierwszych dziesięciu dni przetoczy się lawina trzech frontów […]. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie ważyłby się uderzyć na siły rozmieszczone w ZSRR, gdyż oznaczałoby to automatyczną ripostę na terytorium USA. Z kolei skierowanie tej broni na terytorium Niemiec mijałoby się z celem obrony tego kraju (sojusznika USA), bo zamieniałoby ten obszar w perzynę – pustynię radioaktywną. Nasze serca polskie podpowiadały nam, że między tym terenem bronionym przez NATO i terenem Związku Radzieckiego leży ziemia niczyja: polska i czeska. Tu była największa groźba użycia broni nuklearnej przeciwko siłom sowieckim".

Na terenie Polski cele dla nuklearnych ładunków byłyby nieco inne niż w Niemczech czy w Danii. Obok rejonów koncentracji wojsk atakowana byłaby

eprasa.pl 9e8667b183

infrastruktura – drogi, mosty, kopalnie i fabryki oraz wielkie miasta. Zniszczeniu uległyby wszystkie polskie porty i mosty na linii Wisły. Bomby spadłyby na polityczne i gospodarcze centra. W drugim rzucie atakowane byłoby pogranicze polsko-sowieckie: węzły kolejowe i drogowe w celu odcięcia kolejnych rzutów Armii Sowieckiej zmierzających na front. W zasadzie cała powierzchnia kraju zostałaby pokryta atomowym deszczem.

Pewne odprężenie zaczęło się w latach 70. W atomowych arsenałach – już nie tylko dwóch światowych mocarstw, lecz także Chin, Wielkiej Brytanii, Francji, a nawet Izraela – znajdowało się wówczas prawie 40 tys. głowic. Liczba wystarczająca, żeby kompletnie zniszczyć świat. Zarówno Amerykanie, jak i Sowieci zdawali sobie sprawę z bezcelowości tego wyścigu i kosztów, jakie ze sobą niesie. Nixon zamiast strategii pewnego zniszczenia przyjął doktrynę selektywnej, elastycznej odpowiedzi. Breżniew w 1979 r. ogłosił, że Związek Sowiecki nie użyje broni nuklearnej jako pierwszy. Decyzja o rozmieszczeniu rakiet SS-20 w Europie Środkowo-Wschodniej w 1977 r. znowu podgrzała atmosferę, ale NATO nie odpuściło, ogłaszając w 1979 r. tzw. podwójną decyzję – amerykańskie rakiety w Niemczech albo rozbrojenie. Na ulicach Niemiec Zachodnich przeciwko „zbrojeniom" protestowały setki tysięcy ludzi, podżeganych przez prowodyrów opłacanych przez KGB. Rząd kanclerza Schmidta podał się do dymisji, ale jego następca Helmut Kohl był nieugięty. W 1983 r. roku NATO-wskie ćwiczenia „Able Archer" omal nie doprowadziły do trzeciej wojny światowej, ale to już był schyłek wyścigu zbrojeń. Ronald Reagan przed wyborcami starał się grać kowboja z filmów, w których występował w młodości. Wynik pojedynku z „imperium zła" mógł być tylko jeden. Programowi „Gwiezdnych Wojen" Sowieci nie mogli sprostać ze swoją od dawna ledwo działającą „socjalistyczną" gospodarką, opierającą się na sprzedaży taniejących ropy i gazu. Gorbaczow, który doszedł do władzy w 1985 r., musiał zgodzić się na rozmowy rozbrojeniowe. Front Polski odszedł w zapomnienie wraz z rozwiązaniem Układu Warszawskiego w 1991 r. Świat wreszcie odetchnął z ulgą.

Sowiecka międzykontynentalna rakieta R-7 FOT. DOMENA PUBLICZNA

Beztroska zagłada

Po obu stronach żelaznej kurtyny zwykli ludzie żyli w cieniu atomowego armagedonu. Jak wspominał Gary Fields, którego ojciec służył w US Air Force: „Wiedzieliśmy, że pośrodku bursztynowych fal zbóż są również silosy zawierające straszliwy ładunek. Wiedzieliśmy o bombowcach strategicznych. Ojciec i matka myśleli o zagrożeniu. Chcieli dom z piwnicą i pokazali mi tam najbezpieczniejsze miejsce, z dala od okien. Zawsze mieliśmy półkę lub dwie zapełnione jedzeniem w puszkach i trzymaliśmy w piwnicy sztućce. Moja matka nie wyzbyła się tych surwiwalowych przyzwyczajeń do końca życia". W Związku Sowieckim było podobnie. Jak wspominał pisarz Dymitrij Cziornyj: „W naszej klasie przysposobienia obronnego wisiały plakaty przedstawiające oddziaływanie promieniowania radioaktywnego. Pasły się na nich krowy, rosły brzózki, biegły drogi. Sielanka. A od strony narysowanego schematycznie miasta rósł atomowy grzyb. Wszystko namalowane w miękkich, pastelowych kolorach. Horror wyrażał się w przekazie: wszystko jest w porządku, tak, to wojna atomowa, ale przecież wiesz, co robić, gdzie się ukryć, ile lat będzie trwać atomowa zima, będziesz żył na konserwach, za ołowianymi drzwiami, pod ziemią…".

Co jednak stałoby się z ludnością cywilną w razie wybuchu wojny atomowej? W wyniku przeprowadzonego w 1969 r. ćwiczenia „Praktyczne obliczanie skutków uderzeń bronią jądrową" ustalono, że zaledwie sześć ładunków jądrowych zrzuconych na ówczesne województwo bydgoskie spowodowałoby śmierć od 121 do 428 tys. cywili. W ocenie zagrożenia z 1973 r. przyjmowano, że zdetonowanie nad Polską 200–300 ładunków jądrowych spowoduje straty w wysokości 30 proc. populacji i skażenie ok. połowy powierzchni kraju. W przyjmowanych kolejnych doktrynach wojennych PRL priorytetem było – obok modernizacji technicznej i wyszkolenia wojska – również szeroko rozumiane „przetrwanie" społeczeństwa podczas wojny jądrowej. Jednak w praktyce nie przywiązywano do tego szczególnej wagi. Jeszcze do początku lat 60. pod budowanymi domami często umieszczano schrony. Zwykle chroniły przed konwencjonalnymi bombami, miały grube stropy i specjalne wyjścia ewakuacyjne, dzięki którym nie zmieniały się one po ataku w grobowiec. Po wzmocnieniu i przeróbkach urządzeń filtrowentylacyjnych mogły z powodzeniem służyć jako schrony przeciwatomowe. Potem budowano je tylko dla ważniejszych obiektów. Schrony powstawały

eprasa.pl 9e8667b183

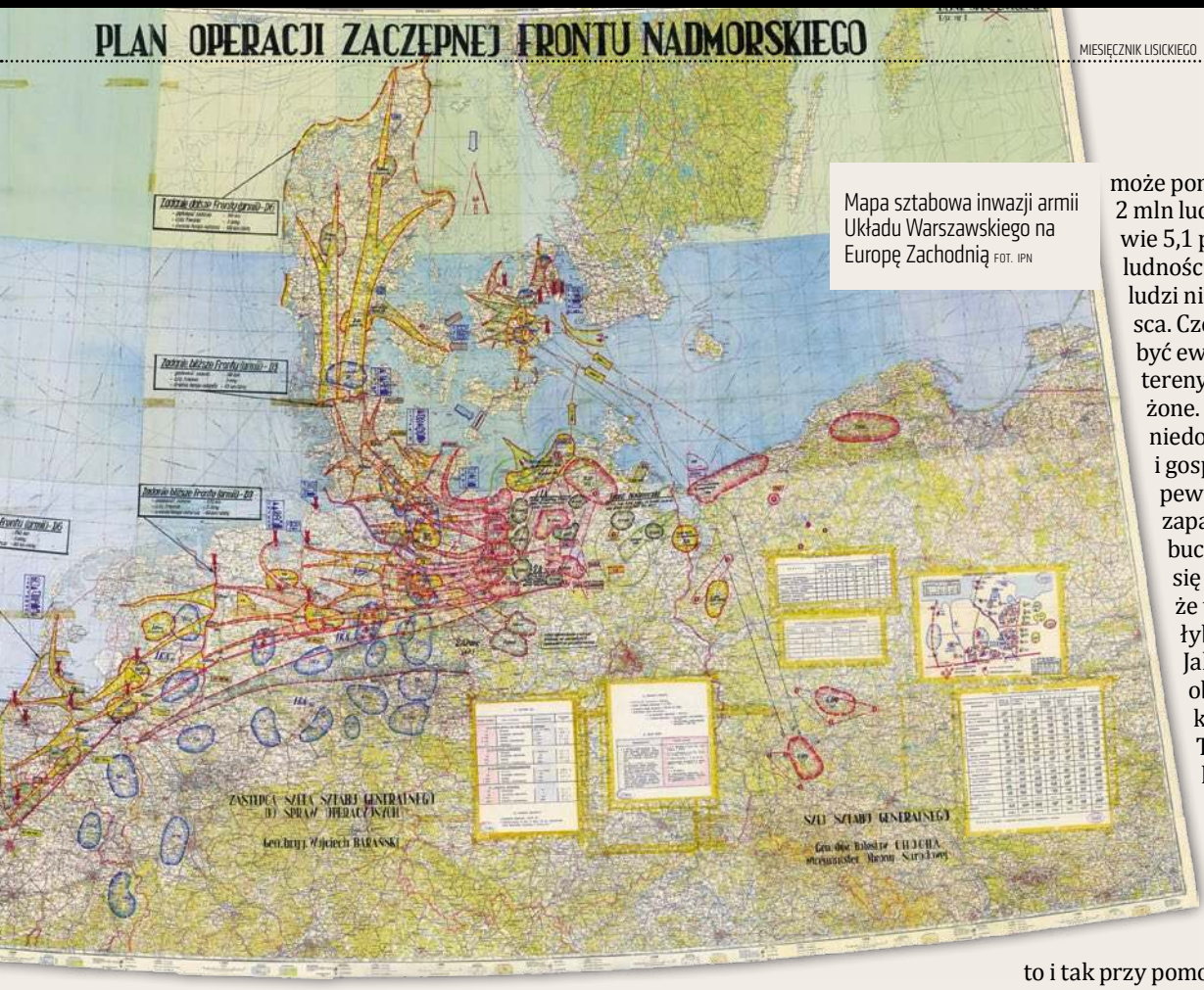

Mapa sztabowa inwazji armii Układu Warszawskiego na Europę Zachodnią FOT. IPN

jedynie pod siedzibami władz, punktami dowodzenia i kierowania państwem, ważniejszymi zakładami przemysłowymi. Ludność cywilna musiałaby sobie radzić, przystosowując do przetrwania piwnice, pralnie i suszarnie w domach i blokach.

Dla ścisłego kierownictwa nie liczono się z kosztami. W 1962 r. Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego przekazało Ministerstwu Obrony 11 ha lasu w Puszczy Kampinoskiej. W obiekcie nazywanym Kompleks 7215 miał powstać kilkukondygnacyjny podziemny schron z halą mogącą pomieścić kilkaset osób. Budowę Atomowego Centrum Dowodzenia, jak nazywano ten obiekt, kilkukrotnie wizytował głównodowodzący wojskami państw Stron Układu Warszawskiego marszałek Wiktor Kulikow razem z gen. Wojciechem Jaruzelskim. Miał on służyć jako jedno ze stanowisk dowodzenia Układu Warszawskiego na wypadek wojny nuklearnej. Budowy obiektu nigdy nie ukończono, ponieważ wykryły go coraz doskonalsze amerykańskie satelity szpiegowskie. Podobnych obiektów wybudowano w Polsce jeszcze kilka. Do tego liczne schrony dla członków władz różnego szczebla, partii i organizacji młodzieżowych.

Podobnie jak w „socjalistycznym" społeczeństwie, również w budownictwie schronów panowała ścisła hierarchia. Schrony dzieliły się na cztery kategorie, przy czym pierwsza, najbardziej odporna, przeznaczona była dla władz centralnych i stanowisk dowodzenia. Ich stropy o grubości minimum 275 cm chroniły przed bezpośrednim trafieniem bombą konwencjonalną o wagomiarze nawet tony. W mniej ważnych zakładach przemysłowych i budynkach mieszkalnych budowano schrony III i IV kategorii o grubości stropów zaledwie 15–30 cm, co chroniło przed odłamkami. Jako ukrycia przewidywano różne budowle – stare podziemne magazyny i składy, a nawet pamiętające carskie czasy forty. W większości schronów planowany czas przebywania nie przekraczał kilku dni, co oznaczało, że potem trzeba byłoby wyjść na skażony teren. W czasie przeglądu w połowie lat 80. stwierdzono, że istniejące 17 tys. budowli ochronnych może pomieścić niecałe 2 mln ludzi, czyli zaledwie 5,1 proc. chronionej ludności. Dla 28,5 mln ludzi nie było tam miejsca. Część z nich miała być ewakuowana na tereny mniej zagrożone. Jednak znając niedomagania władz i gospodarki PRL oraz pewny chaos, który zapanowałby po wybuchu wojny, można się było spodziewać, że te plany okazałyby się katastrofą. Jak wspominał szef obrony cywilnej kraju gen. Tadeusz Tuczapski: „Wyliczyłem kiedyś, że gdybym poświęcił nawet cały budżet przeznaczony na Obronę Cywilną Kraju, to i tak przy pomocy tych środków nie byłbym w stanie zapewnić bezpieczeństwa mieszkańców Warszawy, Trójmiasta czy też Krakowa. A przecież to jeszcze nie Polska. Taka była tego znikoma ilość". W tym samym czasie w USA przed opadem promieniotwórczym w budowlach ochronnych mogło się chronić 100 proc. ludności, w Szwajcarii 70 proc., a w krajach skandynawskich ponad 50 proc.

Dzisiaj nie jest lepiej. Wymagania dotyczące budowy schronów przy okazji wznoszenia nowych obiektów obowiązywały do 2002 r. Potem przeważyła forsowana przez deweloperów i posłusznych im polityków i samorządowców koncepcja, że „wojny już nie będzie". Do schronów dostęp ma około 4 proc. Polaków. Powszechna Obrona Cywilna w zasadzie przestała istnieć. Marnym pocieszeniem może być fakt, że ani mieszkańcy Zachodu, ani Polski nie musieli ich nigdy używać. Atomowa zagłada kontrolowana była przez równowagę strachu. Podobnie i dzisiaj najlepszą odpowiedzią na groźby atomowych bandytów nie jest uległość, a kolejny wyścig zbrojeń.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Kadr z filmu „Jack Strong" Władysława Pasikowskiego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film a rzeczywistość / Hołd Pasikowskiego dla płk. Kuklińskiego

Mocna strona Stronga

Jakub Ostromęcki

Sensacyjne kulisy współpracy „pierwszego polskiego oficera w NATO" z CIA same prosiły się o dobrą ekranizację

Filmowi szpiedzy działają przeważnie w pojedynkę lub w bardzo małej, hermetycznej grupce. Wynika to z logiki kina – widz ma przecież ograniczone możliwości zapamiętania bohaterów, ich sposobu bycia, mówienia czy wyglądu. Skrajnym wytworem takiego zmyślonego świata tajnych służb jest cykl przygód Bonda. Ale i w dużo poważniejszym „Monachium", historii zemsty izraelskiego wywiadu na arabskich terrorystach, arcytrudne zadania realizuje mała ekipa szpiegów, podczas gdy w rzeczywistości były one efektem pracy wielkiej rzeszy funkcjonariuszy, często nieznających się nawzajem, odpowiedzialnych za mały wycinek całego zadania. Nie inaczej jest w „Jacku Strongu".

Kukliński spotyka się z dwoma funkcjonariuszami CIA w Amsterdamie – jeden z nich to niejaki Jones, a drugi Smith – szef komórki CIA z Bonn. W Warszawie prowadzi Kuklińskiego para agentów – są to prawdziwi, historyczni David Forden (Patrick Wilson) i Sue Burgraff (Dagmara Domińczyk). Para ta strzeże Kuklińskiego od pierwszego spotkania na cmentarzu do szczęśliwej ucieczki z PRL. Wyjazd rodziny Kuklińskiego zabezpiecza natomiast samotny czarnoskóry agent Williams. Oto cała pięcioosobowa ekipa mająca bezpośredni kontakt z Jackiem Strongiem w czasach, gdy działał on na ternie PRL.

Grupa funkcjonariuszy CIA mających bezpośrednią styczność z Kuklińskim, choć nie zawsze znali jego prawdziwe personalia, była w rzeczywistości większa. Pierwowzorem Jonesa był najprawdopodobniej funkcjonariusz CIA działający pod pseudonimem Walter Lang, pracujący w ambasadzie USA w Bonn, odpowiedzialny za sprawy sowieckie. W czasie spotkań z Kuklińskim w portach północnej Europy towarzyszył mu inny pracownik CIA działający pod pseudonimem Henry Morton vel Wally, Estończyk z pochodzenia, dobrze znający rosyjski. W filmie go nie widzimy. Szef komórki CIA w Bonn, filmowy Smith, a w rzeczywistości John Dimmer, nie

eprasa.pl 9e8667b183

jeździł na spotkania z Kuklińskim, choć oczywiście nadzorował wszystko zza biurka.

Polszczyzna tłumacza

David Forden był faktycznie szefem warszawskiej komórki CIA, znał biegle Polski, do kraju zabrał nawet swoją żonę znającą arkana tajnych służb, ale było to w drugiej połowie lat 60., zanim Kukliński rozpoczął współpracę w Amerykanami. Forden nie spotykał się więc z Kuklińskim w Warszawie, lecz w czasie kolejnych corocznych rejsów pułkownika po Morzu Północnym – był to pierwszy funkcjonariusz CIA, z którym Kukliński mógł rozmawiać po polsku. W spotkaniach tych zawsze obecny był Estończyk „Wally". W 1977 r. MON zabroniło swoim oficerom ruszać w rejsy do państw NATO – skończyły się więc te spotkania. W 1979 r. Fordena wysłano do Wiednia do innych zadań i siłą rzeczy do Kuklińskiego nie mógł już nawet pisać. CIA, chcąc dbać o dobre samopoczucie Polaka, wydobyła wtedy ze swoich szeregów znakomitego tłumacza, który naśladował styl polszczyzny Fordena – Kukliński przez ponad dwa lata myślał zatem, że pisze wciąż do tego samego człowieka. W 1981 r. Forden został szefem sekcji sowieckiej CIA i znów mógł korespondować z Kuklińskim. Amerykanin i Polak uściskali się dopiero po pięciu latach od ostatniego rejsu. Doszło do tego 11 listopada 1981 r. w bazie Andrews, po ucieczce Kuklińskiego do USA. Pasikowski przyjrzał się dokładnie znanej ze zdjęć fizjonomii Fordena i efektem tej kwerendy jest spore podobieństwo Patricka Wilsona do historycznego pierwowzoru.

Kim w takim razie powinna być para ludzi z CIA, z którą Kukliński spotyka się w Warszawie? Może być to ówczesny szef tutejszej komórki CIA Carl Gebhardt, który również pracował w terenie z żoną Nancy. Ich pierwsze spotkanie z Kuklińskim nie miało wiele z romantycznej interakcji pośród klonów, stylowych katakumb i nagrobków. Polak podszedł do samochodu Amerykanów, trójka spojrzała przelotnie na siebie i wymieniła przesyłki. Wszystko trwało kilka sekund. Gebhardtowie faktycznie byli jednak przestraszeni tym, że Kukliński paradował przy nich w mundurze LWP. Carl trafił potem do Hamburga akurat w czasie, gdy Kukliński ruszał w drugi rejs na Zachód. Dopiero tam, w jednej z dziupli CIA, w czasie omawiania sposobu przekazywania przesyłek w Warszawie, przyszedł czas na serdeczności.

Przez dziewięć lat współpracy z CIA, poza jednym alarmowym spotkaniem przed ewakuacją, Kukliński nie oglądał nawet twarzy warszawskich funkcjonariuszy CIA

Gebhardtowie to niejedyna para opiekująca się Kuklińskim. Od 1980 r. szefem placówki CIA był Tom Ryan. Zwyczajowo zabrał ze sobą do Warszawy małżonkę Lucille, przeszkoloną w działalności wywiadowczej. To właśnie oni wywieźli Kuklińskiego z Warszawy. Oprócz Gebhardtów i Ryanów skrzynki kontaktowe obsługiwali Sue Burgraff oraz Gilbert Kindelan działający jako „Ted Gilbertson", David Black jako „Evan Davis", William Jameson jako „Jason Wilcox" oraz funkcjonariusz o pseudonimie Michael Dwyer. Polska aktorka Dagmara Domińczyk wciela się więc w rolę kilku Amerykanek: żony Gebhardta, żony Ryana i Sue Burgraff. Jedno z prawideł kina mówi, że aktorki są zawsze piękniejsze i młodsze od ich historycznych bohaterek, które odgrywają. Zasadzie tej wierny był Pasikowski. W rzeczywistości funkcjonariusz wywiadu pracujący w terenie nie może zwracać na siebie uwagi. Zmysłowa fizjonomia przeszkadzałaby agentce Burgraff. Z aparycją zwyczajnej księgowej, bibliotekarki lub nauczycielki dużo lepiej mieszała się z tłumem. Z kolei Patrick Wilson, prywatnie mąż Dagmary Domińczyk, odtwarza w filmie mniej rolę Fordena, a bardziej pozostałych warszawskich pracowników CIA.

Wielkim nieporozumieniem jest postać agenta Williamsa. Nikt z CIA przy zdrowych zmysłach nie wysłałby do PRL Murzyna, powierzając mu misję ratowania Jacka Stronga. Williams przy przekraczaniu granicy NRD i Berlina Zachodniego zachowuje się skrajnie nieodpowiedzialnie, prowokując NRD-owskiego pogranicznika. Naraża w ten sposób na wielkie niebezpieczeństwo rodzinę Kuklińskiego schowaną w samochodzie. Nic takiego nie miało miejsca.

Rzut teczką

Pasikowski lubi sceny, gdzie twardzi i małomówni faceci topią strachy w wódce, którą połyka się szklankami. Nie inaczej jest w scenie, gdy Kukliński zabiera się do pisania listu do ambasady amerykańskiej w Bonn z prośbą o spotkanie w holenderskich portach. Jacht się chwieje, Kukliński wymiotuje, ale procenty pomagają. Bohater siada do stołu i zerkając w słownik, tworzy kulawy dość tekst. W rzeczywistości list nie powstał na pełnym morzu, tylko w porcie w Wilhelmshaven. A – jak pisze w biografii Kuklińskiego Sławomir Cenckiewicz – „Styl tego listu, śmieszna wręcz angielszczyzna i niezgrabny charakter pisma, były zamierzone i miały w przyszłości ochronić Kuklińskiego na wypadek ewentualnej dekonspiracji […]". W filmie Kukliński zastrzega, że nie będzie pisał na maszynie, bo te są w PRL rejestrowane. W rzeczywistości w latach 70. były one nie tyle rejestrowane, ile reglamentowane, ale oficer mógłby bez problemu jedną z nich nabyć. To sami Amerykanie prosili, by pisał ręcznie, bo dzięki temu będą mogli odczytać jego emocje, a nawet to, czy pisze pod przymusem.

Inaczej niż u Pasikowskiego przez dziewięć lat współpracy z CIA, poza jednym alarmowym spotkaniem przed ewakuacją, Kukliński nie oglądał nawet twarzy warszawskich funkcjonariuszy CIA ani z nimi nie rozmawiał. Spotkania te wyglądały następująco: na precyzyjnie wybranych murkach, skrzynkach sieci elektrycznej, znakach, o określonych porach dnia Kukliński lub ludzie z CIA rysowali kredą proste znaki. Informowały one, gdzie i kiedy Kukliński podrzuci skrzynkę z mikrofilmami, na których znajdowały się zdjęcia tajnych dokumentów, lub gdzie będzie mógł odebrać list

eprasa.pl 9e8667b183

Pułkownik Ryszard Kukliński na posiedzeniu ministrów obrony państw stron Układu Warszawskiego. 1979 r. REPROD. W. WASYLUK/FORUM

Kadr z filmu „Jack Strong" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

napisany przez Fordena. Kilka dni po odczytaniu znaku dochodziło do kontaktu. Obok spacerującego Kuklińskiego przejeżdżał powoli samochód z uchyloną szybą, do którego Polak wrzucał kopertę. Innym razem podrzucał skrzynkę lub mikrofilm włożony w ubrudzoną smarem rękawiczkę roboczą w ustronnym miejscu. Funkcjonariusz CIA po kilku godzinach przyjeżdżał w to miejsce, podnosił przesyłkę i rysował znak odbioru. Taka wymiana przesyłek była bezpieczniejsza niż przekazywanie z rąk do rąk, ale i tak ryzykowna. Benjamin Weiser w biografii Kuklińskiego opisuje wymianę informacji z perspektywy agentki CIA: „Burgraff, mierząca zaledwie nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, czuła się podczas pierwszej wymiany przesyłek przez okno samochodu jak akrobatka. Po skręcie w prawo, kiedy powstała krótka luka między nią a śledzącymi ją agentami bezpieki, musiała zredukować bieg, by silnik nie zgasł, i przełączyć światła na pozycyjne, by zasygnalizować swój przejazd i nie oślepić »Mewy«, który musiał odczytać numer rejestracyjny. Gdy do niego podjechała, musiała otworzyć okno pasażera, spoglądając jednocześnie we wsteczne lusterko, i przekazać mu przesyłkę".

Sławomir Cenckiewicz cytuje Kuklińskiego mocującego się z jedną ze skrytek umieszczoną „początkowo w dziupli starego dębu": „Wkładałem do niej pakunek i przysypywałem suchymi liśćmi i trawą. Potem zmieniłem kryjówkę, bo wprowadziła się tam wiewiórka. Nie odstraszył jej ludzki zapach. Widocznie uznała, że to dobra lokalizacja, gdyż wszędzie wokoło rosły krzewy leszczyny. Więc spiżarnię miała pod bokiem. Najdłużej przetrwała skrytka pod mostkiem. Wyjmowałem tam jedną cegłę i to był najbezpieczniejszy schowek. Rzeka nie była osłonięta drzewami, ale za to mogłem obserwować, czy w pobliżu nic podejrzanego się nie dzieje, a i sam nie wzbudzałem podejrzeń, bo nikogo nie powinno dziwić, że siedzę sobie nad wodą albo się kąpię".

Ostrożność była wskazana. W czasie jednego z niedoszłych spotkań esbecy zauważyli postać Kuklińskiego w pobliżu odjeżdżającego samochodu CIA, ale na szczęście nie widzieli jego twarzy. Kukliński próbując upewnić się, że zgubił esbeków, jeździł autobusami, tramwajami i pociągiem po całej Warszawie. Przestraszył się tak bardzo, że zawiesił spotkania z CIA na kilka miesięcy. Pasikowski ominął jednak te sceny, chcąc skoncentrować się na bezpośrednich, bardziej teatralnych kontaktach między Kuklińskim a Fordenem. Relacje te są przyjacielskie, serdeczne, szczere. Niech nas to jednak nie zwiedzie. Każda służba wywiadowcza szkoli swoich ludzi w „emocjonalnym oddziaływaniu na źródło informacji", każdy agent ma wydawać się równym, sympatycznym, rzetelnym gościem. Nie inaczej było z Fordenem, Burgraff, Ryanem i całą resztą wywiadowców zajmujących się Kuklińskim.

Głową w słup

Pasikowski nakręcił kilka dramatycznych scen, w których Kukliński nieomal się dekonspiruje. Wszystkie faktycznie miały miejsce. Jack Strong uderzył głową w słup w sztabie generalnym i wypuścił teczkę pełną nielegalnie wyniesionych dokumentów. Gdy robił zdjęcia aparatem ukrytym w zapalniczce, do gabinetu wparował oficer kontrwywiadu, a w czasie zebrania, gdy wściekły Siwicki informował o wykryciu szpiega w sztabie, był gotowy się przyznać, ale kompletnie nieświadomi sytuacji zwierzchnicy zakrzyczeli go. Prawdą jest też, że urządzenie zwane Spark, służące do awaryjnej, bliskiej łączności z ambasadą USA, bez przerwy się psuło. Kukliński nie był jednak aż tak wszechstronny, aby sam naprawiać elektronikę.

W filmie sąsiadem Kuklińskiego jest mjr Ostaszewski, jak się okazuje – współpracownik wywiadu francuskiego, który ucieka na Zachód tuż przed Kuklińskim. To bardzo bliska analogia do prawdziwego płk. Włodzimierza Ostaszewicza, który faktycznie mieszkał nieopodal Kuklińskiego i współpracował nie z Francuzami, ale z CIA. Prawdziwy Ostaszewicz był jednak dużo starszy od swojej kinowej wersji. Był też człowiekiem, jak na oficera, delikatnym, więc mało prawdopodobne, aby beształ po kapralsku milicjantów i podwładnych, jak to ma w zwyczaju u Pasikowskiego.

Reżyser nakręcił kapitalną scenę pościgu po zaśnieżonych ulicach Warszawy. Kazał widzom drżeć ze strachu o los Kuklińskiego, aby w finałowej scenie, gdy milicja dopada już swoją ofiarę, pokazać, że za kierownicą opla należącego do pułkownika nie siedzi Polak, ale Forden, który w desperacki sposób odwrócił uwagę SB od opuszczającego

eprasa.pl 9e8667b183

kraj Kuklińskiego. Podobna scena rzeczywiście wydarzyła się w Warszawie w roku 1979, czyli prawie dwa lata przed ucieczką Jacka Stronga. 25 listopada agent Michael Dwyer pojechał odebrać przesyłkę wyrzuconą przez jakiegoś polskiego informatora, na szczęście kompletnie niezwiązanego z Kuklińskim. Gdy Dwyer podnosił przesyłkę z klombu, z obu stron ulicy wyjechały na niego milicyjne radiowozy. Szpieg był spalony. Dzięki temu, że oficjalnie był dyplomatą, zamiast do więzienia szybko trafił na lotnisko z biletem w jedną stronę do USA, a esbecja chwaliła się schwytaniem i wydaleniem amerykańskiego „szpiona". Paradoksalnie odciągnęło to jednak jej uwagę od poszukiwania amerykańskiego agenta w Sztabie Generalnym.

Ucieczka z kraju była dla rodziny Kuklińskiego z pewnością skrajnie stresująca, ale nie tak sensacyjna jak w filmie. Nie było pościgów po Warszawie, ucieczki z domu w ostatniej chwili. Amerykanie kilkukrotnie próbowali zabrać rodzinę z umówionych wcześniej miejsc i za każdym razem musieli rezygnować. Mieli ogon bezpieki. Ostatecznie z gomułkowskiego osiedla na Młynowie Kuklińskich zabrał Ryan, który przybył do Warszawy niespodziewanie z Berlina. Przewiózł Kuklińskich do ambasady USA i rzeczywiście, tak jak w filmie, załadował do skrzynek z pocztą dyplomatyczną. W filmie NRD-owcy ociągają się z przepuszczeniem dyplomatycznego busa do Berlina Zachodniego, bo ambasada USA nie zgłosiła na czas nowych numerów rejestracyjnych pojazdu. Taki problem rzeczywiście wystąpił, ale na granicy PRL i NRD.

Kogucik

„Nie masz kochanki, prawda?" – pyta Kuklińskiego żona, wściekła, że ciągle nie ma go w domu. Jack Strong z miną zbitego psa odpowiada na to, że musiał zostać w pracy. Tak się jednak składa, że zdradzał Hannę od lat 60. Z wietnamskimi prostytutkami, potem w Warszawie z sekretarkami, urzędniczkami, córkami kolegów. „Kukliński uchodził za niezłego kogucika" – powiedział kiedyś Czesław Kiszczak. Komórka partyjna w sztabie była wściekła, kontrwywiad

David Forden (z prawej) odbiera odznaczenie z rąk dyrektora CIA.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

miał to gdzieś – był w końcu ulubieńcem generałów. Przynajmniej w jednej z kobiet był zakochany na umór. Mowa o Barbarze Jakubowskiej, córce kolegi żeglarza, która zmarła po kilku latach na raka. Kukliński był jej śmiercią zdruzgotany. Cenckiewicz wyjaśnia jednak: „Wszystkie przecież realne problemy małżeńskie Kuklińskiego zostały przez niego świadomie wykorzystane do wyrobienia sobie opinii kobieciarza". Jeździł więc z kochankami do moteli albo zatrzymywał się samochodem w leśnych przecinkach i drogach pożarowych, przy których znajdowały się skrytki dla CIA.

Konwencja filmu Jack Strong nie pozwala specjalnie na rubaszny humor, a i sam Kukliński nie był typem komedianta, ale jedno z jego spotkań nadawałoby się do uwiecznienia na ekranie, jeśli nie przez Pasikowskiego, to przynajmniej przez Machulskiego lub Bareję. Kukliński pojechał pewnego razu z kochanką na podwarszawską

Ryszard Kukliński
FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

działkę. Było ciepło, para siadła więc w strojach kąpielowych przy ognisku, aby upiec kiełbaski. Naraz z krzaków wypadł facet z bronią, krzycząc: „Ręce do góry!". Był to mąż rogacz, również resortowy. Kukliński wykazał się jednak zimną krwią i przekonał napastnika, że to tylko niewinny wypad poza miasto, na ognisko, a kiełbasa to wszak towar luksusowy. Zdradzany mąż, idiota lub po prostu łakomczuch, łyknął kłamstwo i po kilku minutach konsumował już kiełbasę razem z żoną i jej uratowanym kochankiem. Filmowy Kukliński robi z siebie wariata tylko raz – udając szczekającego psa w przedpokoju mieszkania. Tak rzeczywiście było. Pułkownik chciał w ten sposób przyzwyczaić sąsiadów do swoich nieregularnych powrotów do domu. Jego owczarek węgierski ujadał bowiem niemiłosiernie, gdy jego pan wracał.

Władysław Pasikowski wystawił Ryszardowi Kuklińskiemu pomnik. Warto zwrócić uwagę na scenę, gdy ppłk Józef Putek z Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli kontrwywiadu wojskowego, proponuje swojemu szefowi, aby skontrolować Kuklińskiego. Pułkownik Władysław Gendera odpowiada: „… po ch.j?". Pasikowski nie wyjaśnia, skąd taka niefrasobliwa reakcja. Rozpoczął bowiem swoją opowieść na przełomie lat 60. i 70., gdy w głowie Kuklińskiego dojrzewała już myśl o buncie przeciwko systemowi. Wcześniejsze etapy życia Jacka Stronga nie były jednak aż tak kryształowe. Od wczesnych lat 60. współpracował na różne sposoby z tajnymi wojskowymi służbami PRL, a przynajmniej do czasu jego misji w Wietnamie Południowym w 1968 r. był wiernym komunistą, przekonanym, że w konfrontacji z NATO to Sowieci mają rację. Przez nich samych był zresztą chwalony – co akurat Pasikowski pokazał, lekko tylko ubarwiając rzeczywistość. Kukliński wyrobił sobie opinię człowieka poza jakimikolwiek podejrzeniami. Był blisko związany z samym Kiszczakiem. To właśnie dlatego, łamiąc wszelkie procedury i wierząc w lojalność wynikającą z osobistych relacji, Wojskowa Służba Wewnętrzna w latach 70. nie interesowała się już zbytnio Kuklińskim. Trzeba mieć to na uwadze, oglądając „Jacka Stronga".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

FOT. U.S. DEPARTMENT OF ENERGY

Bomby termojądrowe / Nowe zasady gry na atomowej szachownicy

Jak wygrać wojnę jądrową

Tymoteusz Pawłowski

Wojna z użyciem broni atomowej wcale nie musiała zakończyć się zniszczeniem świata – przynajmniej taką nadzieję mieli przygotowujący się do niej generałowie. Wystarczyło użyć odpowiednich ładunków, środków ich przenoszenia i taktyki

Bomby atomowe zrzucone w 1945 r. na Hiroszimę i Nagasaki były całkiem inne niż te używane później. Paliwem bomb atomowych zrzuconych na Japonię były ciężkie pierwiastki – uran lub pluton – a dokładniej ich niestabilne odmiany zwane izotopami. Niestabilność objawiała się promieniowaniem, czyli uwolnieniem neutronu. Podczas „eksplozji" ciężki atom dzielił się na dwa lżejsze: krypton i bar, bar i stront, antymon i technet, przy okazji uwalniając olbrzymią energię oraz sporo radioaktywnych odpadków. Taka bomba ważyła kilka ton, była kosztowna, miała skomplikowaną konstrukcję, no i była promieniotwórcza. Nikt dziś ich nie używa.

Od przełomu lat 50. i 60. XX w. używa się bomb termojądrowych. Ich podstawowym paliwem są dwa atomy wodoru, które w odpowiednich warunkach łączą się ze sobą, dając atom helu i energię. Odpowiednie warunki panują np. na Słońcu, na którym taka reakcja syntezy odbywa się cały czas (i oby trwała jak najdłużej). Właściwe warunki można stworzyć też na Ziemi – za pomocą małej bombki atomowej pełniącej rolę zapalnika. Bomba termojądrowa jest bardzo dobrą bronią: lekką, tanią i niezawodną. I co ważne – jej promieniotwórczość jest minimalna.

Sześciu śmiałków

Tak naprawdę nie wiadomo dokładnie, jakie są skutki wybuchu jądrowego. Amerykański wywiad stwierdził, że zginęła jedna trzecia mieszkańców Hiroszimy i Nagasaki, co bardzo zadowoliło polityków i wojskowych. Oznaczałoby to, że bomba atomowa była warta środków poświęconych na jej budowę. Japończycy także zaakceptowali tę liczbę – dzięki temu mogli usprawiedliwić swoją kapitulację. Dokładniejszych badań nie prowadzono. Nie badano zbyt dokładnie również tych, którzy przeżyli eksplozję, ale zapadli na chorobę popromienną oraz nowotwory. W powojennej Japonii znacznie wzrosła liczba zachorowań na raka, jednak ten wzrost wynikał przede wszystkim z tego, że badania onkologiczne na szeroką skalę rozpoczęto dopiero po 1945 r.

Zarówno Amerykanie, jak i Sowieci prowadzili manewry wojskowe z użyciem broni nuklearnej. We wrześniu 1954 r. armia sowiecka zorganizowała olbrzymie manewry na poligonie Tockoje – godzinę po użyciu 40-kilotonowej

eprasa.pl 9e8667b183

bomby termojądrowej do akcji ruszyło kilka tysięcy żołnierzy. 720 m od strefy zero – tam ustawiono aparaturę kontrolną – dwie minuty po eksplozji promieniowanie wyniosło 65 rentgenów. 10 R po 10 minutach, 2,4 R po 25 oraz 1,5 R po 47 minutach. W serialu „Czarnobyl" promieniowanie wynoszące 3,6 R zostało skwitowane stwierdzeniem: „Not great, not terrible". Jaki był wpływ promieniowania na zdrowie – nie wiadomo. Po upadku ZSRS i pojawieniu się możliwości dochodzenia swoich racji tylko jeden uczestnik tych ćwiczeń zdecydował się pozwać państwo rosyjskie za utratę zdrowia.

W latach 1951–1957 Amerykanie przeprowadzili serię ośmiu ćwiczeń pod kryptonimem Desert Rock. Podczas ostatniego z nich na wysokości nieco ponad 5 tys. m eksplodowała rakieta przeciwlotnicza AIR-2 Genie z 1,5-kilotonową głowicą termojądrową. Bezpośrednio pod miejscem eksplozji stało sześciu pułkowników US Air Force chcących zademonstrować bezpieczeństwo nuklearnych pocisków przeciwlotniczych. Wszyscy już nie żyją, umarli jednak od 33 do 57 lat po wybuchu.

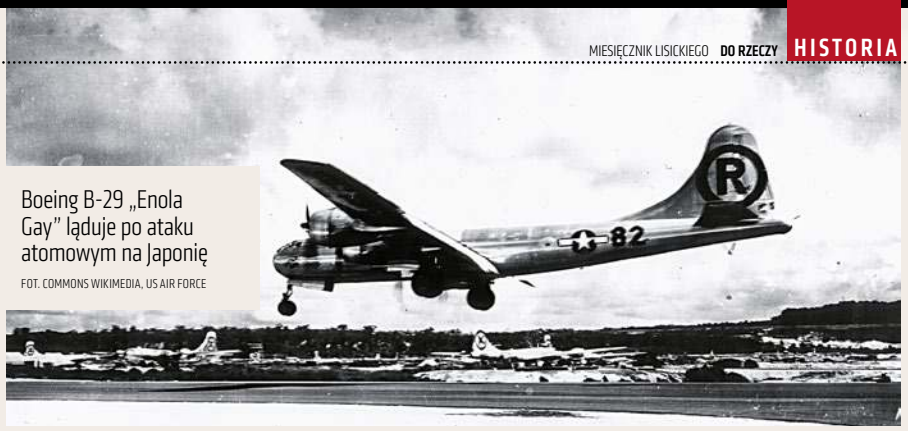

Boeing B-29 „Enola Gay" ląduje po ataku atomowym na Japonię

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US AIR FORCE

Działo M65 „Atomic Anne"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARC PELLEGRINI

Zabójcy miast

Kilotony przy powyższych opisach bomb oznaczają ich moc, porównując je z trotylem. Bomby atomowe zrzucone na Japonię miały siłę taką jak mniej więcej 20 tys. t trotylu, czyli 20 kt. Największa bomba termojądrowa, zrzucona w 1961 r. przez Sowietów na Nową Ziemię, miała moc 2,5 tys. razy większą – ponad 50 Mt. Sztuką nie było jednak zbudowanie jak największej głowicy, tylko raczej jak najmniejszej, a w tym przodowali Amerykanie. Znaczna część współczesnych ładunków termojądrowych ma moc mniejszą od 1 kt.

Istniały co prawda olbrzymie megatonowe głowice, zwane zabójcami miast, ale pełniły one jedynie funkcję straszaka. Wojny nie wygrywa się, wymazując przeciwnika z mapy świata, a niszcząc jego wojska i przejmując jego zasoby. Warto poza tym pamiętać, że obie strony zimnej wojny – zarówno Amerykanie, jak i Sowieci – wojnę zamierzały prowadzić w celu wyzwolenia uciskanych narodów. Uciskanych – odpowiednio – przez komunistów i imperialistów. Dlatego największe praktyczne znaczenie miały głowice taktyczne. Wszystko było kwestią ekonomii: głowica atomowa była równoważnikiem tysiąca mniejszych, pozwalała więc zaoszczędzić uzbrojenie, sprzęt i życie własnych żołnierzy. Uważa się, że jeśli ładunek o mocy 1 kt wybuchnie w odległości 200 m od betonowego celu – budynku albo mostu – to zniszczy go na pewno, a jeśli wybuchnie w odległości większej niż 500 m, wówczas betonowy cel przetrwa.

Problem polegał więc na dostarczeniu takiej głowicy do celu. Początkowo obie strony używały samolotów B-29 Superfortress (Sowieci skopiowali je jako Tu-4), ale ze względu na niewielką celność taki zestaw nadawał się jedynie do niszczenia miast. Bombowce, z punktu widzenia Moskwy, miały również kolosalną wadę – zbyt mały zasięg, aby zagrozić USA. Dlatego Sowieci zdecydowali się rozwijać technologię rakietową. Amerykanie zwracali na to mniejszą uwagę: dysponowali bazami wokół ZSRS i powietrznymi tankowcami. Do połowy lat 60. było oczywiste, że ewentualną wojnę atomową wygraliby Amerykanie.

Na początku lat 60. sytuacja zaczęła się zmieniać, możliwe stało się bowiem użycie broni jądrowej do celów taktycznych. Przewagę mieli Amerykanie, którzy w 1953 r. zaprezentowali światu „Atomic Anne" – działo atomowe. Był to jeden z czynników, który pomógł zakończyć wojnę w Korei, więc Sowieci również zapragnęli posiadać taktyczną broń jądrową. Wkrótce dysponowali artylerią, rakietami oraz szybkimi samolotami zdolnymi do przenoszenia ładunków atomowych; trafiły one również do państw podległych Moskwie, m.in. do PRL.

Atom LWP

Polskie władze komunistyczne przyjęły w 1965 r. sowiecki plan pod kryptonimem Wisła. Polegał on na zbudowaniu trzech składów broni jądrowej:

eprasa.pl 9e8667b183

w okolicach Białogardu, Jastrowia i Trzemeszna Lubuskiego. W każdym z nich przechowywano blisko 100 ładunków: większość stanowiły głowice rakietowe o mocy 10 kt, resztę bomby lotnicze różnego kalibru, od 0,5 kt do 500 kt. Chociaż ładunków tych używać mieli Polacy, to jednak dopiero wówczas, gdy zezwoliłaby na to Moskwa.

Do przenoszenia polskiego arsenału atomowego miały służyć przede wszystkim samoloty myśliwsko-bombowe Su-7 BKŁ, zdolne do osiągnięcia prędkości 2 tys. km/h. Miały one jednak sporo wad, przede wszystkim niewielki zasięg, ponieważ rolę bombowców Sowieci powierzyli im po tym, jak nie sprawdziły się w roli rasowych myśliwców. W tej ostatniej kwestii lepsze okazały się migi-21, warte wspomnienia dlatego, że niektóre spośród nich – także eksploatowany przez Polaków tuzin migów-21 PFM N-93 – również mogły przenosić broń jądrową. Polska dysponowała ponad 40 Su-7, a uderzenia jądrowe miał wykonywać pułk lotniczy z Bydgoszczy. W latach 70. dostarczono do Polski blisko 30 sztuk Su-20 – czyli mocno zmodernizowanych Su-7 o zmiennej geometrii skrzydeł – i je również przystosowano do takich zadań (stacjonowały w Powidzu). W latach 80. PRL zakupiła ponad setkę Su-22 M4 – to kolejna wersja rozwojowa Su-7/20 – i chociaż miały one zdolność przenoszenia broni jądrowej, to pilotów nie szkolono w takich zadaniach. Nawiasem mówiąc, kilkanaście Su-22 do dziś lata w polskich barwach.

Zadaniem „ludowego" Wojska Polskiego było atakowanie sił NATO-wskich wzdłuż wybrzeża Bałtyku i dojście do Danii. Rozważano zatem uderzenia atomowe na miasta Hanower, Brunszwik, Kilonia i Brema w Niemczech oraz Esbjerg i Roskilde w Danii, aby zdezorganizować życie cywilne wroga oraz serię mniejszych uderzeń taktycznych na jego wojska. Atak miały prowadzić dwie armie podporządkowane dowództwu frontu: każda z tych formacji dysponowała brygadą artylerii wyposażoną w sześć wyrzutni rakietowych z głowicami termojądrowymi. W latach 60. były to przede wszystkim rakiety R-11M, wywodzące się z niemieckich V-2 i znane na Zachodzie jako Scud-A. Zastąpiły je później R-17, czyli Scud-B, których zasięg powiększono z ok. 170 km do ok. 300 km.

Testowy start rakiety Pershing II, 1983 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DOD

Każda z kilkunastu dywizji „ludowego" WP dysponowała również trzema wyrzutniami rakiet 9K6 lub 9K52 Łuna o zasięgu nieco większym niż 40 km: w sumie było ich ponad 40. Gdy w latach 80. przyszedł czas na wymianę sprzętu na nowszy, PRL była w stanie kryzysu gospodarczego i zakupiono jedynie osiem armat samobieżnych 2S7 Pion („Piwonia") o kalibrze 203 mm, zdolnych do strzelania pociskami z głowicą atomową oraz cztery wyrzutnie rakiet Toczka.

Dlaczego Moskwa przegrała?

Sowieci jeszcze w czasach Stalina rozpoczęli kampanię przeciwko broni atomowej. Wykorzystali do niej przede wszystkim zachodnie partie komunistyczne oraz pożytecznych idiotów: szanowanych w swoich środowiskach ludzi o pacyfistycznych przekonaniach. Pożyteczni idioci nie rozumieli, że nawet jeśli ich pacyfizm wynika z najszczerszych pobudek, to jest on zgodny z linią polityczną Kremla. Kiedy więc Amerykanie zaproponowali porozumienie rozbrojeniowe, Moskwa musiała się na nie zgodzić. W 1972 r. podpisano układ SALT (Strategic Arms Limitation Treaty). Jednym z jego zapisów było powstrzymanie się od rozwoju nowych międzykontynentalnych pocisków rakietowych.

Cały dowcip polegał na tym, że dotychczasowe sowieckie pociski rakietowe – przede wszystkim R-36 – były napędzane ciekłymi materiałami pędnymi, a amerykańskie minutemany napędzały stałe materiały pędne. Amerykanie naciskali guzik i ich rakiety startowały. Sowieci naciskali guzik i ich rakiety startowały po 30 minutach potrzebnych na zatankowanie. Moskwa nie mogła wygrać wojny jądrowej.

Gdy Sowieci zorientowali się, że zostali wymanewrowani, postanowili wykorzystać luki w traktacie. W 1978 r. zaczęli rozmieszczać rakiety RSD-10 Pionier (SS-20 Saber), które teoretycznie były pociskami średniego zasięgu, ale ten zasięg (ponad 5 tys. km) pozwalał im niszczyć cele w całej Europie. 6 stycznia 1979 r. prezydent USA Jimmy Carter wraz z przywódcami Europy zdecydowali o rozmieszczeniu do 1983 r. w Europie 464 pocisków manewrujących BGM-109 Tomahawk i 108 pocisków balistycznych MGM-31 Pershing II. Jednocześnie zaoferowali rozmowy rozbrojeniowe na temat broni średniego zasięgu.

Pershing II miał co prawda zasięg raptem 1,8 tys. km, ale jego celność wynosiła 30 m – w porównaniu z 1,3 tys. m sowieckich rakiet RSD-10 Pionier. Tomahawki mogły zaś – dosłownie – trafić w punkt. Jedynym środkiem zwalczania pershingów i tomahawków było rozniecenie przez Sowietów antyatomowej histerii. Pod przewodnictwem zachodnich partii komunistycznych i organizacji „pokojowych" organizowano w 1981 r. milionowe marsze „w obronie pokoju" i pikietowano amerykańskie bazy wojskowe. Sowiecka akcja specjalna była bliska osiągnięcia sukcesu, ale przeszkodził jej w tym Wojciech Jaruzelski, wprowadzając w Polsce stan wojenny. Widok czołgów na polskich ulicach zniechęcił Europejczyków do osłabiania obronności w swoich własnych państwach.

Gwoździem do sowieckiej trumny było ogłoszenie w 1983 r. przez prezydenta USA Ronalda Reagana rozpoczęcia „gwiezdnych wojen" – przeniesienia wyścigu zbrojeń w kosmos. Tego sowiecka gospodarka nie była w stanie wytrzymać i zaczęła się powoli rozsypywać. W 1990 r., a więc jeszcze przed rozpadem Związku Sowieckiego, rosyjskie głowice nuklearne zostały wywiezione z Polski. Na szczęście nie zostały użyte: wojna atomowa nie doprowadziłaby co prawda do zniszczenia życia na Ziemi, ale zostałaby przegrana przez stronę, po której – nie z własnej woli i wbrew swoim interesom – stała Polska.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Gustaw Herling-Grudziński, skazany na łagry. Autor „Innego świata"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1945–1989 / Ku wolności

Polscy bohaterowie zimnej wojny

Jan Parys

Ryszard Kukliński zajmuje tu poczesne miejsce, ale lista Polaków, którzy pomogli obalić żelazną kurtynę, zdaje się nie mieć końca

Gdy 19 stycznia 1945 r. wojska sowieckie zajmowały Warszawę, gen. Leopold Okulicki wydał rozkaz o rozwiązaniu Armii Krajowej. Napisał wówczas do żołnierzy, że wejście wojsk sowieckich na teren Polski nie kończy wojny, a od tej chwili każdy, kto czuje się żołnierzem, musi być dla siebie dowódcą i decydować, jak postępować, by pozostać wiernym Polsce. Warto pamiętać o ludziach, którzy zgodnie z tym rozkazem starali się przyczynić do uwolnienia Polski od sowieckiej okupacji.

Wielu młodych mężczyzn wstępowało po wojnie do wojska, nie mając świadomości, że LWP jest częścią sowieckiego potencjału militarnego. Niektórzy szli do armii, bo szukali przygody, inni dlatego, że rodzina była biedna i nie miała pieniędzy na utrzymanie dzieci. Jeszcze inni widzieli w służbie wojskowej drogę do awansu, tj. wyrwania się z życia na prowincji. Ryszard Kukliński poszedł do wojska, ponieważ czuł się Polakiem, a nie dlatego, że chciał realizować kremlowskie cele imperialne. Po latach służby w wojsku, dzięki swym zdolnościom,

eprasa.pl 9e8667b183

awansował. Uzyskał wtedy dostęp do danych, które postawiły go przed bardzo trudnymi decyzjami: czy biernie realizować sowieckie plany czy może jednak starać się zapobiec zagrożeniom dla własnego narodu.

Jako patriota nie mógł się pogodzić z tym, że sowieckie plany oznaczają katastrofę dla Polski. Podjął współpracę z USA, by ochronić Polskę przed zniszczeniem. Miał nadzieję, że kiedy ujawni USA plany sowieckiej agresji, NATO będzie w stanie przygotować się do stawienia oporu z użyciem broni konwencjonalnej, ponieważ jego zdaniem taki opór mógł być skuteczny.

Na własne oczy

Chciałbym bliżej wyjaśnić, jak to się stało, że Ryszard Kukliński zdecydował się na współpracę z USA. Jak sam wspominał, podjął taką decyzję z dwóch powodów. Pierwszym momentem było ujrzenie na własne oczy sowieckiej interwencji militarnej w Czechosłowacji w 1968 r. Była ona siłowym przekreśleniem czeskich prób reformowania socjalizmu w kierunku bardziej demokratycznym. Kukliński zrozumiał wtedy, że ZSRS nie pozwoli zreformować i zdemokratyzować socjalizmu także w Polsce.

Drugim momentem było uświadomienie sobie, czym skutkowałoby wdrożenie w życie nowych sowieckich planów ataku na Zachód. Po wojnie na Bliskim Wchodzie w 1967 r. Sztab Generalny Armii Sowieckiej zorientował się bowiem, że podciąganie zasobów broni nuklearnej bliżej linii frontu zachodniego będzie trwało zbyt długo. W Moskwie podjęto wówczas decyzję, że broń nuklearna powinna stacjonować blisko frontu, ponieważ w ten sposób będzie gotowa do szybkiego użycia i wsparcia wojsk Układu Warszawskiego.

Plany przewidywały użycie broni nuklearnej do przełamania oporu wojsk NATO. Kukliński pod koniec lat 60. rozpoczął pracę w Sztabie Generalnym LWP i od tej chwili miał dostęp do planów sowieckiego ataku nuklearnego. Jednocześnie wiedział, że państwa NATO redukują swe siły konwencjonalne, co zmusza je do tego, by w obronie sięgnąć po środki nuklearne. Główny kierunek

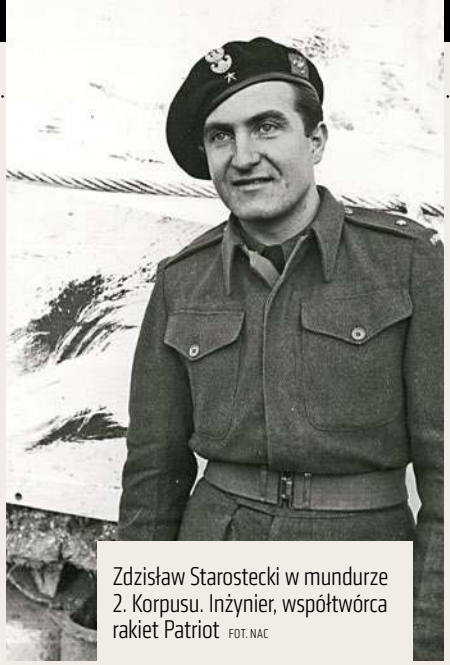

Zdzisław Starostecki w mundurze 2. Korpusu. Inżynier, współtwórca rakiet Patriot FOT. NAC

sowieckiej agresji miał być poprowadzony przez terytorium Polski. Oznaczało to, że odwet Zachodu będzie nuklearnym uderzeniem w wojska Układu Warszawskiego maszerujące po ziemiach polskich. Taka sytuacja, jak stwierdził Kukliński, oznaczałaby śmierć naszego narodu. Chcąc temu zapobiec, postanowił podjąć współpracę z USA. Polski oficer chciał przekonać Pentagon, że możliwa jest skuteczna obrona przed sowieckim atakiem, wykorzystując jedynie środki konwencjonalne. Dzięki temu Polska uniknęłaby nuklearnej zagłady.

Misja Kuklińskiego nie skończyła się jednak, gdy został on ewakuowany wraz z rodziną. Przez wiele lat brał udział w przygotowywaniu amerykańskiej strategii obronnej. Wykorzystywał wiedzę operacyjną nabytą podczas pobytów w ZSRS, by tłumaczyć amerykańskim generałom, jak myślą sowieccy stratedzy. Znać czyjeś plany to jedno, ale rozumieć sposób myślenia wroga, to już zupełnie inna, trudniejsza sprawa. Kukliński raz do roku przylatywał z USA do Europy, by w bazie w Ramstein szkolić amerykańskich oficerów odpowiedzialnych za obronę Starego Kontynentu. Po tych

> Znać czyjeś plany to jedno, **ale rozumieć sposób myślenia wroga to już zupełnie inna, trudniejsza sprawa**

szkoleniach brał parę dni urlopu, by zwiedzać zabytki i spotykać się z przyjaciółmi, np. w Szwajcarii.

Kluczowe momenty

Ryszard Kukliński był jednym z kilku samotnych polskich bohaterów zimnej wojny. Warto opowiedzieć nieco o Polakach, którzy przyczynili się do uświadomienia elitom zachodnim, jakim zagrożeniem jest Moskwa. Wymienię tych najważniejszych:

1951 r. – pisarz Gustaw Herling-Grudziński publikuje w Londynie książkę pt. „Inny świat". Są to wspomnienia z pobytu w łagrach sowieckich, które po przetłumaczeniu na kilka języków podważają wyidealizowany obraz komunizmu;

1953 r. – polski prawnik Rafał Lemkin publikuje w USA po angielsku książkę pt. „Soviet Genocide in Ukraine". Jest to pierwszy na Zachodzie opis komunistycznego ludobójstwa;

1957 r. – ksiądz profesor filozofii Józef Maria Bocheński organizuje w szwajcarskim Fryburgu Instytut Europy Wschodniej, który staje się główną placówką sowietologiczną na Zachodzie. Publikuje książki na temat komunizmu i marksizmu, wychowuje wielu uczniów. Sam doradza sześciu rządom w kwestii walki z komunizmem;

1957 r. – publicysta Aleksander Bregman publikuje w Londynie pionierską książkę pt. „Najlepszy sojusznik Hitlera", poświęconą współpracy ZSRS i III Rzeszy w latach 1939–1941;

1961 r. – profesor politologii Leopold Łabędź rozpoczyna w Londynie publikowanie po angielsku kwartalnika „Survey" poświęconego polityce zagranicznej i ustrojowi państw komunistycznych;

1962 r. – profesor fizyki Stanisław Ulam wraz z Edwardem Tellerem projektuje i buduje amerykańską bombę wodorową, co zapewnia USA przewagę militarną nad ZSRS na wiele lat;

1965 r. – profesor ekonomii Stanisław Swianiewicz publikuje w Londynie po angielsku pierwszą monografię na temat roli pracy przymusowej, czyli po prostu łagrów, w rozwoju ekonomicznym Związku Sowieckiego;

eprasa.pl 9e8667b183

1970 r. – płk Ryszard Kukliński rozpoczyna współpracę z USA, zaczyna przekazywać Amerykanom dokumenty dotyczące sowieckich zbrojeń i planów militarnej agresji;

1977 r. – Zbigniew Brzeziński zostaje doradcą prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, wpływając tym samym na politykę Waszyngtonu wobec ZSRS;

1979 r. – odbywa się pierwsza pielgrzymka Jan Pawła II do Polski. Naród czuje się zjednoczony i silny, co owocuje strajkami w roku następnym i powstaniem Solidarności;

1981 r. – profesor historii Richard Pipes zostaje doradcą prezydenta Ronalda Reagana do spraw Rosji i wpływa na amerykańską strategię zagraniczną wobec ZSRS;

1981 r. – administracja amerykańska wspiera publicznie Solidarność mimo wprowadzenia stanu wojennego. Biały Dom korzysta z opracowań profesor prawa międzynarodowego Krystyny Marek z Berna na temat pozaprawnego charakteru porozumień z Jałty (jej artykuły na ten temat ukazywały się po angielsku na przełomie lat 70. i 80. XX w.). Ronald Reagan oficjalnie odrzuca porozumienia z Jałty o podziale Europy, które były podstawą dla panowania ZSRS we wschodniej części naszego kontynentu. Neguje także doktrynę Breżniewa, czyli prawo ZSRS do zniewalania innych narodów;

1984 r. – do arsenału wojsk USA wchodzą rakiety Patriot. Szefem zespołu konstruktorów jest Polak, inż. Zdzisław Starostecki, osobiście odpowiedzialny za budowę głowicy rakiety. Dzięki niemu USA mają skuteczną broń antyrakietową i odzyskują przewagę nad ZSRS utraconą po klęsce w Wietnamie.

Przekierowanie odwetu

Co konkretnie osiągnął Ryszard Kukliński swą misją? Jakie było znaczenie dokumentów przekazanych przez tego oficera Zachodowi?

W 1979 r., pod wpływem informacji uzyskanych od Kuklińskiego o szczegółowym rozmieszczeniu wojsk sowieckich, prezydent USA zmienił dyrektywę dotyczącą użycia broni nuklearnej. Od tej pory w razie konieczności odwetu zamiast uderzeń w miasta w krajach socjalistycznych planowane są uderzenia na miejsca stacjonowania i koncentracji Armii Sowieckiej.

Stanisław Swianiewicz, autor pracy o ekonomicznej roli łagrów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CAW

W grudniu 1980 r. prezydent USA, dzięki informacjom przekazanym przez Ryszarda Kuklińskiego o możliwej interwencji zbrojnej wojsk ZSRS przeciwko Solidarności, podejmuje inicjatywę wobec władz w Moskwie i doprowadza w ostatniej chwili do zablokowania zbrojnej napaści na Polskę ze strony Armii Sowieckiej.

W 1986 r. w Rejkiawiku podczas spotkania z Gorbaczowem Ronald Reagan, korzystając z informacji od Ryszarda Kuklińskiego na temat lokalizacji sowieckich bunkrów dowodzenia, mówi przywódcy ZSRS, że jego kraj nie tylko upada gospodarczo, lecz także pod kątem militarnym nie jest zagrożeniem dla USA. Stwierdza, że gdyby przywódcy Związku Sowieckiego pomyśleli o wojnie, ich bunkry przeznaczone dla władz politycznych zostaną zniszczone po pięciu minutach od rozpoczęcia ataku, podobnie jak wszystkie bunkry dowodzenia Armii Sowieckiej. W tym momencie Gorbaczow zrozumiał, że skoro NATO zna dokładną lokalizację wszystkich tych kluczowych miejsc, to znaczy, że Kreml przegrał zimną wojnę.

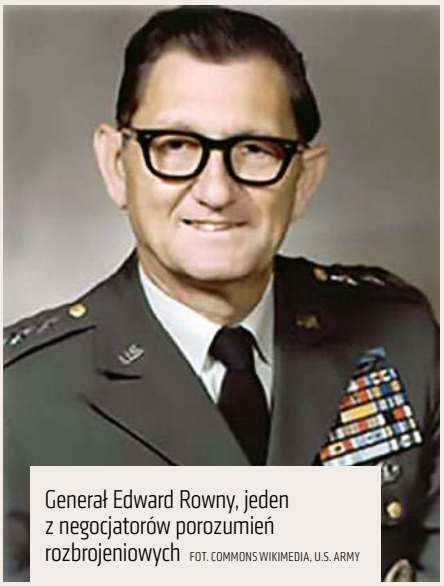

Generał Edward Rowny, jeden z negocjatorów porozumień rozbrojeniowych FOT. COMMONS WIKIMEDIA, U.S. ARMY

W 1987 r. amerykański generał polskiego pochodzenia Edward Rowny, korzystając z informacji od Kuklińskiego o sowieckiej broni rakietowej, negocjuje z ZSRS układ INF, czyli ograniczenie zasobów rakiet średniego i krótkiego zasięgu.

Podsumowując zasługi Ryszarda Kuklińskiego, należy podkreślić, że chociaż współpracował z USA, to przede wszystkim przyczynił się do zmniejszenia ryzyka konfliktu zbrojnego w Europie.

Oczywiście opór wobec komunizmu trwał także w kraju. Nie można zapomnieć o oporze żołnierzy niezłomnych ani o buntach robotniczych z lat 1956, 1970 i 1976, czy o roli Solidarności. To były ważne wydarzenia świadczące o polskim pragnieniu wolności. Każdy taki bunt osłabiał reżim komunistyczny. Zatem Polacy, mimo braku własnego państwa, nie byli bierni w trakcie zimnej wojny – brali w niej czynny udział.

To, że dziś żyjemy w wolnym kraju i korzystamy z wolności, jest zasługą kilku pokoleń Polaków, dla których przetrwanie narodu w czasach zniewolenia i nieustanne dążenie od zrzucenia sowieckich kajdan było najważniejszym życiowym powołaniem. Każde pokolenie dostaje Polskę w depozyt i ma ojczyznę chronić, by przekazać ją pokoleniu swoich dzieci silniejszą i piękniejszą. Dziś mamy własne państwo i praca dla kraju jest łatwiejsza. Jak mówi nasza konstytucja, każdy, kto jest polskim obywatelem, ma obowiązek być wiernym Rzeczypospolitej. Ma także obowiązek bronić naszego kraju, i to nie tylko przed bezpośrednią agresją, lecz także przed jakimkolwiek uzależnieniem. Nie ma bowiem suwerenności, o której mówi nasza konstytucja, bez państwa, które samo decyduje o losie swych obywateli.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Roman Halicki przyjmuje wysłannika papieża. Obraz Nikołaja Newrewa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIAŁORUSKIE MUZEUM NARODOWE

1205 r. /

Śmiertelne

eprasa.pl 9e8667b183

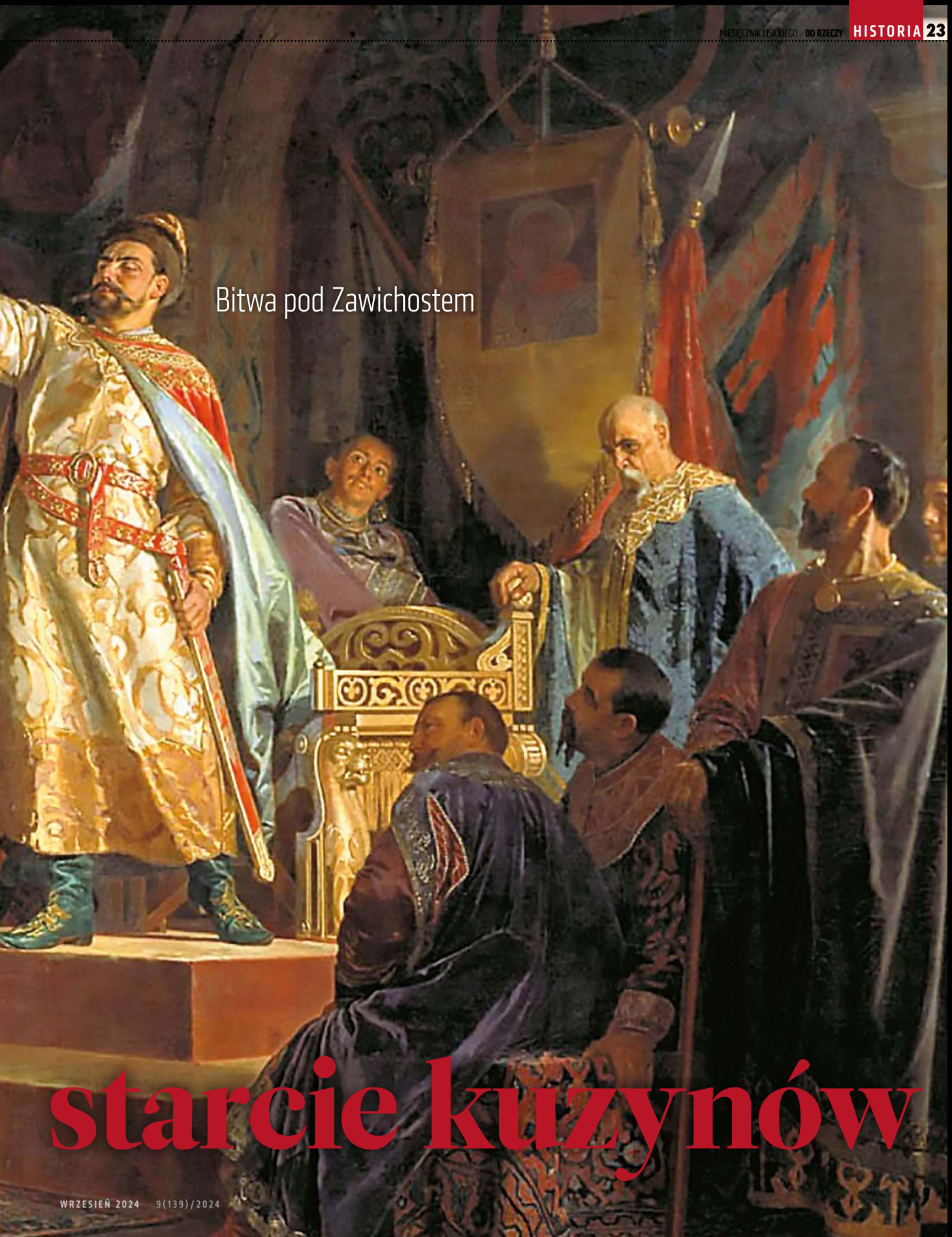

Bitwa pod Zawichostem

starcie kuzynów

Leszek Lubicki

Nie brak opinii, że było to największe zwycięstwo polskiego oręża w okresie średniowiecza aż do czasu starcia z Krzyżakami pod Grunwaldem. Z niewiadomych przyczyn jest ono niemal zupełnie zapomniane

W średniowieczu dzisiejszy sojusznik i przyjaciel za chwilę mógł stać się wrogiem. Co więcej, władcami obydwu wojujących stron bywali bliscy krewni. W tym konkretnym przypadku byli to cioteczni bracia. Trzej książęta, którzy brali udział w tym starciu, byli także wnukami Bolesława Krzywoustego. Z polskiej strony mowa o rodzonych braciach – Leszku Białym i Konradzie Mazowieckim (synach Kazimierza II Sprawiedliwego). Ze strony ruskiej natomiast do boju stanął Roman Mścisławowicz z dynastii Rurykowiczów, bardziej znany jako Roman halicki, syn Agnieszki, najmłodszej córki Krzywoustego, rodzonej siostry Kazimierza II.

A jeszcze przed dekadą, w roku 1195, Roman przyszedł ze zbrojną pomocą Leszkowi w haniebnej bitwie nad Mozgawą. Wówczas to odsunięty wiele lat wcześniej od krakowskiego tronu na rzecz Kazimierza Sprawiedliwego senior rodu Piastów Mieszko Stary, wspierany przez piastowskich książąt śląskich, podjął zbrojną wyprawę na Małopolan w celu odzyskania wielkoksiążęcego tronu w Krakowie. Dzierżył go wtedy spadkobierca Kazimierza, ok. 10-letni najstarszy syn – Leszek. Choć bitwa ta uważana jest za nierozstrzygniętą, to zapewne pomoc Romana w niemałej mierze pomogła wojskom małopolskim, by Mieszko odstąpił. Sam książę Roman został wówczas ciężko ranny, a jego wojska wycofały się czy wręcz uciekły z pola bitwy, gdy ich wódz nie mógł już walczyć.

Roman Halicki FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pan halicki

Już od czasów wczesnopiastowskich pierwsza polska dynastia przeplatała się bardzo mocno z Rurykowiczami pod kątem związków małżeńskich. Nasi książęta brali za żony Rusinki, a Piastówny były wydawane za ruskich książąt. Dla tej opowieści ważne jest wspomnienie jednego takiego związku. Starsza siostra Kazimierza Sprawiedliwego, Agnieszka, została wydana za mąż za Mścisława II Izjasławicza, wielkiego księcia kijowskiego. Z tego związku przyszło na świat kilku synów, w tym dwóch pewnych, Roman i Wsiewołod, oraz problematycznego pochodzenia Światosław. Prawdopodobnie nie był on synem Agnieszki, a jej męża z pierwszego małżeństwa. Jego to Kazimierz w 1182 r. osadził zbrojnie w Brześciu nad Bugiem. Ciekawostką jest, że w tej bitwie, jak zanotował mistrz Wincenty, po raz pierwszy pada wzmianka o piastowskim znaku – orle, jako symbolu polskiego monarchy i jego hufców. Światosław zostaje w następnym roku otruty. Na jego miejsce Kazimierz osadza Romana, który jest praktycznie wychowywany na dworze swego wuja, gdy ten był jeszcze księciem w dzielnicy sandomierskiej. Lata później Kazimierz ponownie wspiera zbrojnie siostrzeńca, dzięki czemu ten „uzyskał księstwo włodzimierskie, a nawet na krótki czas zajął księstwo halickie" (Chrzanowski, 2021). Wówczas władca tej prowincji, Włodzimierz, uciekł na Węgry, gdzie uzyskał pomoc, dzięki której powrócił na tron halicki. Jednak potężny król węgierski Bella III zmienił zdanie i stwierdził, że ziemie te zajmie dla swojego syna Andrzeja.

Węgrzy uprowadzili wówczas i uwięzili Włodzimierza, ostatniego przedstawiciela dynastii halickiej Rościsławiczów. Ten jednak zbiegł „z więzienia węgierskiego i uzyskał następnie poparcie cesarza Fryderyka Barbarossy, który polecił Kazimierzowi udzielić pomocy. Kazimierz chętnie wystąpił przeciwko panowaniu węgierskiemu i wyprawił na Halicz wojewodę Mikołaja, który 6 sierpnia 1189 r. wprowadził uroczyście księcia Włodzimierza do jego stolicy" (Wasilewski, „Poczet, 1991). Kazimierz Sprawiedliwy, jak widzimy, nie chciał ziem ruskich włączać do swojego władztwa, tylko mieć po stronie wschodniej książąt uległych Polsce. Jego koncepcję kontynuował najstarszy syn, Leszek. Po śmierci Włodzimierza w 1199 r. nadarzyła się okazja do podziękowania księciu Romanowi za udział w bitwie nad Mozgawą. Roman „udał się do Polski prosić Krakowian o pomoc. Regencja rządząca w Krakowie [księżna Helena, bp Pełka, wojewoda Mikołaj – przyp. red.] udzieliła takiego wsparcia i oddziały polskie dowodzone przez 15-letniego Leszka Białego ruszyły na Halicz […]. Była to pierwsza zbrojna wyprawa księcia Leszka, która zakończyła się pełnym sukcesem. Przy udziale wojsk polskich Roman zasiadł w Haliczu, łącząc w swoich rękach dwa księstwa: halickie i włodzimierskie" (Chrzanowski, 2021). Później już bez przerwy trwały walki pomiędzy tamtejszymi książętami, a Roman stał się najpotężniejszym księciem południowej Rusi (na krótko przed śmiercią również władcą Kijowa).

Rozterki władzy

Potęga Romana halickiego urosła tak samo szybko, jak potem upadła. Ale

eprasa.pl 9e8667b183

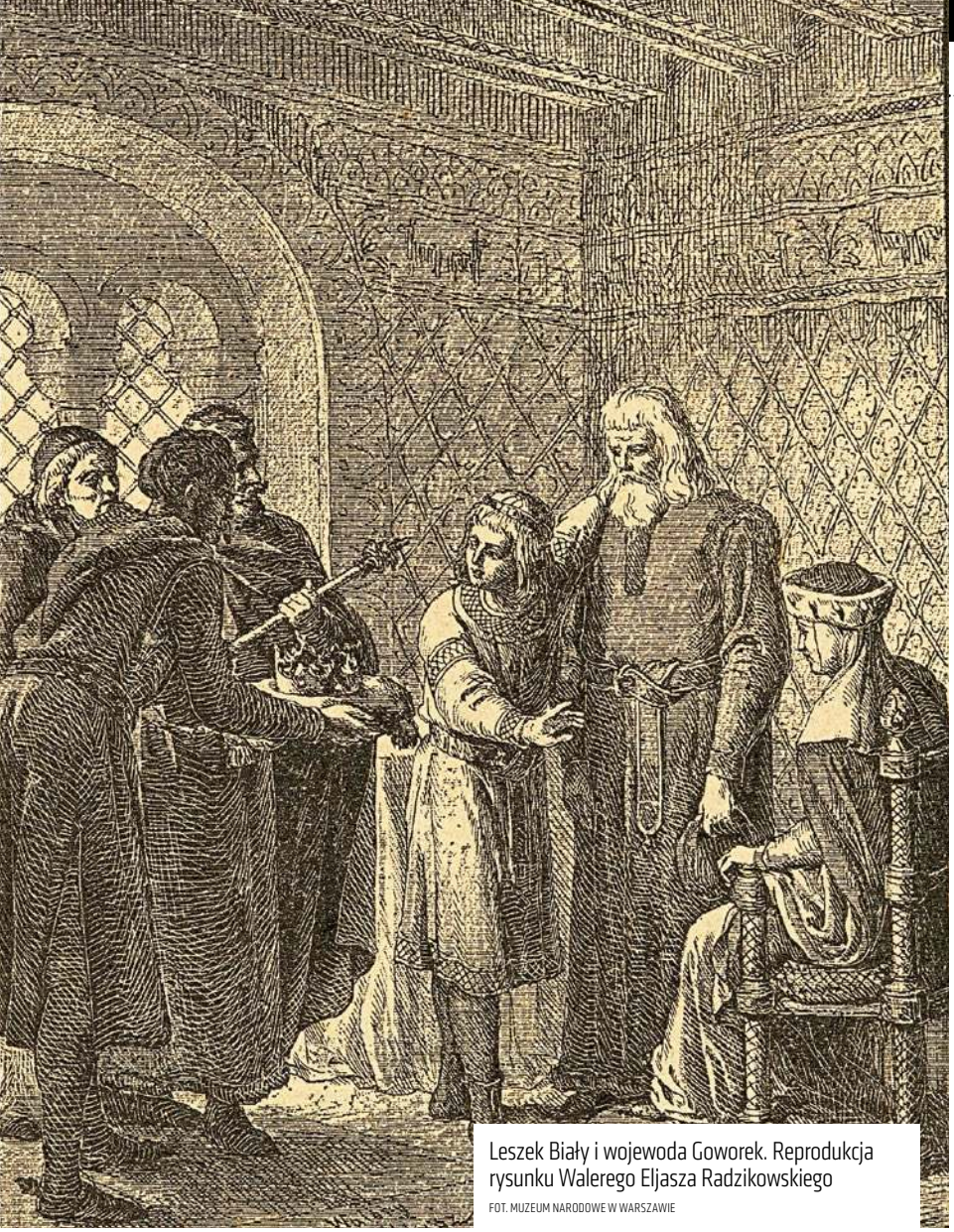

Leszek Biały i wojewoda Goworek. Reprodukcja rysunku Walerego Eljasza Radzikowskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

o tym za chwilę, bo w Krakowie w tym czasie także działy się rzeczy bardzo ciekawe. Po śmierci Mieszka Starego (w 1202 r.), który jeszcze na krótko przed zejściem z tego świata powrócił na senioralny tron po zawarciu umowy z księżną wdową po Kazimierzu Sprawiedliwym Heleną, trwały dyskusje, kto przejmie wielkoksiążęcą władzę po ostatnim, najdłużej żyjącym z synów Bolesława Krzywoustego. Helena z synami, Leszkiem i Konradem, przebywają w Sandomierzu, jednak mają zagwarantowaną w umowie zgodę starego księcia, że Leszek po jego śmierci zostanie księciem zwierzchnim, princepsem, i zasiądzie na tronie w Krakowie, a Konrad obejmie dzielnicę mazowiecką. Umowy między książętami to jedno, a zgoda możnowładców to już całkowicie co innego. Nastały już takie czasy, że bez akceptacji możnowładców świeckich i duchownych książęta z rodu „panów przyrodzonych" nie mogli sami decydować w tak kluczowych sprawach dla Polski jak obsadzenie krakowskiego tronu.

„Statut Krzywoustego nadawał dzielnicy senioralnej wyjątkową rangę, a jej stolicę wynosił ponad inne stołeczne grody dzielnicowe, czyniąc z Krakowa przedmiot pożądania wszystkich książąt piastowskich. Miejscowe możnowładztwo szybko się zorientowało, że stwarza mu to niepowtarzalną szansę odegrania roli twórców króli, bo żaden z Piastów nie mógł dłużej utrzymać się na tronie krakowskim bez jego akceptacji i poparcia" (Urbański, 2005). Nie inaczej było i tym razem. Najpotężniejszy z możnowładców krakowskich, wojewoda Mikołaj, poparł prawdo Leszka do tronu, jednak do umowy zawartej między książętami wniósł, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, „aneks". Chodziło mu o to, aby najwyższym urzędnikiem, palatynem, był człowiek z Krakowa, czyli w tym przypadku on sam. Leszek natomiast chciał, aby był nim jego opiekun od najmłodszych lat, wojewoda sandomierski Goworek. Gdy „Leszek umowy nie przyjął, potężny Mikołaj i jego krakowskie stronnictwo zaprosiło na stołeczny tron księcia wielkopolskiego Władysława Laskonogiego (nazywany był tak od swoich długich, cienkich nóg), syna Mieszka Starego" (Nowak, 2015).

Leszek Biały, który już wcześniej krótko dzierżył tron krakowski jako spadkobierca Kazimierza Sprawiedliwego, spokojnie czekał na swój czas. Przypuszczał bowiem, i słusznie, że jego starszy o 20 lat stryjeczny brat pójdzie w ślady swego ojca i będzie chciał wprowadzić rządy autokratyczne. „W Krakowie nie mógł jednak od razu wprowadzić rządów silnej ręki – został tu zaproszony, nie był przyrodzonym panem stołecznego grodu, ale panem wybranym" (Nowak, 2015). Prawdopodobnie po śmierci protektora Laskonogiego, wojewody Mikołaja – jak powiadał Henryk Samsonowicz – „krakowscy panowie doszli do wniosku, że lepiej jednak mieć na miejscu kogoś, kogo mogliby kontrolować. Laskonogi zorientował się, że bez ich poparcia nie utrzyma władzy, i wrócił do Wielkopolski. Dopiero wtedy Leszek zaczął uzyskiwać pozycję poważnego władcy w Krakowie" („Władcy Polski", 2018).

Na Polskę!

Państwo Romana w owym czasie należało do najbardziej znaczących i najbogatszych (obok Nowogrodu Wielkiego) księstw ruskich. Stało się tak dzięki wcześniejszej polityce Kazimierza Sprawiedliwego, który wspierał swego siostrzeńca w walce o władzę na Rusi. Później Roman bezwzględnie i okrutnie umacniał tam swoje panowanie. Oczywiste wydawało się zatem, że naturalnym sojusznikiem dla Leszka Białego będzie teraz jego brat cioteczny – potężny władca Rusi Roman halicki. Odwołajmy się w tym miejscu do zapisów „Kroniki

eprasa.pl 9e8667b183

Leszek Biały. Rysunek Jana Matejki z cyklu „Poczet królów i książąt polskich" FOT. BN

Konrad Mazowiecki. Rysunek Jana Matejki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

wielkopolskiej". Roman „osiągnąwszy więc powodzenie za cenę nieszczęść innych, w krótkim czasie nadmiernie urósł, tak że potężnie władał prawie wszystkimi książętami i dzielnicami Rusi". I dalej: „[…] odmawia danin księciu Leszkowi i zuchwale przeciwstawia się jego władzy, a nawet zebrawszy niezliczone wojsko, potężnym oddziałem niespodziewanie najeżdża Polskę [...]. Tak to Roman, który zapomniawszy dobrodziejstw, tylekroć mu wyświadczonych przez Kazimierza i jego syna Leszka, ośmielił się napaść na swoich krewnych…".

W tym miejscu musimy sobie zadać pytanie, dlaczego Roman halicki tak haniebnie postąpił. Sprawa nie jest jednak prosta i do dzisiaj historycy nie są w stanie zająć jednoznacznego stanowiska, jako że „wszystkie przekazy związane z kampanią zawichojską 1205 roku spisywane były jednak już z perspektywy przynajmniej kilkudziesięciu, a czasami nawet i kilkuset lat. Nie udało się też dowieść, by którakolwiek z tych późnych, najczęściej bardzo krótkich wersji, opierała się na relacjach naocznych świadków bądź uczestników wydarzeń, w najlepszym wypadku korzystając z przekazów z drugiej lub nawet trzeciej ręki" (Foryt, 2021).

Autor cytowanej rozprawy o bitwie pod Zawichostem podaje kilka przyczyn tego konfliktu, m.in. że Roman chciał tylko z wojskiem „przejść" przez Polskę i wziąć udział w wojnie domowej na terenie Cesarstwa, aby poprzeć jedną ze stron konfliktu. Jednak na potrzeby tej opowieści przedstawimy dwie najbardziej prawdopodobne wersje. „Większość polskich historyków doszukuje się jednak przyczyn wyprawy w rywalizacji między Leszkiem Białym a Władysławem Laskonogim. Pierwotnie Roman miał wspierać Leszka, ale postanowił porozumieć się w Laskonogim" (Teterycz-Puzio, 2020). Dlaczego? Otóż Leszek Biały wraz z bratem Konradem Mazowieckim zajmowali cały pas ziemi graniczący z władztwem Romana. Nie jest do dzisiaj pewne, czy w tym roku Leszek już władał w Krakowie czy tylko w Sandomierzu, a Kraków dzierżył Laskonogi. Jeżeli to jednak młodszy Kazimierzowic rządził stolicą, wówczas Władysław Mieszkowic mógł zachęcić Romana, aby ten pomógł mu w odzyskaniu Krakowa. Roman miał powody się obawiać, że panujący na tronie senioralnym Leszek w sojuszu z bratem Konradem byłby na tyle silny, aby hamować ekspansję księcia halickiego na wschodnie polskie ziemie, które według niego jemu się należały. Potężny Leszek Biały mógłby „nawet powrócić do dawnej ambitnej polityki Kazimierza Sprawiedliwego: kontrolowania księstw zachodnioruskich. Laskonogi, ze swoją bazą polityczną w Wielkopolsce, zmuszony bronić jej przed naciskiem

eprasa.pl 9e8667b183

duńskim i brandenburskim od zachodu, nie reprezentował żadnego zagrożenia dla skupionych na wschodniej granicy Polski ambicji księcia Romana" (Nowak, 2015). Druga hipoteza wydaje się również możliwa. „Sojusz Leszka (i, jak się wydaje, również Konrada) z Romanem nie odbywał się na równych zasadach. Istniała wyraźna tendencja traktowania księcia halicko-wołyńskiego jako władcy zależnego […]. Po utwierdzeniu swojej władzy nad Haliczem i podporządkowaniu sobie Kijowa dawny petent, dopraszający się pomocy Małopolan, stał się obecnie najpotężniejszym księciem południowej części Rusi […]. Atak Romana na Polskę, mający najprawdopodobniej na celu zdobycie Drohiczyna, służył z jednej strony zamanifestowaniu jego potęgi i niezależności, z drugiej strony miał doprowadzić do upokorzenia osłabionego piastowskiego kuzyna" (Foryt, 2021). Badacz bitwy wysuwa dającą się raczej obronić hipotezę, że „Roman, atakując w 1205 r. księstwo sandomierskie, nie mógł tego czynić w interesie Laskonogiego ani zresztą jakiegokolwiek innego Piastowica. Działał zdecydowanie na własną rękę".

Krwawa Wisła

A jak przebiegała sama bitwa pod Zawichostem? Siły ruskie mogły liczyć od 5 tys. do 7 tys. zbrojnych, a polskie od 2 tys. do 2,5 tys. Znaczna przewaga wojsk Romana zapewne spowodowała w jego ocenie błędne założenie, że nie napotka tutaj większego oporu. Zwyczajnie zgubiła go pycha. Posłuchajmy bodaj najprościej i najładniej oraz najkrócej opisanego przebiegu bitwy pod Zawichostem. „Książę Roman poczynał sobie bardzo lekkomyślnie. Przeprawił się dużym wojskiem na lewy brzeg Wisły, gdzie 19 czerwca o świcie uderzyli nań Polacy, łamiąc zacięty opór i spychając wroga w stronę rzeki. Kto miał lepszego konia lub umiał pływać, rzucał się w wodę, inni ginęli. Roman, pod którym zabito konia, przeprawił się na jakiejś starej szkapie i poległ w czasie ucieczki. Na prawym brzegu zbierali się ocaleni, patrząc na płynących swoich i obcych oraz na rzeź. Podmyte pewnie urwisko nie wytrzymało ciężaru tłumu pancernych jeźdźców – runęło wraz z nimi do rzeki" (Jasienica, 1985).

Nie jest natomiast do końca pewne, kto dowodził siłami sandomierskimi Leszka Białego i mazowieckimi Konrada. Przypuszcza się, że był to doświadczony w bojach wojewoda mazowiecki Krystyn. Nie można wykluczyć także obecności darzonego szacunkiem przez Leszka wojewody sandomierskiego Goworka. „Jan Długosz uznał, że książęta nie uczestniczyli w bitwie z powodu młodego wieku, jednak w tym czasie Leszek Biały mógł mieć ok. 20 lat, Konrad był od niego niewiele młodszy, zatem ich udział w bitwie nie jest wykluczony" (Teterycz-Puzio, 2020). Zwycięstwo w bitwie pod Zawichostem na pewno umocniło pozycję Leszka Białego wobec Laskonogiego, którego usunięto z Krakowa. Po śmierci wojewody Mikołaja najważniejszą pozycję możnowładczą zajął Goworek, stając się kasztelanem krakowskim wyniesionym wyżej ponad pozycje wojewody.

Pomimo tak wiarołomnego zachowania Romana polscy książęta Leszek i Konrad raczej nie czuli urazy do jego rodziny. Żona Romana obawiała się potem zagrożenia ze strony halickich bojarów, z którymi wcześniej jej mąż się nie cackał. Uciekła wraz z synami „do Lachów", a schronienia udzielił jej Leszek Biały. Jak podaje Jan Długosz, zwłoki Romana polski książę kazał pochować w Sandomierzu. Później ruscy panowie wykupili je od Leszka Białego za tysiąc grzywien srebra (Roman miał zostać pochowany we Włodzimierzu). Zakończmy naszą opowieść słowami największego polskiego dziejopisa: „Rzeka Wisła zabarwiona przez jakiś czas krwią ludzką, mieszając czerwień z właściwym sobie kolorem, dawała patrzącym świadectwo o rozmiarach rzezi […]. Samo zaś zwycięstwo było tak głośne i słynne, że u sąsiednich narodów sławiono je, często o nim mówiąc […], zaś Polscy opiewali je i jego przebieg w różnych pieśniach, które po dziś dzień słyszymy śpiewane dźwięcznymi głosami na widowiskach". Niestety, nikt ich nie spisał i zapewne dlatego tak chwalebna dla polskiego oręża bitwa pod Zawichostem jest niemal kompletnie zapomniana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Chrzanowski M., ***„Leszek Biały, książę krakowski i sandomierski, princeps Poloniae",*** *Kraków 2021; Foryt A.,* ***„Zawichost 1205",*** *Warszawa 2021, Garlicki A. (red.),* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 1991; Jasienica P.,* ***„Polska Piastów",*** *Warszawa 1985; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski",*** *T. 2, Kraków 2015; Teterycz-Puzio A.,* ***„Dwie bitwy",*** *Połomia 2020, Urbański M.,* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 2005.*

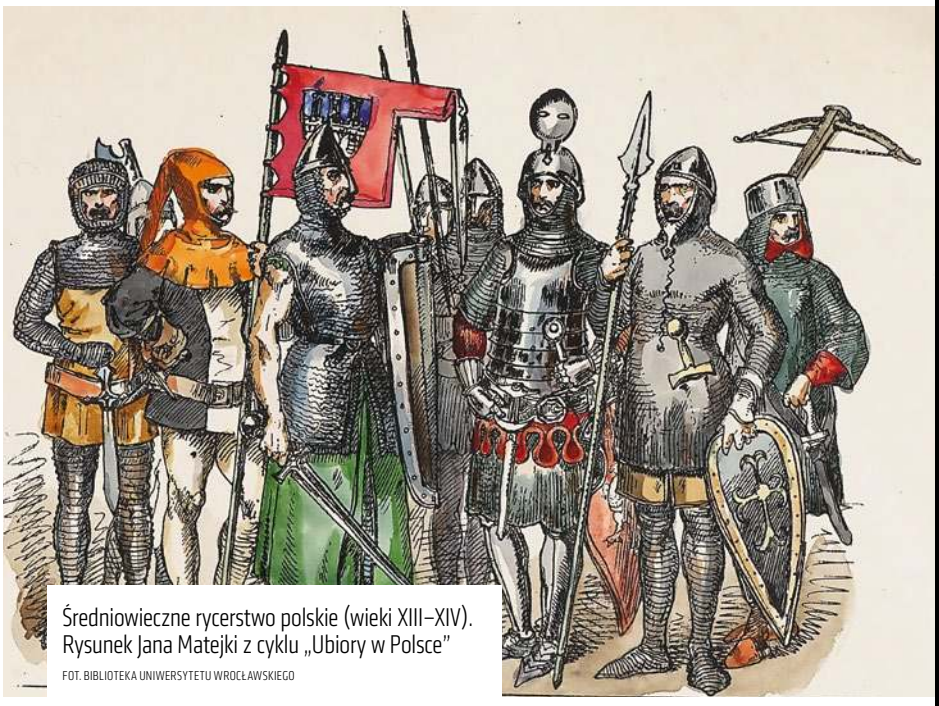

Średniowieczne rycerstwo polskie (wieki XIII–XIV). Rysunek Jana Matejki z cyklu „Ubiory w Polsce"

FOT. BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

eprasa.pl 9e8667b183

Joseph Kony wykorzystywał dzieci
FOT. INVISIBLECHILDREN.COM

Afryka Środkowa / Pościg za zbrodniarzem z LRA

Dzieci zabójcy Kony'ego

Anna Szczepańska

Rekrutów do Armii Bożego Oporu wcielano siłą, porywając ich sprzed domów. Dzieci uczyniono maszynami do zabijania, wtłaczając im do głów fanatyczne teorie. Za tym horrorem stał jeden człowiek – Joseph Kony, samozwańczy ugandyjski mesjasz, który wciąż pozostaje nieuchwytny

Podobno najlepiej indoktrynacji poddają się 8-, 10-letnie dzieci. Są już na tyle duże, że dość dobrze rozumieją polecenia, wiele mogą zrobić same, a jednocześnie wciąż są na tyle małe, że nie będą zastanawiały się nad konsekwencjami swoich czynów, nad tym, czy coś jest dobre lub złe. Takie dzieci porywano najchętniej. Choć oczywiście nie tylko takie. Wyszkolić można było każdego, potrzebna była tylko dyscyplina i więcej cierpliwości. Trzylatków także można było wszystkiego nauczyć, a 15-latków zdyscyplinować, łamiąc ich opór siłą.

Dominic Savio urodził się w 1975 r. w północnej Ugandzie, jego rodzice byli nauczycielami. Kiedy miał kilka lat coraz częściej słychać było pogłoski o rebeliantach, którzy uprowadzają dzieci, a potem zabijają ich rodziców. Aby ocalić resztę rodziny, gdyby doszło do uprowadzenia któregoś dziecka, ludzie zaczęli nadawać im fałszywe nazwiska. Od najmłodszych lat wpajano dzieciom, jak mają się przedstawiać, gdyby ktoś zabrał je do buszu. Nie inaczej uczono Dominica. Rodzice nadali mu fałszywe nazwisko Ongwen.

Któregoś dnia w 1988 r., kiedy Dominic wracał ze szkoły, na jego drodze stanęli uzbrojeni mężczyźni. Chłopiec nie miał gdzie uciekać. Zabrano go do ukrytego w lesie obozu. Znajdowało się tam też wiele innych dzieci. Chłopak nie zapomniał, czego uczyli go rodzice – mówił, że nazywa się Dominic Ongwen. I tak przedstawia się do dzisiaj.

Dominic i reszta zostali poddani intensywnej tresurze. Poprzez bicie i tortury wymuszano na nich posłuszeństwo, a w czasie „wykładów" przerabiano ich młode umysły. Mówiono dzieciom, że biorą udział w wielkim zrywie, że mogą zmienić Ugandę, lecz na ich drodze stoją wrogowie, których należy pokonać. Dominic znosił to traktowanie przez jakiś czas, lecz w końcu, w porozumieniu z kilkoma chłopcami, postanowił uciec. Plan się jednak nie powiódł. Wszyscy zostali złapani i skazani na śmierć. Dominic dostał jednak szansę – miał obedrzeć ze skóry jednego ze swoich towarzyszy ucieczki.

eprasa.pl 9e8667b183

Dowiódłby tym lojalności i okazałby gotowość wykonania każdego rozkazu. Jeśliby się jednak nie zgodził, to ktoś inny wobec niego miał zastosować tę samą torturę.

Dominic zrobił, co mu kazano, tym samym przypieczętowując swój los. Został żołnierzem Armii Bożego Oporu (Lord's Resistance Army – LRA) i od tamtej pory z zaangażowaniem wypełniał wszystkie polecenia. Z roku na rok piął się coraz wyżej po szczeblach hierarchii, stając się jednym z najważniejszych dowódców LRA. Nadzorował akcje zbrojne przeciwko cywilom oraz regularnej ugandyjskiej armii, był odpowiedzialny za porwania dzieci, ich indoktrynację, za grabież, zabójstwa i gwałty. Od początku lat dwutysięcznych był jedną z pięciu najbardziej poszukiwanych osób w Ugandzie. Został schwytany w 2013 r. Przeciwko niemu zeznawało 4 tys. osób. Jak ustalono, Ongwen nie tylko dowodził napadami, lecz także kazał zabijać, a wedle niektórych relacji również gotować i zjadać swoje ofiary. Kluczowymi dowodami przeciwko niemu były zapisy rozmów prowadzonych przez telefony satelitarne. W 2021 r. Ongwen został skazany przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze (MTK) na 25 lat więzienia. Ponieważ sam był nie tylko katem, lecz także najpierw ofiarą barbarzyńskich praktyk, obrońcy apelowali o łagodniejszy wyrok. Sąd jednak nie przychylił się do ich stanowiska. Dominic Ongwen to jak dotąd jedyny tak wysoko postawiony zbrodniarz LRA, który został skazany.

Wrzenie

Uganda nie miała szczęścia właściwie od początku. Pierwszy prezydent Milton Obote, który początkowo uważany był za bohatera narodowego, stracił popularność, kiedy zaczął rozprawiać się z opozycją i wprowadzać socjalistyczne reformy. W 1971 r., gdy przebywał z wizytą poza krajem, został obalony przez wojskowych z Idi Aminem na czele. Te rządy okazały się dla Ugandy prawdziwą katastrofą. Szalone pomysły Amina doprowadziły do konfliktu z Tanzanią. Pod koniec lat 70., w wyniku interwencji wojsk tanzańskich i sformowanej na jej terytorium Narodowej Armii Wyzwolenia Ugandy, Amin został obalony. Rządy

Joseph Kony FOT. AP/EAST NEWS

w Kampali po raz kolejny objął Obote, który jednak coraz wyraźniej wykazywał dyktatorskie zapędy. W połowie lat 80. doszło do regularnej wojny domowej. Obote został ponownie odsunięty od władzy, którą przejął następnie Yoweri Museveni (do dziś sprawuje rządy). Wtedy wydawało się jednak, że Uganda zakosztuje pokoju i zacznie się rozwijać.

„Częścią naszego programu jest bezpieczeństwo osób i mienia. Każdy w Ugandzie musi być absolutnie bezpieczny. Każdy może żyć tam, gdzie chce. Każda osoba, każda grupa, która zagraża bezpieczeństwu naszego ludu, musi zostać zmiażdżona bez litości. Mieszkańcy Ugandy powinni umierać wyłącznie z przyczyn naturalnych, które są poza naszą kontrolą, a nie z powodu innych ludzi, którzy nadal przemierzają naszą ziemię" – mówił Museveni w 1986 r. Nowy prezydent spotykał się z najważniejszymi politykami świata, chciał reform, zgadzał się na udział Ugandy w programie Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Zachód był zadowolony z kierunku, w którym zmierzał ten wschodnioafrykański kraj. Niewielu przeczuwało, jakie problemy pojawią się na horyzoncie.

Konflikty etniczne pozostają jedną z największych bolączek Afryki. Przynależność etniczna ma często daleko większe znaczenie od przynależności narodowej; o narodach w klasycznym, „europejskim" rozumieniu w odniesieniu do Afryki w ogóle należy mówić bardzo ostrożnie.

Yoweri Museveni pochodzi z grupy etnicznej Mpororo mieszkającej na południu Ugandy. Od pierwszych chwil sprawowania władzy faworyzował swych ziomków, ignorując mieszkańców północy kraju – tam, nawet wiele lat po obaleniu Obote, wciąż wspominano byłego prezydenta z nostalgią.

Wśród wielu różnych opozycyjnych wobec Museveniego działaczy pojawiło się samozwańcze medium – Alice Auma zwana Lakweną czy – inaczej – Alicją od Ducha Świętego. Auma twierdziła, że otrzymała posłannictwo od Boga i ukazuje się jej Duch Święty, który każe jej oczyścić Ugandę z wrogów i pokonać Museveniego. Tak zwany Ruch Ducha Świętego szybko zyskiwał popularność. Ludzie gromadzili się wokół Aumy, która w swoim nauczaniu „czerpała" po trochu z chrześcijaństwa, mistycyzmu i tradycyjnych, afrykańskich wierzeń. Swoje posłannictwo okraszała jednocześnie sporą dawką nienawiści wobec mieszkańców południa Ugandy i prezydenta. Jej radykalizm przyciągał zdesperowanych, żyjących w ubóstwie ludzi. Pod koniec lat 80. wywołali oni rebelię, do której stłumienia ruszyło ugandyjskie wojsko. Bunt został zdławiony, a Alice Auma uciekła do Kenii, gdzie zamieszkała w obozie dla uchodźców; zmarła w 2007 r.

Choć Lakwena zbiegła, to ruch, który zapoczątkowała, przetrwał. „Świętą"

Żołnierze Armii Bożego Oporu
FOT. AFRICA 24 MEDIA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 9e8667b183

Alice Auma, założycielka Ruchu Ducha Świętego FOT. DOMENA PUBLICZNA

misję poprowadzenia ludu Aczoli przejął jej siostrzeniec, Joseph Kony. Prawdziwy dramat Ugandyjczyków miał się dopiero zacząć.

Guru z buszu

Prawdopodobnie wciąż żyje, choć nikt nie ma co do tego pewności. Joseph Kony pozostaje nieuchwytny pomimo licznych obław organizowanych przez wojska Ugandy, Stanów Zjednoczonych czy połączonych sił państw należących do Unii Afrykańskiej. Co więcej, aż do 2000 r. nikt nie dysponował nawet wiarygodnymi informacjami na temat jego wyglądu – dopiero wówczas służby amerykańskie otrzymały jego fotografię. W ostatnim czasie mieszkał prawdopodobnie w Sudanie, Sudanie Południowym lub Republice Środkowoafrykańskiej (RŚA).

Kony urodził się ok. 1961 r. w północnej Ugandzie w katolickiej rodzinie. Kościół porzucił jako nastolatek, stając się jednym z najgorliwszych wyznawców swej ciotki, Lakweny. W końcu przejął jej „misję", a w 1987 r. utworzył Armię Bożego Oporu. On także twierdził, że widzi Ducha Świętego, który mówi mu, co czynić. We śnie mieli go nawiedzać święci. Boża pomoc miała być, według Kony'ego, dowodem na nieśmiertelność jego wyznawców. Żołnierzy przekonywał, że kiedy specjalnym olejem namalują na piersi krzyż, kule ich nie dosięgną. Kazał im także nosić ze sobą kamienie – w chwili niebezpieczeństwa miały się one zamienić w górę i ich osłonić.

Istnienie LRA było początkowo bagatelizowane przez rząd. Uznano, że to kolejna, niewielka rebelia, podobna do buntu Aumy, z którą wojsko szybko sobie poradzi. Kony przyjął jednak dużo bardziej brutalne metody działania. Przede wszystkim zaangażował do walki dzieci. Postanowił uczynić z nich bezlitosną armię morderców.

Faktem jest, że to nie Kony pierwszy wpadł na pomysł, aby wcielać dzieci do wojska. Takie sytuacje miały miejsce już wcześniej, także w Ugandzie, np. podczas wojny domowej między Obote i Musevenim. Kony jednak zaczął tworzyć oddziały złożone wyłącznie z dzieci. Młodych „rekrutów" pozyskiwał przymusem i podstępem. Większość dzieci została porwana ze swoich wiosek. Jak wiele ich było? Zapewne nigdy nie da się odpowiedzieć na to pytanie. Szacuje się, że od 60 do 100 tys. Dzieci porywano sprzed domów, kiedy szły do szkoły lub bawiły się z przyjaciółmi. Często dokonywano masowych uprowadzeń w nocy. Powszechnym widokiem w Ugandzie stał się codzienny pochód dzieci i nastolatków ze wsi do miast. Pisał o tym np. Wojciech Jagielski w reportażu „Nocni wędrowcy". Rodzice, w obawie przed najazdem ludzi Kony'ego, każdego wieczora wyprawiali dzieci do większych miejscowości. Tam koczowały one do rana, zajmując miejsca na dworcach, pod sklepami czy domami obcych ludzi. Samotne wędrówki wiązały się z ryzykiem, jednak mimo wszystko dzieci, choć często noc spędzały, po prostu siedząc na ulicy, były w mieście bardziej bezpieczne niż we własnych domach na wsiach.

Ludzie Kony'ego opracowali stały „mechanizm" działań. Upatrzoną osadę napadano znienacka. Mężczyzn gromadzono w jednym miejscu, okaleczano lub zabijano od razu. Kobiety były gwałcone, a później mordowane. Jednocześnie wyłapywano znajdujące się w wiosce dzieci, a po dokonaniu „czystki" zabierano je do ukrytych w lasach obozów. Ich rodziny nie żyły, dotychczasowe życie już nie istniało; nie miały więc dokąd wracać. Było to celowe działanie, aby możliwie jak najbardziej zminimalizować ryzyko, że dzieci będą uciekać i szukać swoich rodzin. Uprowadzone dzieci poddawano indoktrynacji, szkolono na żołnierzy, zmuszano je, aby oglądały, jak torturuje się i zabija nieposłusznych. W ten sposób tresowano nieczułych na krzywdę innych morderców. Nieposłusznych dotkliwie karano, a najlepsi mogli liczyć na awans w pokręconej hierarchii samozwańczej armii.

Porywano nie tylko chłopców. Z wiosek zabierano także dziewczęta, które służyły bojownikom jako seksualne niewolnice. Najbardziej zasłużeni otrzymywali je jako żony. Kobiety były „przydzielane" wedle kaprysów Kony'ego. On sam miał podobno ok. 50 żon.

Dzieci wyszkolone przez Armię Bożego Oporu mordowały i gwałciły tak samo jak dorośli. Niektóre ataki przeprowadzane były tylko przez oddziały złożone z nieletnich. Oni także porywali następnych „rekrutów", niszczyli ich wioski, zabijali rodziny. Ludzie byli przerażeni skalą okrucieństwa młodych zabójców. Trudno im było współczuć porwanym dzieciom. Choć same były ofiarami, szyb-

Evelyn Apio, jedno z dzieci porwanych do Armii Bożego Oporu FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9e8667b183

ko przerodziły się w katów, zachowując się tak samo jak ich oprawcy.

Bywało jednak, że po czasie niektórym nieletnim żołnierzom udawało się wydostać z matni. Ci, którzy uciekli ludziom Kony'ego, próbowali dalej normalnie żyć. Nie było to łatwe, gdyż nikt im nie ufał. Mogli uciekać dalej, próbować wyjechać z kraju, lecz na to zazwyczaj nie mieli pieniędzy. Zdarzało się więc, że nie widząc dla siebie żadnej szansy, wracali w szeregi wojsk Kony'ego. Jeszcze trudniej przedstawiała się sytuacja dziewcząt porwanych przez LRA. Jeżeli nawet części z nich udało się uciec, to ich perspektywy były tragiczne. Nie ukończyły szkoły, nigdy nie pracowały. Mając za sobą taką przeszłość, nie miały też szans na znalezienie męża. Rząd Ugandy próbował zaradzić tym problemom, tworząc ośrodki resocjalizacji, lecz nawet pomimo tych starań byli członkowie LRA rzadko znajdują zrozumienie.

Rebelia

Wojsko ugandyjskie prowadziło walki z Armią Bożego Oporu od końca lat 80. W ciągu kolejnych dziesięciu lat trwania konfliktu zginęło ok. 100 tys. ludzi. Milion osób zostało zmuszonych do ucieczki z domów. Walki z dziecięcą armią były niczym starcie z armią duchów. Ludzie Kony'ego pojawiali się i znikali. Niezwykle trudno było namierzyć dowódców.

Około 1994 r. LRA, za zgodą władz Sudanu, założyła na jego terytorium bazy treningowe. Kampala oskarżyła wówczas Chartum, że ten pomaga mordercom Kony'ego, lecz w odpowiedzi usłyszała, że Museveni wspiera za to Ludową Armię Wyzwolenia Sudanu, która walczy z sudańskim rządem.

Sudańczycy chcieli początkowo wykorzystać LRA przeciwko Ugandzie, lecz szybko sami zaczęli mieć z Konym problem. Jego ludzie zaczęli bowiem także w Sudanie dokonywać napadów i porywać dzieci. W 1997 r. Chartum wycofało poparcie dla LRA i zaczęło współpracować z Kampalą, walcząc wspólnie przeciwko dziecięcej armii. Ofensywa przyniosła efekty. Kony słabł. W 2001 r. został zmuszony przenieść większość baz LRA do Demokratycznej Republiki Konga (DRK). To jednak wyzwalało kolejne międzynarodowe tarcia. Kinszasa miała dość własnych problemów, lecz kiedy wojska ugandyjskie zaproponowały, że wejdą na terytorium DRK, aby kontynuować pościg za Konym, władze kongijskie nie udzieliły na to zgody.

Kwestia likwidacji Armii Bożego Oporu nabierała jednak coraz większego znaczenia. W 2001 r. USA uznały LRA za organizację terrorystyczną, a dwa lata później zbrodniami popełnianymi przez jej członków zajęły się MTK oraz ONZ. Pod auspicjami Stanów Zjednoczonych zaczęły ze sobą współpracować Uganda, Sudan, DRK i RŚA. Joseph Kony oraz jego ludzie wciąż jednak pozostawali nieuchwytni. W 2009 r. LRA dokonała masakry w północno-zachodnim DRK, zabijając i okaleczając setki osób. Po tych wydarzeniach Waszyngton wzmógł zaangażowanie w tej części świata. Barack Obama podjął wówczas decyzję o wysłaniu do Ugandy doradców wojskowych, a dwa lata później w ramach misji „Observant Compass" skierował do Ugandy żołnierzy, którzy mieli ująć lub zabić Kony'ego.

Wojna bez końca

Mamy rok 2024, a Armia Bożego Oporu wciąż istnieje. Trudno porównać ją z organizacją, która terroryzowała Ugandyjczyków dwie lub trzy dekady wcześniej, jednak wciąż stanowi zagrożenie. W ostatnim czasie siejące postrach dziecięce wojska zamieniły się raczej w przestępczy gang i „armię" kłusowników. Podobno, aby przetrwać, na rozkaz Kony'ego jego ludzie zaczęli wybijać leśne słonie i sprzedawać kość słoniową arabskim kupcom w Sudanie.

Joseph Kony pozostaje jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi na świecie. Nakaz jego aresztowania został wydany w 2005 r. Wiele osób zastanawia się, czy zbrodniarz wciąż żyje, a jeśli tak, to gdzie przez tyle lat się ukrywa. Choć na walkę z LRA wydawano ok. miliarda dolarów rocznie, a za informacje o Konym oferowano 5 mln dol. nagrody, zbrodniarz pozostaje na wolności. Nowe informacje na jego temat przedostały się do mediów pod koniec kwietnia tego roku. Na Josepha Kony'ego polować ma powiązana z rosyjskim rządem Grupa Wagnera. Zdaniem najemników Kony ukrywa się w Republice Środkowoafrykańskiej. „Operacja ta pokazuje stale rozszerzający się zasięg wpływów Rosji w Afryce, a także ilustruje niedociągnięcia ponad dwóch dekad amerykańskiej strategii wojskowej na tym kontynencie. Pomimo wydania miliardów na operacje antyterrorystyczne, szkolenia i infrastrukturę w Afryce od początku globalnej wojny z terroryzmem przemoc ekstremistów osiągnęła najwyższy poziom w historii" – ocenia magazyn „Rolling Stone".

Na początku tego roku MTK poinformował, że zaoczna rozprawa, w której głównym oskarżonym jest Kony, odbędzie się 15 października 2024 r. Gdyby do tego czasu rosyjskim najemnikom udało się pojmać lub zlikwidować Kony'ego, wzmocniłoby to znacząco pozycję Rosji w Afryce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Plakaty żądające postawienia Kony'ego przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym FOT. UNCOMMON FRITILLARY/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

eprasa.pl 9e8667b183

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl 9e8667b183

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 9e8667b183

Ciała ofiar masakry w Nowym Sadzie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1941–1945 / Zbrodnie Węgrów i komunistów jugosłowiańskich

Krwawa okupacja Wojwodiny

Arkadiusz Karbowiak

Masakrę w Baczce trudno porównać z jakimkolwiek innym wydarzeniem na obszarach, które znalazły się pod węgierską okupacją

Atak Niemiec na Jugosławię był bezpośrednią reakcją Hitlera na przewrót wojskowy w Belgradzie, do którego doszło 27 marca 1941 r. Zanim to nastąpiło, Berlin zwrócił się do Królestwa Węgier z propozycją wzięcia udziału w inwazji i podziale terytorialnym monarchii Karadżordżewiczów. Regent Miklós Horthy, widząc, że wyrok na Jugosławię nieodwołalnie zapadł, postanowił wykorzystać okazję i odzyskać obszary utracone przez Węgry po pierwszej wojnie światowej na rzecz Królestwa SHS. W związku z tym do stolicy Węgier przyjechał gen. Friedrich von Paulus z niemieckiego Sztabu Generalnego OKH. Celem jego misji było uzgodnienie wojskowego współdziałania podczas mającej nastąpić inwazji. Horthy, choć nie uchylał się od tej konieczności z uwagi na łączący oba kraje traktat o przyjaźni, nie chciał przystępować do działań militarnych już od pierwszych dni operacji „Fall Marita". Dopiero utworzenie 10 kwietnia 1941 r. Nezavisnej Države Hrvatskiej (NDH) dało mu pretekst do uznania, że Jugosławia jako państwo przestała istnieć.

Dzień później, uderzając na czterech kierunkach, oddziały 3. Armii węgierskiej przekroczyły granicę z Jugosławią. Na użytek zewnętrzny przedstawiano wersję, że akcja ma na celu ochronę Węgrów zamieszkujących Wojwodinę, a więc region należący przed pierwszą wojną światową do Austro-Węgier, gdzie stanowili oni największą nieserbską mniejszość etniczną. Ostatecznie jednak Królestwo Węgier anektowało tylko Baczkę i Baranję oraz leżące na północy słoweńskie Prekmurje oraz chorwackie Medmurje. Pozostała część Wojwodiny znalazła się poza granicami Węgier, Śrem trafił do NDH, a Banat dostał się pod władzę tamtejszych volksdeutschów. Walki w kwietniu 1941 r. na obszarze Wojwodiny nie były zbyt intensywne – poległo 126 honwedów, a 241 odniosło rany – armia jugosłowiańska szybko się bowiem z niej wycofała. Na terenie odzyskanych Regionów Południowych (Délvidék), jak nazywano nowe nabytki terytorialne, ustanowiono wojskową administrację. Na jej czele stanął wyznający prawosławie gen. Bela Novaković.

Kwiecień i maj 1941 r. pod węgierskim władaniem charakteryzowały się pewnym chaosem i nerwowymi posunięciami. Lokalni dowódcy wojskowi, wyczuleni na kwestie bezpieczeństwa, dość łatwo dawali posłuch wyolbrzymionym opowieściom o rzekomo rozwijającej się w konspiracji serbskiej partyzantce. W obawie przed atakami czetników – w celu zastraszenia zarówno ich, jak

eprasa.pl 9e8667b183

Generał Ferenc Szombathelyi
FOT. DOMENA PUBLICZNA

i całej serbskiej społeczności – armia węgierska zatrzymywała zakładników, którzy w przypadku napadów mieli być rozstrzeliwani. Ponieważ jednak nie miały one miejsca, systematycznie ich zwalniano. Trzeba jednak podkreślić, że społeczność serbska padała często ofiarą niczym nieuzasadnionych represji. Do szczególnie krwawych wydarzeń doszło w osadzie Sirig koło Nowego Sadu, gdzie oddziały węgierskie zabiły 111–112 osób. Pojedyncze zabójstwa o znacznie mniejszej skali miały miejsce także w innych miejscowościach. W pierwszych miesiącach okupacji w Baczce i Baranji zginęło z rąk węgierskich 2870 osób (podawana jest też liczba 3506), w przeważającej większości Serbów.

Dla władz państwowych w Budapeszcie poważnym wyzwaniem byli serbscy koloniści, którzy zostali osiedleni w Wojwodinie po 1918 r. Już 28 kwietnia 1941 r. dowódca 3. Armii wydał polecenie, aby Serbowie, Czarnogórcy, Żydzi i Cyganie, niebędący obywatelami Austro-Węgier przed 31 października 1918 r., opuścili natychmiast „wyzwolone" obszary, zabierając ze sobą majątek ruchomy. Była to zapowiedź planów radykalnej deserbizacji tych terenów poprzez usunięcie ok. 150 tys. serbskich mieszkańców. Niemcy natychmiast storpedowali te pomysły, wskazując, że władze serbskie nie będą w stanie zaopatrzyć w żywność tak dużej liczby uchodźców. Na terenach Baczki i Baranji powstało 13 obozów internowania. I to właśnie tam w głównej mierze skierowano serbskich więźniów. Na miejsce części z nich przyjechało 13,2 tys. Węgrów z Bukowiny, tzw. Szeklerów (oprócz nich także pojawili się tam Węgrzy z NDH i Serbii). W rezultacie tych działań liczba węgierskiej ludności w Baczce i Baranji wzrosła o ok. 25–30 tys., a serbskiej spadła o ok. 50 tys.

Komuniści atakują

Inwazja państw Osi na ZSRS zmieniła sytuację w Baczce. Regionalny komitet Komunistycznej Partii Jugosławii (KPJ) w Wojwodinie nakazał aktywizację działań sabotażowo-dywersyjnych. Nie było to łatwe ze względu na nasycenie terenu ludnością węgierską, generalnie nieprzychylnie nastawioną do sabotażystów. Mimo to zaczęto przeprowadzać pojedyncze akcje. Pierwsza miała miejsce 19 lipca 1941 r. Zniszczono wówczas zbiory pszenicy. Do października 1941 r. dokonano 56 takich operacji. Władze węgierskie zareagowały na ataki represjami uderzającymi zazwyczaj w bezpośrednich sprawców. Pierwszym ukaranym był aresztowany 22 lipca 1941 r. student prawa i członek KPJ Vujadin Sekulić. Skazano go na śmierć. W połowie sierpnia podobne kary otrzymali Jožef Lichta i Ferenc Hegediš. Uderzenia w struktury podziemia były celne z uwagi na sporą liczbę donosów kierowanych do organów bezpieczeństwa przez miejscowych Węgrów. 26 lipca 1941 r. w wymianie ognia z żandarmerią zginęło dwóch komunistycznych bojowników – Milan Simin i Antal Nemet (Węgier), natomiast Zivko Radovanović został aresztowany i następnie stracony. Podobny los spotkał Ernę Kiša (Węgra), sekretarza KPJ na zachodnią Baczkę i Baranję. Na skutek działań węgierskich sił bezpieczeństwa przed sądem stanęło 1436 osób. Wydano 130 wyroków śmierci, a 68 z nich wykonano, natomiast 1239 osób skazano na kary pozbawienia wolności, a 67 uniewinniono.

Generał Ferenc Feketehalmi-Cajdner FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wzrost intensywności w zwalczaniu podziemia komunistycznego zbiegł się z zamianą administracji wojskowej na cywilną. Kilka miesięcy później, 16 grudnia 1941 r., parlament węgierski zadecydował o inkorporacji Baczki i Baranji do Królestwa Węgier. Zanim jednak ta decyzja zapadła, jeszcze w listopadzie 1941 r. struktury wojwodińskie KPJ zadecydowały o powołaniu do życia w tym regionie oddziału partyzanckiego. Nie był on zbyt liczny – służyło w nim jedynie ok. 40 partyzantów posiadających słabe uzbrojenie. Dowodził nim Stefan Divnin, działacz komunistyczny z długoletnim doświadczeniem partyjnym, natomiast funkcję komisarza politycznego oddziału pełnił Węgier Gyula Molnár Brasa. 17 grudnia 1941 r. oddział napotkał we wsi Sizmed patrol węgierski. Podczas wymiany ognia zginął żandarm, a wzięty do niewoli funkcjonariusz straży granicznej został zamordowany na rozkaz węgierskiego komisarza. Do kolejnego starcia doszło 4 stycznia 1942 r. w okolicach wsi Zsablya. Tym razem oddział został rozproszony, a jego poszczególni członkowie byli konsekwentnie tropieni i zabijani. Jednym z zabitych był wspomniany komisarz polityczny. W starciu tym straty poniosły także siły rządowe. Zginęło czterech funkcjonariuszy Straży Granicznej i dwóch żandarmów.

Informacje o wydarzeniach w Baczce dotarły do Budapesztu. Szef Sztabu Generalnego gen. Ferenc Szombathelyi nakazał V Korpusowi Armijnemu gen. Ferenca Feketehalmi-Cajdnera przeprowadzenie pacyfikacji zagrożonego rebelią obszaru. Ta zdecydowanie przesadzona reakcja wiązała się z próbą wytłumaczenia stronie niemieckiej niemożności wysłania na front wschodni węgierskich posiłków.

eprasa.pl 9e8667b183

Zdjęcie z masakry w Nowym Sadzie
FOT. YAD VASHEM

Już 5 stycznia rozpoczęła się kontrakcja 15. Lekkiej Brygady, którą dowodził płk József Grassy. Jej eksterminacyjny charakter dał o sobie znać podczas represji, do których doszło w miejscowości Zsablya. Podkomendni płk. László Deáka nad tzw. czarnym mostem nad Cisą dokonali egzekucji 653 osób (według innej wersji 666). Wśród zabitych było jednakże niewielu członków i sympatyków komunistycznego podziemia. Większość stanowili serbscy cywile, ale zamordowano też 23 Cyganów. Podobne egzekucje miały miejsce w miejscowości Čurug, gdzie eksterminowano 893 osoby. W zabójstwach czasami uczestniczyli węgierscy cywile będący członkami tzw. Komitetów Narodowych sporządzających listy nielojalnych serbskich obywateli lub paramilitarnych bojówek.

Masakra w Nowym Sadzie

12 stycznia 1942 r. w Budapeszcie doszło do spotkania ministra spraw wewnętrznych Ferenca Keresteša-Fišera, ministra obrony Károlyego Barthyego i szefa Sztabu Generalnego Ferenca Szombathelyiego. Odnosząc się do wspomnianych wyżej dramatycznych wydarzeń, gen. Ferenc Feketehalmi-Cajdner stwierdził, niezgodnie z prawdą, że według wywiadu partyzanci wycofali się do miast i w związku z tym konieczne jest przeprowadzenie obławy. Błędna informacja zaowocowała decyzją o kontynuowaniu akcji na terenie m.in. Nowego Sadu. I choć szef Sztabu Generalnego zwracał uwagę, by działania te nie stały się pokazem bezmyślnego okrucieństwa i niesprawiedliwości, dowódca V Korpusu Armijnego przeprowadził je niezgodnie z wytycznymi przełożonego. Jako odpowiedzialnego za realizację tych działań wyznaczono płk. Grassyego.

Rozpoczęły się one w nocy z 20 na 21 stycznia 1942 r., gdy wojsko zablokowało miasto. Zatrzymywano ludzi według sporządzonych list i prowadzano ich do budynku paramilitarnej organizacji Lavente, gdzie obradowała komisja śledcza, będąca równocześnie swego rodzaju sądem. Znajomość węgierskiego, stare zdjęcia w mundurze cesarsko-królewskiej armii dawały osobom przyprowadzanym przed jej oblicze szansę na uznanie za lojalnych obywateli. Sporej części mieszkańców miasta nie udało się jednak zrobić na sądzie właściwego wrażenia – 1253 osoby zostały zamordowane. Zbrodni dokonywano na ulicach oraz nad rzeką, gdzie ludzi rozstrzeliwano albo po prostu topiono. Większość zamordowanych stanowili Żydzi (809), Serbów było 375, a reszta, m.in. 18, Węgrów to przedstawiciele innych narodowości. Od 4 do 29 stycznia zginęło w Baczce 3808 osób (2578 Serbów, 1068 Żydów, 64 Cyganów, 31 Rusinów, 21 Węgrów i 15 Rosjan, natomiast narodowość 31 ofiar nie jest znana).

Endre Bajcsy-Zsilinszky
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EGON GOTTL

Nie ulega wątpliwości, że dowódca korpusu uznał za stosowne, pod przykrywką reakcji na działania partyzantów, dokonać fizycznej eksterminacji części społeczności serbskiej i żydowskiej. Odwet miał niewiele wspólnego z karaniem komunistów i ich stronników. Rozszerzono go do monstrualnych rozmiarów, aby dotknął m.in. serbskich elit politycznych, a także zwykłych obywateli, a wśród nich starców, kobiety i dzieci. Masakrę w Baczce i Baranji trudno porównać z jakimkolwiek innym wydarzeniem na obszarach, które znalazły się pod węgierską okupacją.

Jednym z pierwszych, który zareagował na te zbrodnie, był dziennikarz Endre Bajcsy-Zsilinszky. Ten przeciwnik współpracy z Niemcami, reprezentujący w parlamencie Partię Drobnych Rolników, po otrzymaniu alarmujących informacji od serbskiego polityka z Baczki – posła do parlamentu węgierskiego dr. Milana Popovicia – wystąpił z krytyką zbrodni w liście do premiera László Bárdossyego. Następnie napisał memorandum w tej sprawie do samego regenta Horthyego. Presja ze strony środowisk opozycji demokratycznej, a także wzmożona aktywność rządu emigracyjnego Jugosławii domagającego się ujawnienia prawdy o tych wydarzeniach doprowadziły do wydania przez gen. Szombathelyiego polecenia wszczęcia śledztwa. W tym celu powołano specjalną komisję kierowaną przez płk. Jožefa Baboša. Przygotowała ona 800-stronicowy raport. W marcu doszło do zmiany na stanowisku premiera i proniemieckiego Bárdossyego zastąpił Miklós Kállay. Jego administracja postanowiła podjąć próbę unormowania relacji z Serbami. Główną rolę mieli odegrać wspomniany poseł do parlamentu węgierskiego Milan Popović i prawosławny hierarcha w Baczce

eprasa.pl 9e8667b183

– Irinej Ćirić, a także szef administracji węgierskiej w powiecie Nowy Sad Leó Deák.

Kara i odwet

Władze państwowe, pomimo zmiany polityki w Baczce, nie były skłonne przeprowadzić postępowania sądowego wobec oficerów dowodzących akcją. 13 sierpnia 1942 r. Horthy nakazał zamknięcie śledztwa, ponieważ uznał, że zaszkodzi ono morale, ale jednak dwóm dowódcom – Ferencowi Feketehalmi-Cajdnerowi i płk. Laszlo Deákowi – nakazano przejść na emeryturę. W październiku 1943 r. regent zmienił zdanie i nakazał przeprowadzenie postępowania sądowego. Proces rozpoczął się 14 grudnia 1943 r., ale 15 stycznia 1944 r. odpowiadający z wolnej stopy gen. Feketehalmi-Cajdner, gen. Grassy, płk Deák i kpt. Márton Zöldy, a więc główni oskarżeni, uciekli do Niemiec, gdzie uzyskali azyl polityczny. Wobec pozostałych zapadły wyroki wieloletniego więzienia. Trzech pierwszych ze wspomnianych wyższych oficerów wstąpiło do Waffen-SS (wrócili oni na Węgry po objęciu władzy przez strzałokrzyżowców). Po wojnie Amerykanie wydali ich węgierskim komunistom, a ci dołączyli do nich gen. Szombathelyiego, i przekazali władzom komunistycznej Jugosławii. Stanęli oni przed Sądem Ludowym, zostali skazani na śmierć i straceni. Podobny los spotkał cywilów, którzy nie ponosili żadnej odpowiedzialności za morderstwa popełnione w styczniu 1942 r. Jako rzekomi zbrodniarze wojenni zginęli burmistrz Nowego Sadu Miklós Nagy, János Bajsay, Leó Deák – szef powiatu Bács-Bodrog, Gyula Kramer – prezes Węgierskiego Stowarzyszenia Kultury Publicznej oraz niektórzy serbscy kolaboranci, jak choćby Milan Popović.

Jednak nie tylko drogą sądową (czy też, w wielu przypadkach, pseudosądową) komuniści próbowali wymierzać sprawiedliwość, a w rzeczywistości po prostu likwidować tzw. wrogów ludu. Stosowanym na masową skalę instrumentem były pozasądowe egzekucje doraźne. 17 października 1944 r. wprowadzona została w Baczce, Banacie i Baranji komunistyczna administracja wojskowa pod kierownictwem gen. Ivana Rukaviny. Od tego momentu rozpoczął się okres zorganizowanych represji, które dotknęły przede wszystkim ludność niemiecką i węgierską, a także innych domniemanych lub rzeczywistych wrogów reżimu komunistycznego.

Odwet za masakrę z 1942 r. był oczywiście ważną motywacją wielu uczestników pozasądowych egzekucji, którzy chcieli pomścić śmierć swoich bliskich, ale komuniści zainicjowali akcje terrorystyczne, kierując się nie tyle zemstą, ile ideologią. Zasadniczym celem była eliminacja wrogów wewnętrznych, potencjalnych przeciwników zdolnych do zbrojnego oporu, a także ludzi związanych z poprzednim systemem – czy to jugosłowiańskim, czy węgierskim. Zamierzano także tymi działaniami wpłynąć na zmianę stosunków etnicznych w Wojwodinie. Skala represji wobec Węgrów nadała zbrodniom z przełomu lat 1944 i 1945 charakter krwawej serbskiej zemsty, która rozlała się po Medmurje, Prekmurje, południowej Baranji, a nawet po Banacie i Syremii, które po 1941 r. nie znalazły się w rękach węgierskich. Jednak w przeciwieństwie do Niemców, Węgrów nie pozbawiono obywatelstwa i nie doszło do ich masowych wysiedleń (z wyjątkiem Węgrów i Szeklerów osiedlonych po 1941 r.).

Pomnik ofiar masakry w Nowym Sadzie FOT. ADOBE STOCK

20 października 1944 r. rozpoczął się proces osadzania Węgrów w obozach internowania, z których byli oni następnie sukcesywni wyprowadzani na egzekucje. Uważa się, że śmierć w wyniku tych działań poniosło 7038 Węgrów (według wielu historyków są to dane zaniżone, a rzeczywista liczba ofiar wynosi ok. 10 tys.).

Zabijano wszystkich, którzy byli członkami węgierskiego aparatu administracyjnego, policji, żandarmerii, członków węgierskich stowarzyszeń kulturalnych i partii politycznych, a nawet księży (zginęło ich 34). Nie jest oczywiście wykluczone, że zabito także osoby, które brały udział bezpośrednio lub pośrednio w mordach w 1942 r. Skalę zbrodni uznano pod koniec 1944 r. za wystarczającą, ponieważ 1 grudnia 1944 r. władze wojskowe wydały dekret o zakończeniu tych ekscesów. Powodem miało być to, że „okrucieństwa stawiają jugosłowiańską armię w złym świetle". Machina antywęgierskiego terroru zaczęła nieco zwalniać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:
Cvetkoviæ S., Stambolija N., ***„An Analysis of the Index of Civilian Casualties in Vojvodina 1941–1948",*** *„Délvidéki Szemle Délvidéki Review" 2016. III. évfolyam, 2. szám – Vol III. No 2. 2016; Kašaš A.,* ***„Mađari u Vojvodini 1941–1946",*** *Nowy Sad 1996; Sajti A. Enikő,* ***„Magyars and Serbs: the Southlands 1941–1945. The 1941 occupation of the Southlands and the 1942 round up",*** *„The Hungarian Quarterly" 2011, nr 204; Sajti A. Enikő,* ***„The Change of Rule and Reprisals Against the Hungarians in Yugoslavia: 1944-1946",*** *„Chronica" 3 (January) 2003; Ungváry K.,* ***„Vojvodina under Hungarian Rule",*** *[w:] „Serbia and the Serbs in World War Two", ed. S.P. Ramet, O. Listhaug, 2011.*

Wyjaśnienie od redakcji:

W poprzednim numerze „HDR" pojawił się błąd w opisie głównej fotografii w tekście Arkadiusza Karbowiaka pt. „Niemieckie zastępy śmierci". Zdjęcie to nie przedstawia Iwana Frołowa i sztabu pułku RONA, lecz oficerów z 209. Kozackiego Batalionu Schuma lub 3. Kozackiego Pułku Piechoty. Przepraszamy za pomyłkę.

eprasa.pl 9e8667b183

XXI w. / Zła sława angielskiej kuchni

Kuchenna klątwa Albionu

Fish and chips FOT. ADOBE STOCK

Piotr Semka

Anglicy skolonizowali połowę świata i rządzili handlem przyprawami. Dlaczego więc ich potrawy uchodzą wśród cudzoziemców za niezjadliwe?

Ileż to razy musieli się państwo zetknąć z narzekaniami na kuchnię wyspiarzy? Prym w tej dziedzinie wiedli podróżnicy, którzy mieli okazję eksplorować Wyspy Brytyjskie, a także ci z naszych rodaków, których wojna zmusiła do pozostania w Zjednoczonym Królestwie. Jedną z takich osób była polska pisarka Zofia Kossak-Szczucka, która spędziła w Anglii 12 długich powojennych lat. W swoich wspomnieniach z Kornwalii pisała: „Największy angloman nie pochwali sosu z mięty, jarzyn z wody, niestrawnych puddingów i ulubionych fish and chips. Sami Anglicy z niekłamaną przyjemnością zachodzą do londyńskich restauracji włoskich, francuskich i innych, lecz w domu nie chcą mieć zmiany. Kult wszystkiego, co brytyjskie. Miss Priest [lokalna handlarka – przyp. red.] przywoziła wspaniałe brzoskwinie włoskie, słodkie i pachnące, tanie, ale obok nich leżały niewielkie, zielonawe, tęgo kwaśne brzoskwinie krajowe, dwukrotnie droższe. Lecz tylko cudzoziemcy kupowali te importowane. Dla pozostałych klientów magiczne słowo »British grown« na karteczce z ceną zastępowało smak, woń, słodycz. Na każdym kroku duma z tego, co »British«. Brytyjskie brzoskwinie wyraźnie musiały być lepsze od wszelkich innych”.

Ten kult rodzimej żywności połączony z niebywałym szacunkiem dla klasycznej brytyjskiej kuchni od wieków zdumiewał cudzoziemców. Ale wyspiarze płacili i płacą za to gorzką cenę – muszą wysłuchiwać żartów na temat swoich ukochanych potraw.

Jak pisze humorystka Aisling McCrea: „Nieważne, gdzie jesteś na świecie – reputacja mojej narodowej kuchni wyprzedza samą siebie. »Tęsknię za niedzielnym angielskim obiadem z rodziną« – powiedziałam kiedyś bardzo uprzejmemu Japończykowi, którego uczyłam. »Mhm« – skinął głową. »Ale myślę, że może... brytyjskie jedzenie jest dość... okropne?«. Kiedy Anglik próbuje uzyskać na ten temat bardziej konkretne wyjaśnienie, cudzoziemcy przedstawiają zazwyczaj brytyjskie potrawy jako mdłe, rozmiękłe, przegotowane i wizualnie nieatrakcyjne”.

Angielski magazyn „Debate” w 2020 r. poświęcił nawet całej sprawie specjalny artykuł pt. „Brązowy, beżowy, gotowany,

eprasa.pl 9e8667b183

mdły, nudny, banalny, brytyjski". Redaktorzy pisma piszą: „Brytyjskie jedzenie od dziesięcioleci znajduje się w centrum kulinarnej analizy ze względu na brak smaku i polotu. Nasz kolega redakcyjny Andrew Bradley, notabene Australijczyk, odpowiada na odwieczne pytanie: »Dlaczego brytyjskie jedzenie jest do bani«". Andrew Bradley przyznaje, że jest w tym pewien paradoks. Synowie Albionu skolonizowali połowę świata i rządzili handlem przyprawami tylko po to, by stać się synonimem złego smaku.

Nie ulega wątpliwości, że Wielka Brytania jest pod wieloma względami pośmiewiskiem świata kulinarnego. Ale jak do tego w ogóle doszło?

Ale kaszana!

O odpowiedź na to pytanie autor „Debate" zwrócił się do dr. Lindsaya Neilla, profesora z nowozelandzkiego Auckland University of Technology. Doktor Neill zaczyna od tego, że sam ma traumatyczne wspomnienie o tym, jak jego ciotka z Anglii gotowała kiedyś przez cztery długie godziny w jego mieszkaniu w Nowej Zelandii kapustę, emitując zapach, który wrył mu się głęboko w pamięć. Droga ciotunia po swoim pobycie u nowozelandzkich krewnych pozostawiła wspomnienie przegotowanego, ciężkiego, mdłego jedzenia, z którego wyparował cały kolor. Wspomnienie o angielskich węgorzach w galarecie do dziś wywołuje u dr. Neilla dreszcze na plecach.

„Trzeba spojrzeć na kontekst i historię. Kiedyś ludzie byli biedni, mięso i ryby nie zawsze były świeże, dobrej jakości, a nie było lodówek; ludzie musieli naprawdę długo gotować swoje jedzenie – wyjaśnia dr Neill. – Ta mentalność prawdopodobnie trochę przeszła na domowych brytyjskich kucharzy, ale i tak myślę, że dziś przeciętny brytyjski domorosły kucharz jest lepszy niż 20 lat temu". Andrew Bradley ripostuje: „Brytyjskie jedzenie jest złe, ponieważ wyspiarze byli kiedyś biedni i to sprawiło, że wszyscy byli kiepscy w gotowaniu? Przecież każdy kraj był kiedyś biedny, prawda? Francuzi nie zawsze byli wykwintni i bogaci. Chiny przeszły w swojej historii przez wieki dramatycznych zmagań, a mimo to mają bogatą i różnorodną kuchnię, która kwitnie na całym świecie".

Black pudding, czyli brytyjska kaszanka FOT. ADOBE STOCK

Doktor Neill odpowiada: „Jedzenie jest kształtowane przez obfitość i niedobór. Wielka Brytania miała dużo wołowiny oraz owiec i używała ich obficie w swojej kuchni. Obejmowało to wykorzystanie wszystkich części zwierzęcia (często z konieczności), co skutkowało niektórymi wątpliwymi postaciami, jak np. kaszanka. Z drugiej strony Azja miała bogactwo lokalnie uprawianych ziół i przypraw, które Chińczycy bardzo umiejętnie wykorzystywali. Wraz z biegiem czasu i zmianą warunków mięso przestało być rzadkością dla większości ludzi, szczególnie z warstw chłopskich, i powoli przyprawy przenikały do kuchni brytyjskiej, ale na mniejszą skalę niż w innych kuchniach. Brytyjczycy są dumni ze swoich korzeni sięgających klasy robotniczej i kultury zwykłego człowieka, a to wpływa na ich jedzenie. Jest dość proste, skromne, bez większych ceregieli". I wspomina: „Dorastałem w latach 80., kiedy nikt nie potrafił gotować. We wszystkich domach dominowała książka kucharska Edmondsa i robiliśmy, co mogliśmy. Nie było różnorodności. Na podobnej zasadzie mieliśmy jeden kanał w telewizji, podczas gdy teraz możemy skakać z jednej stacji na drugą, a wszystkie emitują programy kulinarne".

Ataki z południa

Anglicy najwięcej razów w temacie kuchni zbierają od swych zaciekłych adwersarzy z drugiej strony Kanału – Francuzów. Synowie Albionu, broniąc się przed tymi atakami, przypominają, że kiedyś także francuskie jedzenie było bardzo skromne. Wskazują, że potomkowie Gallów przeprowadzili największą na świecie kampanię marketingową dzięki królowi Ludwikowi XIV. W XVII w. Hiszpanie byli elitą Europy, ale Ludwik, próbując przyćmić ich sławę, stworzył wyszukany i pełen przepychu dwór, na którym zachęcał artystów, projektantów mody, pisarzy i szefów kuchni, aby dostarczali mu to, co najlepsze. Był tylko jeden warunek: wszystko musiało być francuskie. Stąd w opinii Anglików utrwalił się obraz kultury francuskiej jako kultury wyższej. I jak złośliwie wskazują, to dlatego ludzie chętnie płacą za jedzenie francuskich ślimaków, ale już niespecjalnie przepadają za angielskimi węgorzami w galarecie.

Mimo oskarżania Francuzów o marketingowe sztuczki to Anglicy mają na punkcie swojej kuchni ogromne kompleksy. Nie kto inny jak symbol angielskości – najsłynniejsza autorka kryminałów Agatha Christie – z niemałą dozą autoironii wykreowała kontrast pomiędzy zamiłowaniem do dobrej kuchni w wykonaniu belgijskiego detektywa Herkulesa Poirota a tym, co uważane było za „dobrą, angielską kuchnią" w rozumieniu jego brytyjskich partnerów. W powieściach o Poirocie wyraźnie zaznacza ona, że przy życiu i zdolności do sprawnego rozwiązywania zagadek utrzymywało go jedynie istnienie w Londynie wielu wspaniałych francuskich restauracji. Gdy jednak w ramach jednego ze swoich śledztw belgijski detektyw zmuszony jest do zamieszkiwania w podrzędnym prowincjonalnym angielskim zajeździe, proponowane mu

eprasa.pl 9e8667b183

przez gospodynię obiady wpędzają go w głęboką depresję. W bardzo sugestywnej scenie, mimo że solidnie już zgłodniał, Poirot walczy ze wzbierającym obrzydzeniem na widok fatalnie ugotowanych płucek cielęcych. I szepce: „Ja cierpię".

Angielskie śniadanie FOT. ADOBE STOCK

Ślad historii

Colin Spencer, pisarz zajmujący się kulinariami, stwierdza: „Historycznie kuchnia brytyjska oznaczała nieskomplikowane dania przyrządzane z wysokiej jakości lokalnych składników, połączone z prostymi sosami, które miały uwydatnić smak, a nie go maskować".

Już w czasach obecności Celtów na Wyspach Brytyjskich, jak twierdzą badacze, w gospodarstwach domowych znana była szeroka gama produktów spożywczych. Bardzo długo trzeba jednak było czekać na pojawienie się na Wyspach wina. Wcześniej rolę najpopularniejszego alkoholu pełnił miód pitny. Wino przywiezione zostało do Brytanii dopiero przez Normanów, którzy podbili Anglię w 1066 r. Z tej epoki wywodzi się zresztą trudna do zweryfikowania teoria, która mogłaby wyjaśniać, dlaczego kuchnia brytyjska używa stosunkowo mało ziół. Według niej Normanie jako grupa, która podbiła Anglów i Sasów, byli wyczuleni w kwestii możliwego otrucia ich przez anglosaskich służących i kucharzy. Dlatego na wszelki wypadek zakazali dodawania do potraw, które mieli jeść, wszelkich suszonych ziół.

Kolejną cezurą w dziejach angielskiej kuchni były efekty wypraw zamorskich i eksplorowania Nowego Świata. Według angielskiej tradycji ziemniaki przywiózł na dwór królowej Elżbiety I jej nadworny korsarz sir Francis Drake. Gdy przedstawił swojej władczyni nieznane wcześniej na wyspie smakowite bulwy, ta miała go zapytać, jak się nazywa to dziwne, ale interesujące warzywo. W filmie „Władca wielu mórz" w reżyserii Rudolpha Maté z 1961 r. Drake zaskoczony tym pytaniem odpowiada, że nosi ono nazwę „Potato". Członkowie jego załogi z trudem tłumią śmiech, gdyż wiedzą, że „Potato" to imię indiańskiej córy wodza, który przekazał ją jako dar dla cudzoziemskiego przybysza. Tak czy inaczej słowo „potato" przyjęło się i dziś odróżnia angielską nazwę ziemniaków od ich odpowiedników w językach francuskim i niemieckim.

Psychologowie społeczni wskazują, że protestantyzm wprowadzony w XVI w. w Zjednoczonym Królestwie wpłynął na prymitywizację kuchni angielskiej. W myśl wpływów kalwińskich i purytańskich wierni wyznawcy reformacji mieli skupić się na myśleniu o zdobyciu życia wiecznego i odsuwać od siebie pokusy. Jedzenie traktowano jako swoiste paliwo dla nich i zbytnie dogadzanie sobie w kuchni uważano za naganne i sprzeczne z cnotą oszczędności. Oczywiście nawyki, które pielęgnowała klasa średnia, nie były uskuteczniane przez arystokrację, która pozwalała sobie na importowanie francuskich czy włoskich kucharzy. Swoją rolę w upowszechnianiu egzotycznych smaków odegrały nawyki tych Brytyjczyków, którzy spędzili długie lata, służąc Koronie np. w Indiach czy na Karaibach. Wracając do kraju po zakończeniu służby, ściągali oni ze sobą hinduskich czy zachodnioindyjskich kucharzy. Londyn jako wielka metropolia przyciągał wielu cudzoziemców, Chińczyków, Murzynów czy przybyszów z Indii. Zakładali oni swoje etniczne restauracje, które uczyły Anglików nowych smaków. Osobnym zjawiskiem była gwałtowna industrializacja, która spowodowała napływ do miast dziesiątek tysięcy ludzi. Jedli oni wytwory pierwszych gałęzi rodzącego się przemysłu spożywczego, który musiał skupić się na masowych i tanich produktach. Na wsiach jedzono znacznie lepiej. To właśnie była „stara dobra Anglia" opisywana z łezką w oku w powieściach Charlesa Dickensa. Tam jedzono solidne domowe szynki, przygotowywano smaczne pieczenie wołowe lub delektowano się tzw. angielskim śniadaniem złożonym z jajek

Herkules Poirot wybierał w Wielkiej Brytanii restauracje francuskie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9e8667b183

Czas na herbatę FOT. ADOBE STOCK

sadzonych, płatów bekonu, fasolki w sosie pomidorowym, placków ziemniaczanych oraz czarnego i białego puddingu, czyli kaszanki i podsmażanej wątrobianki.

Rewolucja przemysłowa przyczyniała się także do profesjonalizacji produkcji żywności. W dużych miastach zaczęły powstawać gigantyczne rzeźnie, które pomagały zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na produkty mięsne. Pierwszy na świecie komercyjny zakład przetwórstwa bekonu został otwarty w miejscowości Wiltshire w latach 70. XVIII w. przez Johna Harrisa. Anglia przyzwyczaiła się też do nowinek na rynku spirytualiów. Obok wielowiekowej tradycji destylacji ginu z owoców jałowca w XVIII w. ogromną karierę zrobił rum z Karaibów. Tamtejsi właściciele plantacji trzciny cukrowej utylizowali w ten sposób resztki pozostałe po rafinacji cukru. A rum zyskał sławę trunku ludzi morza. Nieprzypadkowo na okrętach Jego Królewskiej Mości wydzielano marynarzom codzienną porcję grogu, czyli rumu mieszanego z wodą. Po zakończeniu podboju Szkocji przez Koronę Brytyjską Anglicy poznali i pokochali whisky, wysokoprocentowy trunek pędzony z jęczmienia. I wreszcie od połowy XIX w. na rynek brytyjski zaczęły trafiać wina – żmudna uprawa winorośli zaczęła się w końcu udawać w południowej Afryce, a potem w Australii.

Pułapki na cudzoziemców

Wszystko to nie zmienia tego, że nawet najżyczliwiej nastawiony wobec angielskości przybysz co pewien czas natrafia na kulinarne obyczaje, które bardzo trudno jest mu zaakceptować. Oto zagraniczni turyści odwiedzający Kornwalię mogą niekiedy natrafić na wywołujący traumatyczne odczucia kornwalijski placek o nazwie stargazy pie, w którym spod warstwy ciasta uśmiechają się do niego pyski sardynek. Podobnie nie każdy potrafi zachwycić się smakiem nereczek jagnięcych w sosie pikantnym, które serwowane są niekiedy na śniadanie. Cudzoziemcy podśmiewają się też z niespotykanego nigdzie indziej zwyczaju wkładania przez gospodynię na świeżo ugotowane na miękko jajka specjalnych wełnianych czapeczek. Podobne zdziwienie wywołuje przykrywanie imbryka ze świeżo zaparzoną herbatą specjalnym wydzierganym na drutach włóczkowym pokrowcem.

Trwałość angielskiego dziedzictwa kulinarnego mogłem kiedyś podziwiać na śródziemnomorskiej Malcie, która przez długie dziesięciolecia była angielską kolonią. W tamtejszym pensjonacie gospodyni, niemal żywcem wyjęta z powieści Agathy Christie, przez dwa tygodnie pobytu serwowała nam na śniadanie wyłącznie tosty, masło i herbatę. Na nieśmiałe pytanie, czy dałoby się załatwić może kawę albo pomidory doprawione ziołami i oliwą, padła lodowata odpowiedź: „My na Malcie mamy brytyjskie obyczaje, a nie włoskie".

Do tej wspaniałej tradycji Albionu należy też obyczaj angielskiego five o'clock. Przywołajmy tu znów znawczynię brytyjskich obyczajów Zofię Kossak-Szczucką: „Popołudniowa herbata bywa dwojaka. Zwyczajna filiżanka (zawsze znakomitej) herbaty z suchymi ciastkami podanymi do sitting roomu (bawialni) lub tzw. high tea – podwieczorek zasiadany, na którym obowiązkowo prócz herbaty było parę gatunków ciasta, kanapki, grzanki z marmoladą i galaretką owocową albo kompotem. Przyjęcia te są jednak rzadkie. Tylko herbatą można częstować Anglika o każdej porze i zawsze będzie to mile przyjęte". Jak zaznaczała polska pisarka, dla Anglików niezwykle ważne jest przestrzeganie przepisowej pory posiłków: „Kierowca ciężarówki o godz. 10.30 zjeżdża na bok z drogi, staje, wyciąga termos, kanapki i bez pośpiechu zjada swe śniadanie. Ma prawo poświęcić na ten cel 15 minut. To samo każdy robotnik czy urzędnik".

Nie są bynajmniej najmniejszą przesadą sceny z polskiej komedii wojennej z lat 60. „Jak rozpętałem drugą wojnę światową". Na filmie brytyjscy żołnierze porzucają wszystkie swoje obowiązki, gdy tylko rozlega się donośny głos sierżanta: „Tea time!". Każdy, kto był w Anglii, wie, że Anglicy traktują ten rytuał i jego punktualność niezwykle serio.

Raz jeszcze zacytujmy Zofię Kossak-Szczucką: „Picie herbaty to obrządek. Każdy ruch jest przepisowy. Do filiżanki wpierw sypie się cukier, potem odrobinę słodkiej, dobrej śmietanki, po czym do pełna bardzo mocnej, aromatycznej herbaty. Parzenie esencji wg kontynentalnego obyczaju, dolewanie do szklanki 2/3 wody jest nieznane. Pije się samą esencję. Woda czeka, owszem, na ogniu, by dolać jej nieco do owej esencji, gdyby okazała się pod koniec nie dość gorąca [...]. Picie herbaty łyżeczką uchodzi za równe barbarzyństwo, jak u nas picie łyżeczką starego węgrzyna. Ten napój przybliża się do ust i przez chwilę wchłania się aromat, najcenniejszą wartość herbaty; ma zapach doprawdy przedziwny, upajający, w ogóle jednak złej herbaty nie zna prowincja angielska".

Jest w tych słowach pisarki znad Wisły coś w rodzaju głębokiej fascynacji. I być może ten podziw cudzoziemców dla wspaniale rozbudowanego rytuału picia herbaty wynagradza wyspiarzom żarciki przybyszy z kontynentu na temat ich kuchni.

Naród, który wypracował tak wspaniałą kulturę picia liściastego naparu, nie może być traktowany jako nacja pośledni a i banalna. Rytuałem herbacianym, któremu dorównują jedynie tradycje w Chinach i Japonii, Anglicy zdobyli sobie podziw reszty świata. I już za samo to należy im się ogromne uznanie.

Bo w końcu na Wyspach Brytyjskich nikt nie każe nam jeść placka z rybimi głowami ani jagnięcych nereczek, ale za to każdy przybysz zostanie ugoszczony filiżanką aromatycznej herbaty, której na pewno nikt nie odmówi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Adolf Hitler obserwuje przeprawę oddziałów Wehrmachtu pod Grudziądzem FOT. NAC

– We wrześniu 1939 r., z punktu widzenia obserwatorów zagranicznych, Polska rozpadła się właściwie natychmiast. Przez kolejne pół roku prawie wszyscy uważali nas za beznadziejnych żołnierzy i dopiero podobnie ekspresowa klęska Francji ustawiła to wszystko w innym świetle – mówi historyk

Wywiad / Z Norbertem Bączykiem, historykiem, znawcą drugiej wojny światowej

rozmawia Piotr Włoczyk

Największy błąd Polaków

PIOTR WŁOCZYK: Co było naszym największym błędem we wrześniu 1939 r.?

NORBERT BĄCZYK: Z jednej strony nie doceniliśmy siły przeciwnika, a z drugiej strony przeceniliśmy własne możliwości. Chcieliśmy toczyć kampanię w warunkach, do których kompletnie nie byliśmy przygotowani.

Dlaczego nasz plan nie miał szans na powodzenie?

Według założeń wojny obronnej opracowanej przez Naczelnego Wodza marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza kampania miała się toczyć według tempa, do którego Wojsko Polskie było przyzwyczajone. To miała być kampania wojsk pieszych. Nasz plan obrony zupełnie nie był dostosowany do działalności wrogiego lotnictwa i jego sił pancernych.

Nasi planiści cały czas mieli w głowie wiktorię roku 1920?

Tak, bazowali na swoich doświadczeniach z wojny z bolszewikami i zakładali, że obie armie będą się poruszały z podobną prędkością. To był fatalny błąd.

Czy polskie dowództwo nie czytało niemieckich gazet? Nie orientowało się w zmianach, które zaszły w niemieckiej armii od 1933 r.?

Nasze naczelne dowództwo miało na ten temat dobre informacje od wywiadu. W armii toczyły się żywe dyskusje na temat potencjału przeciwnika. Marszałek Śmigły-Rydz i gen. Wacław Stachiewicz, szef Sztabu Głównego, bagatelizowali jednak zdolność Niemców do prowadzenia błyskawicznej wojny manewrowej. Uważali, że w polskich warunkach, z naszą słabą siecią dróg, niemiecka mechanizacja wojska na niewiele się przyda. Polscy dowódcy ewidentnie nie doceniali potencjału niemieckich wojsk pancernych i lotnictwa. Wychodzili wprawdzie z założenia, że wróg będzie miał nad nami przewagę 3:1, pozwalającą w teorii na przełamanie obrony, ale uważali jednak, że w przypadku wybuchu wojny będziemy w stanie dotrzymać Niemcom tempa i cofając się powoli, będziemy „kupować" sobie czas.

Niemcy mieli jednak zupełnie inny plan. Nawiązując do zakończonej niedawno olimpiady w Paryżu: my cały czas szykowaliśmy się do wyścigu w chodzie, a tymczasem Niemcy zmusili nas do wzięcia udziału w sprincie.

Lepsze plany obronne mogły znacząco wpłynąć na wynik starcia z III Rzeszą?

W kampanii między Polską a Niemcami, z powodu tak gigantycznych dysproporcji sił, nie można było liczyć na inny wynik niż porażka. Natomiast spór wśród historyków do dziś dotyczy stylu porażki. We wrześniu 1939 r., z punktu widzenia obserwatorów zagranicznych, Polska rozpadła się właściwie natychmiast. Przez kolejne pół roku prawie wszyscy uważali nas za beznadziejnych żołnierzy i dopiero podobnie ekspresowa klęska Francji ustawiła to wszystko w innym świetle. W 1939 r. wielu komentatorów nie rozumiało jeszcze, że oto pojawiła się nowa, rewolucyjna doktryna prowadzenia wojny i to właśnie Niemcy jako pierwsi wdrażają ją w życie, a ich przeciwnicy kompletnie nie są na to przygotowani.

Niestety, nawet gdyby polską armią dowodził najbardziej genialny wódz, to w tamtych realiach nie mógłby liczyć na inny wynika niż tylko klęska.

eprasa.pl 9e8667b183

Pewnie do dziś wielu Polaków z goryczą myśli sobie: gdyby Józef Piłsudski pożył kilka lat dłużej...

Z punktu widzenia planowania operacyjnego Piłsudski też niewiele by zdziałał w starciu z taką potęgą. Jako dowódca Marszałek przyzwyczajony był do wojny manewrowej, ale w warunkach 1939 r. taka wojna była dla nas zabójcza. Premiowała ona naszego wroga, który miał nad nami olbrzymią przewagę manewru.

A my i tak chcieliśmy w to wejść...

Bo taka była doktryna Wojska Polskiego. Przez cały okres dwudziestolecia ćwiczyliśmy wojnę manewrową. Nasze wojsko do innej formy prowadzenia kampanii nigdy nie było szkolone!

Jak mógłby wyglądać alternatywny plan wojny obronnej?

Gdyby nasze dowództwo zorientowało się, że prowadzenie wojny z tak potężnym przeciwnikiem na otwartych przestrzeniach nie jest możliwe, ponieważ to pewne samobójstwo, to mogłoby uznać, że jedynym wyjściem jest zamknięcie się w twierdzach. Jednak musimy rozumieć, że taki plan oznaczałby oddanie bez walki większości terytorium państwa. A na to z kolei nie mogliby się zgodzić w wymiarze mentalnym polscy dowódcy i politycy.

Dłuższa walka mogłaby być możliwa tylko w tzw. reducie narodowej. Możemy tu przywołać przykład Holendrów, którzy założyli, że na wypadek agresji Niemców będą się bronić na skrawku terytorium, gdzie skoncentrują swoje wojska i odetną się od przeciwnika wodą. Ale Holendrzy w roku 1940 nie przewidzieli, że Niemcy „spadną im z nieba". Myślę oczywiście o ich wojskach spadochronowych. A to z kolei oznaczało załamanie się holenderskiej koncepcji obronnej.

W jakich konkretnie aspektach Niemcy mieli nad nami miażdżącą przewagę?

Najważniejszym elementem przewagi Niemców była totalna dominacja w powietrzu. Nie tylko realnie wynosiła ona pod kątem liczbowym 5:1 na korzyść III Rzeszy, ale jeszcze samoloty Luftwaffe były o wiele nowocześniejsze. Jeżeli natomiast chodzi o bombowce klasyczne (horyzontalne), to przewaga Niemców nad Polakami była jeszcze większa.

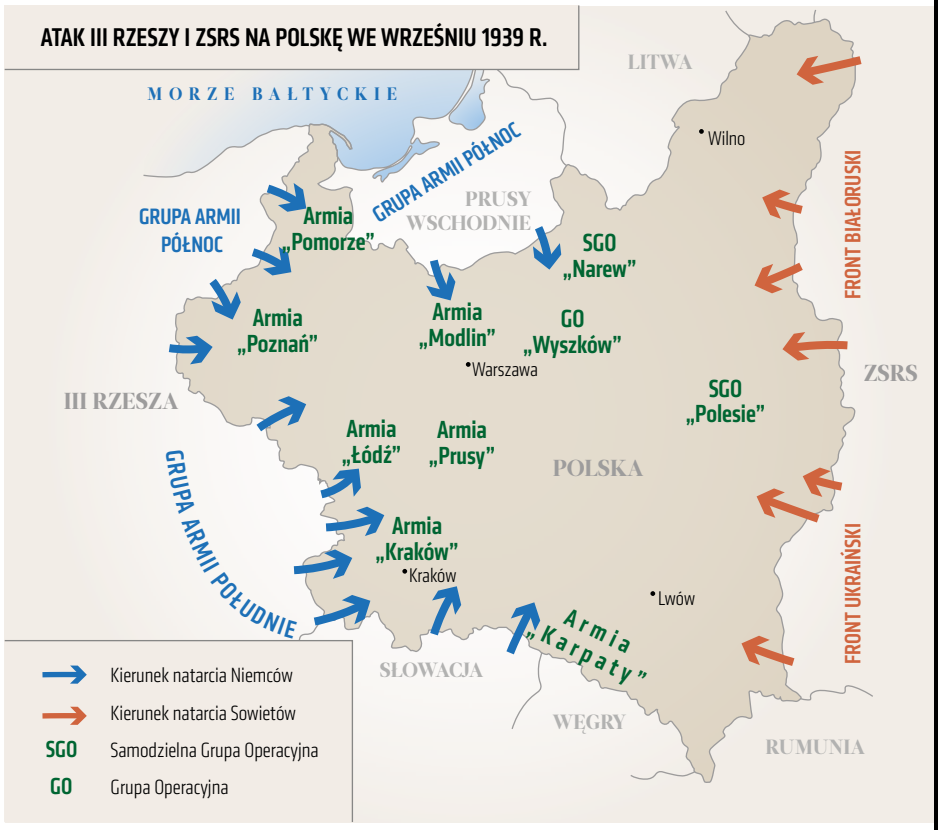

RYS. MARZENA WŁÓCZYK

Marszałek Edward Śmigły-Rydz na plakacie propagandowym
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Kolejną kluczową sprawą była olbrzymia dominacja wroga w zakresie świadomości sytuacyjnej. Niemcy mieli po prostu nieporównanie lepszą od nas łączność i rozpoznanie – ich przewaga była tu kilkunastokrotna. Nie tylko mieli o wiele liczniejszą artylerię, lecz także potrafiła ona szybciej otworzyć ogień i błyskawicznie korygować celność.

U nas system łączności był bardzo słaby, mieliśmy niewiele radiostacji i brakowało nam kabla telefonicznego. Przemieszczająca się jednostka nie zwija już kabla telefonicznego ze względu na szybkość działania, więc musi pobrać nowy. Jednostka wychodząc do walki z 30 km kabla, po kilku dniach nie miała już łączności. Niemcy nie mieli takich ograniczeń.

Przewaga Niemców polegała też na tym, że efektywność bojowa ich jednostek była wyższa od naszej, i to aż dwuipółkrotnie. Stawiając naprzeciw siebie dwa bataliony, widzimy teoretycznie równorzędne siły, ale Niemcy mieli więcej moździerzy, radiostacji, broni maszynowej, amunicji i byli w stanie szybciej uzupełnić zużytą amunicję. I właśnie dlatego ich batalion piechoty miał od naszego dużo wyższą efektywność bojową.

Często mówi się, że logistyka jest królową pola walki. Ale przecież Niemcy też na potęgę używali zaprzęgów konnych.

Logistyka niemieckich dywizji piechoty rzeczywiście opierała się na zaprzęgach konnych, ale już logistyka ich armii i korpusów była oparta na samochodach ciężarowych. Niemcy mieli i setki tysięcy koni, i mnóstwo ciężarówek, a my mieliśmy właściwie tylko zaprzęgi konne.

Kolej też nie grała na naszą korzyść...

eprasa.pl 9e8667b183

Polska piechota w marszu FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Niemcy dysponowali najgęstszą siecią kolejową w Europie, ale trzeba też pamiętać, że ten czynnik był kluczowy do momentu rozpoczęcia wojny. Potem kampania toczyła się już w Polsce i Niemcy nie musieli podciągać własnej kolei – II RP nie była tak „głęboka" pod względem odległości. Nasza sieć kolejowa była natomiast bardzo rzadka i przekładało się to na szybkość naszej mobilizacji i koncentracji.

Jak dobrze przeprowadziliśmy wtedy mobilizację?

Polska mobilizowała wojsko już od marca 1939 r. Mieliśmy plan mobilizacyjny tajny, tzw. alarmowy, i w „alarmie" rozwinęliśmy dwie trzecie armii. Reszta rozwinęła się w mobilizacji jawnej – powszechnej.

Gdyby Niemcy zaatakowały nas 26 sierpnia, to Wojsko Polskie, nie do końca zmobilizowane, nie byłoby jeszcze na swoich wyznaczonych pozycjach. Jednak na 1 września byliśmy już gotowi.

Gdyby Hitler nie zmienił decyzji i III Rzesza uderzyłaby na nas 26 sierpnia, katastrofa II RP byłaby jeszcze bardziej spektakularna?

Mówiąc obrazowo – Niemcy weszliby w nas jak w masło. Armie nie rozwinęłyby się do walki, nasze pułki i dywizje były wtedy jeszcze w rejonach koncentracji i dopiero w kolejnych dniach ładowały się do pociągów i jechały do stref rozwinięcia. Co więcej, flota nie zdążyłaby opuścić Bałtyku, a samoloty wciąż stacjonowałyby na lotniskach pokojowych, a nie polowych, przez co najpewniej zostałyby zaskoczone przez Luftwaffe. Niemcy zgnietliby nas jeszcze szybciej.

Na szczęście decyzja podjęta 25 sierpnia przez rząd brytyjski o zawarciu z Polską traktatu sojuszniczego wymusiła na Hitlerze przesunięcie ataku o sześć dni.

Ile w tym wszystkim było winy Wodza Naczelnego?

Niestety, marsz. Śmigły-Rydz nie dorósł do tego stanowiska. Jego problemem było też to, że był on czynnym politykiem i równolegle z nadzorowaniem wojska toczył walkę o swoją pozycję w państwie. W trakcie wojny z Niemcami ujawniły się efekty psychozy szpiegomanii, na którą cierpiał Śmigły-Rydz. Marszałek dopuszczał do swoich planów bardzo niewielką grupę oficerów i nie mówił generalicji, ani jak wygląda całość sytuacji polskich sił zbrojnych, ani jak konkretnie zamierza odpierać atak wroga. Generałowie mieli w tym zakresie bardzo wąską wiedzę, ograniczoną jedynie do swojego odcinka.

Kiedy Śmigły-Rydz przestał panować nad przebiegiem walk?

Marszałek utracił zdolność do dowodzenia wojskiem w momencie wyjazdu z Warszawy, czyli już 7 września. Myślę tu oczywiście o utracie struktur łączności. Śmigły-Rydz przestał panować nad wojskiem, ale równolegle wojsko samo straciło kontrolę nad wydarzeniami, ponieważ było wyprzedzane przez szybszego przeciwnika – Niemcy zajmowali pozycje przewidziane do naszej obrony szybciej, niż my byliśmy w stanie do nich dojść.

Jak Niemcy oceniali po fakcie wojnę z Polską? Byli zaskoczeni szybkością działań?

Niemcy zakładali, że pójdzie im w Polsce bardzo łatwo. Prawdę mówiąc, nie uważali nawet, że atak na Polskę to prawdziwa kampania wojenna.

Uderzenie na II RP było dla nich czymś w rodzaju „specjalnej operacji wojskowej"?

Można się tu doszukać pewnych podobieństw. Niemcy zakładali, że to będzie szybka kampania, ale jednak troszkę się zdziwili, jeżeli mamy tu szukać dla nas jakichś pozytywów, że nie udało im się zniszczyć wszystkich polskich sił na zachód od Wisły. Niemcy byli nieco zaskoczeni, że byliśmy zdolni do stawiania oporu na wschód od tej rzeki. Jednak ostatecznie uznali, że kampania potoczyła się z grubsza zgodnie z założeniami.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie da się chyba obronić tezy, że atak ZSRS był decydujący dla przebiegu naszej wojny obronnej?

Ten „cios w plecy" nie miał większego wpływu na przebieg kampanii. Spośród 39 polskich dywizji piechoty tak naprawdę tylko jedna kapitulowała przed Armią Czerwoną. To pokazuje, z kim one się biły. Poza tym wytyczna marszałka z 13 września nakazywała wycofanie wojsk z obszaru całej Polski na przedmoście rumuńskie. Czyli i bez pomocy ze strony Sowietów Niemcy i tak szybko zajęliby praktycznie cały kraj.

Niemiecka kolumna pancerna i zmechanizowana podczas kampanii wrześniowej FOT. NAC

Czy Polska byłaby w stanie się obronić, gdyby nasi sojusznicy realnie zaatakowali Niemcy od zachodu?

eprasa.pl 9e8667b183

Nie, ponieważ czas rozwinięcia armii naszych sojuszników był zbyt długi, a Hitler zostawił na zachodniej granicy milion żołnierzy i do tego miał tam przewagę w powietrzu. To oznacza, że we wrześniu 1939 r. nasi sojusznicy przegraliby, gdyby zaatakowali Niemców. Pamiętamy, że Francuzi mieli Linię Maginota, ale zazwyczaj zapominamy, że III Rzesza miała Wał Zachodni...

Statystyka działała przeciw nam. Niemcy były tak potężne, że równoważyły połączone siły Polski i Francji. Również nad Francuzami Luftwaffe miało druzgocącą przewagę, co było kwestią kluczową w tym nowym typie wojny. Dodatkowo francuskie rozwinięcie mobilizacyjne, a potem koncentracja armii były z powodów systemowych bardzo powolne.

I dlatego Francuzi mieli Linię Maginota, która miała ich osłaniać w tym newralgicznym czasie.

Tak. Francuzi rozpędzali się do wojny bardzo wolno, podczas gdy Niemcy działali już zupełnie inaczej, opierając się na doktrynie szoku.

Czyli Polacy powinni się raz na zawsze wyleczyć z gorzkiego przeświadczenia, że wszystko potoczyłoby się we wrześniu 1939 r. inaczej, gdyby nasi zachodni sojusznicy nie stchórzyli?

Dokładnie, czas przestać tak myśleć. Niemcy nie po to szykowały się kilka lat do wielkiej wojny, żeby mniejsze państwa były im w stanie narzucić warunki gry. Francja miała 42 mln obywateli w metropolii, Niemcy – 80 mln. Niemieckie lotnictwo było w 1939 r. tak silne jak polskie, francuskie i brytyjskie razem wzięte. Wprawdzie na zachodzie Hitler nie miał prawie w ogóle czołgów, ale miał tam za to potężne umocnienia, więc broń pancerna nie była mu tak bardzo potrzebna.

Francuzi nieprzypadkowo nie zdecydowali się we wrześniu na atak. Wiedzieli doskonale, że takie działanie nie przyniosłoby im powodzenia. Francuzi czekali na przybycie brytyjskiej armii, która miała się rozwinąć na kontynencie dopiero wiosną 1940 r. Tymczasem we wrześniu 1939 r. brytyjska armia liczyła całe cztery dywizje piechoty… Paryż i Londyn z góry zakładały, że to będzie wieloletnia wojna.

Samolot Luftwaffe Heinkel He 111 bombarduje Warszawę

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Powtórka z pierwszej wojny światowej?

Tak wyglądał ich plan przyjęty w 1939 r. Niemcy, wiecznie mający problem ze sprowadzaniem surowców, miały być stopniowo głodzone. Hitler nie chciał jednak powtórki sprzed 20 lat, rozumiał, że Niemcy mogą wygrać tylko szybką wojną, więc postawił na blitzkrieg.

Czyli to wszystko polegało na blefie – Polacy, Brytyjczycy i Francuzi liczyli, że Hitler nie poważy się na wojnę ze wszystkimi?

Tak, chodziło o to, żeby przekonać Hitlera, że nie ma szans wygrać wojny na dwa fronty.

W Polsce zdecydowanie zbyt późno nasze kierownictwo polityczne zorientowało się, że Hitler prze do dużej wojny – dopiero wiosną 1939 r. uświadomiliśmy sobie, że jest to nieuchronne. Tymczasem nasi zachodni sojusznicy rozumieli to już od co najmniej roku.

Kalkulacje sojusznicze zakładały, że Niemcy będą się obawiały odcięcia od surowców i późniejszego dołączenia do wojny USA z całym ich miażdżącym potencjałem przemysłowym. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z tego, że po drugiej stronie, w Berlinie, przeciwnik za wszelką cenę będzie chciał zmienić przebieg granic. Hitler był hazardzistą i w pierwszym etapie wojny przyniosło mu to pewne korzyści, jednak na dłuższą metę okazało się, że statystyka jest nieubłagana – Niemcy były zbyt słabe, by wygrać ze wszystkimi.

Jeżeli więc walka z Niemcami w 1939 r. musiała się dla nas skończyć katastrofą, to może lepszą opcją byłoby sprzymierzenie się z nimi przeciw Związkowi Sowieckiemu? Czy to nie był jedyny ratunek dla Polski?

Według mnie ten wariant był jeszcze groźniejszy niż to, do czego doszło w rzeczywistości. W przypadku powstania koalicji francusko-brytyjsko-amerykańsko-sowieckiej, która musiałaby wygrać z III Rzeszą i z nami, stalibyśmy się zapewne nawet nie PRL, ale 17. republiką Związku Sowieckiego.

Gdyby Niemcy mieli się w takim scenariuszu najpierw zwrócić przeciw Francji, Polska byłaby wystawiona na atak kilkumilionowej Armii Czerwonej. Sowieci mogliby to potraktować jako uderzenie prewencyjne. Polska zostałaby zmieciona.

Natomiast gdyby najpierw doszło do ataku połączonych sił niemiecko-polskich na Związek Sowiecki, sukces takiego uderzenia absolutnie nie byłby pewny, a z tyłu zostałyby Francja i Wielka Brytania, które na pewno przystąpiłyby do wojny. W obu scenariuszach groziłby nam los 17. republiki.

A jeżeli jednak jakimś cudem udałoby się zniszczyć Związek Sowiecki i… jego zachodnich sojuszników?

Musimy zadać sobie pytanie: Co wówczas Niemcy zrobiliby z Polską? Jaki los czekałby Polaków zdanych na łaskę i niełaskę Niemców zachłyśniętych swoją dominacją nad całą Europą? Można podejrzewać, że los niemieckich parobków byłby najlepszym, co mogłoby nas spotkać, ale raczej skończyłoby się to dla Polaków dużo gorzej. Skąd w takiej sytuacji mielibyśmy wyglądać pomocy? Zza oceanu? Ameryka w takim scenariuszu miałaby gigantyczne problemy, żeby dokonać inwazji na Europę, a właściwie byłoby to raczej niewykonalne. Według mnie sojusz z III Rzeszą byłby dla Polski w każdym scenariuszu jeszcze gorszą katastrofą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Norbert Bączyk jest historykiem, znawcą drugiej wojny światowej, autorem wielu książek na temat tamtego konfliktu, a także prowadzi bardzo popularny podcast „Wojenne historie".

eprasa.pl 9e8667b183

Waleria Messalina. Grafika z XIX w.

FOT. CULTURE CLUB/BRIDGEMAN/GETTY IMAGES

I w. n.e. / Żądze Messaliny

Cesarzowa z lupanaru

Łukasz Czarnecki

Rzym nie znał drugiej tak zdemoralizowanej władczyni. Messalina nocami obsługiwała klientów domu publicznego, a w dzień planowała krwawe intrygi

24 stycznia 41 r. n.e. grupa gwardzistów zaczaiła się w korytarzu łączącym cesarską lożę z pałacem na Palatynie, by ciosami mieczy zakończyć krótkie, lecz burzliwe rządy obłąkanego cesarza Kaliguli. Do pretorianów trochę poniewczasie dotarło, że zamordowanie władcy pozostawiło ich bez pracodawcy, a co za tym idzie – także wypłat. W tej sytuacji odnalezienie przez żołnierzy kryjącego się w cesarskiej rezydencji Klaudiusza, ułomnego stryja zamordowanego, wydawało się istnym darem od losu. Jąkający się i znerwicowany uczony został zaniesiony do koszar gwardii i okrzyknięty nowym imperatorem.

Klaudiusz, który zbliżał się do pięćdziesiątki, aż do tego feralnego dnia wiódł właściwie życie wyrzutka. Zarówno jego własna matka, Antonia, jak i babka Liwia uważały go za pokrakę, a ta pierwsza zwykła nawet nazywać syna „monstrum rozpoczętym przez naturę, lecz niedokończonym". Mężczyzna utykał, miał w chwilach zdenerwowania problemy z wyraźnym mówieniem, a do tego cierpiał na tiki. Pozostali członkowie dynastii julijsko-klaudyjskiej trzymali go więc z dala od spraw publicznych. Wciągnięty w wir polityki został tylko raz, gdy za rządów Tyberiusza wszechpotężny prefekt pretorianów Sejan, chcąc skoligacić się z rodem panującym, wymusił na stryju Kaliguli ślub ze swą siostrą. Po upadku dostojnika, co pociągnęło za sobą śmierć większości jego bliskich, Klaudiusz rozwiódł się z połowicą, Elią Petyną, która zresztą zdążyła mu dać w poprzednich latach córkę.

Wygląda na to, że życie z dala od polityki odpowiadało Klaudiuszowi. Status rodzinnej persona non grata dawał mu mnóstwo czasu na studiowanie, a warto wiedzieć, że przyszły cesarz był naprawdę świetnym historykiem. Ze wzmianek, które do nas dotarły, wynika, że jego zainteresowania badawcze skupiały się na dziejach Etrusków. Klaudiusz pozostaje też ostatnim odnotowanym przez historię człowiekiem, który potrafił mówić w języku tego starożytnego ludu. Jeśli akurat nie wertował rzymskich archiwów, to zapewne oddawał się grze w kości (od Swetoniusza wiemy, że był to jego ulubiony rodzaj rozrywki, a gdy w końcu objął władzę, kazał w cesarskim powozie zamontować specjalny stolik umożliwiający grę w czasie jazdy).

I tak płynęły Klaudiuszowi spokojnie dni jego żywota, gdy nagle, na rok lub dwa lata przed śmiercią Kaliguli, zdarzyła się rzecz niesłychana. Liczący sobie 45 wiosen stryj cesarza zakochał się niczym jakiś młokos w swojej dalekiej

eprasa.pl 9e8667b183

krewnej – 15-letniej Walerii Messalinie. Nie zważając na nic, podstarzały amant poprosił rodzinę dziewczyny o jej rękę. Nie zdawał sobie sprawy, że popełnił tym samym jeden z najgorszych błędów w swoim życiu…

Chwała cesarzowej!

Co myślała sama Messalina na temat nowego związku? Wkrótce po ślubie wydała na świat córkę Klaudię Oktawię, jednak raczej trudno podejrzewać, że cieszyło ją dzielenie życia z mężczyzną, który mógłby być nawet nie jej ojcem, ale dziadkiem! W dodatku śliniącym się przy mówieniu i bez przerwy potrząsającym głową. Wtedy jednak nadeszła niezwykła odmiana losu – Kaligula zginął, a jego ułomny stryj zastąpił go, stając się najpotężniejszym człowiekiem świata i władcą imperium. Sama chwila przewrotu musiała być dla nowej cesarzowej doświadczeniem stresującym. Była wtedy w końcowym etapie ciąży i musiała brać pod uwagę, że zamachowcy mogą zamordować także ją i jej męża jako najbliższych krewnych obalonego tyrana – w końcu żonie Kaliguli bez mrugnięcia okiem pretorianie poderżnęli gardło, a jego malutką córeczkę wyjęli z kołyski i uderzali nią o ścianę tak długo, aż z dziecka została bezkształtna masa. Szczęśliwie jednak wszystko skończyło się dobrze dla bliskich Klaudiusza, a gdy trzy tygodnie później Messalina urodziła syna Germanika, przyszedł on na świat już jako potencjalny następca tronu.

Rządy Klaudiusza charakteryzowało ciągłe napięcie między władcą a senatem. Senatorowie nie mogli się pogodzić z tym, że imperator swoją pozycję zawdzięczał nie im, lecz zrewoltowanym żołnierzom. W czasie zamieszania po śmierci Kaliguli dostojni potomkowie arystokratycznych rodów Wiecznego Miasta chcieli przywrócić rządy republikańskie, jednak – jak się szybko okazało – Rzym od tak dawna był już autokracją, że żaden z senatorów nie miał właściwie pojęcia, jak republika miałaby funkcjonować. W efekcie zaczęły się debatowanie i kłótnie, które zajęły tyle czasu, że moment sposobny do przechwycenia władzy w państwie minął, a ostateczny kres nadziejom senatorów położył bawiący właśnie nad Tybrem judejski król Herod Agryppa, który bardzo trzeźwo zauważył, że Klaudiusz ma za sobą miecze pretorianów, a senat… nie.

Choć nowy cesarz nie był lubiany przez elity, to zaledwie dwa lata po objęciu władzy na trwałe wyrył swoje imię w marmurowych tablicach historii imperium, podbijając Brytanię. W uroczystym triumfalnym pochodzie, który z okazji rzymskiego zwycięstwa przeszedł ulicami stolicy, obok samego imperatora brała udział też jego żona. Messalina jechała za rydwanem swego męża w powozie zaprzężonym w muły, a dopiero za nią maszerowali wodzowie i żołnierze. Przy okazji, by uwiecznić sukces ojca, synkowi pary zmieniono przydomek na Brytanik.

Wyniesiona wraz z mężem na sam szczyt młoda kobieta była obsypywana zaszczytami przez senatorów, którzy może i nie przepadali za Klaudiuszem, ale robili wszystko, byleby tylko zatrzeć pamięć o swoim zachowaniu w chwili, gdy kształtował się nowy reżim. Cesarzowej przyznano prawo zasiadania w pierwszym rzędzie w teatrze, a także polecono wystawianie jej pomników w miastach imperium. Co więcej, profil władczyni trafił nawet na monety! Tylko jedno wyróżnienie ją ominęło, zapewne ku jej wielkiej złości. Gdy usłużny senat przegłosował nadanie Messalinie tytułu Augusty, noszonego wcześniej przez Liwię i będącego najwyższym wyróżnieniem, które mogła otrzymać kobieta w Imperium Rzymskim, Klaudiusz uznał, że wystarczy już tego wazeliniarstwa, i w imieniu żony odmówił przyjęcia szlachetnego przydomku.

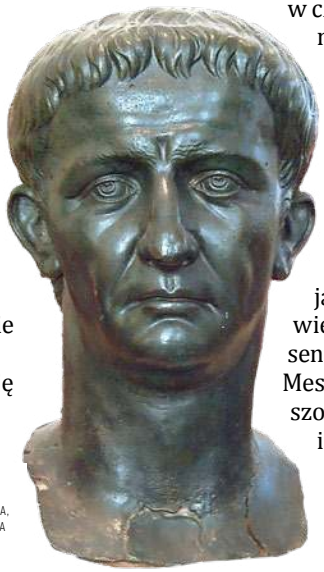

Cesarz Klaudiusz FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHEOLOGICAL MUSEM MADRID, LUIS GARCÍA (ZAQARBAL)

A jej ciągle było mało…

Tak wielkie powodzenie mogłoby przewrócić w głowie osobie starszej i bardziej doświadczonej, a co dopiero nastolatce. Nie ma się zatem co dziwić, że nasza bohaterka wkrótce zaczęła badać granice. Przekonawszy się, jak łatwo przychodzi jej wodzenie podstarzałego męża za nos, raz za razem przesuwała je coraz dalej i dalej.

Potomność zapamiętała Messalinę jako nienasyconą nimfomankę. Dość powiedzieć, że postacią żony Klaudiusza fascynował się markiz de Sade, który pewną, nad wyraz lubieżną prostytutkę ze swojej epoki porównał właśnie do rzymskiej cesarzowej. Wiadomości, które docierają do nas za pośrednictwem źródeł starożytnych, mogą zjeżyć włos na głowie nie tylko osobie cnotliwej, lecz nawet największemu rozpustnikowi. Władczyni, „młoda, ale biegła w swojej sztuce", zachowywać miała się według antycznych pisarzy niczym królewna z przypisywanego Aleksandrowi Fredrze pornograficznego poematu „Baśń o trzech braciach i królewnie". Podobnie do bohaterki tego utworu naszą bohaterkę cechowała nienasycona chuć, której nic i nikt nie był w stanie zaspokoić.

Wedle poety Juwenalisa Messalina czekała na noc. Gdy Klaudiusz, strudzony sprawami państwowymi, zasypiał i chrapał w najlepsze, cesarzowa w towarzystwie jednej tylko dwórki, wrzuciwszy na siebie pospolitą suknię i skrywszy czarne włosy pod rudą peruką, wymykała się do jednego z rzymskich burdeli, gdzie zajmowała miejsce w „sekskabinie" (ówczesne zamtuzy podzielone były na małe boksy) i rozpoczynała pracę w najstarszym zawodzie świata, rzecz jasna, robiąc to nie dla pieniędzy, lecz dla własnej przyjemności. Występowała pod pseudonimem Lykiski i podejmowała mężczyzn jednego za drugim. Żądza trawiła ją do tego stopnia, że burdel opuszczała dopiero tuż przed świtem jako ostatnia z jego pracownic. Pewnej

eprasa.pl 9e8667b183

Obwołanie Klaudiusza cesarzem. Obraz Lawrence'a Almy-Tademy FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SOTHEBY'S

nocy wyzwała słynną z „mocy przerobowych" prostytutkę na pojedynek. Zasady były proste, obie panie miały oddawać się kolejnym kochankom bez chwili przerwy, a ta, która pierwsza padnie z wyczerpania, przegra. Obie kobiety początkowo szły łeb w łeb, lecz zawodowa nierządnica ku swemu niedowierzaniu w końcu zaczęła słabnąć, podczas gdy konkurująca z nią amatorka nie zdradzała nawet cienia zmęczenia! W końcu ledwie żywa przeciwniczka cesarzowej padła na poduszki. Wedle Pliniusza Starszego, który w swojej „Historii naturalnej" odnotował ów pojedynek, czyniąc go przykładem tego, na jakie wyżyny potrafi się wznieść ludzka chuć, gdy porównano tabele wyników, okazało się, że żona Klaudiusza obsłużyła tej nocy 25 mężczyzn!

Władczyni nie tylko sama oddawała się z rozkoszą nierządowi, lecz także namawiała lub przymuszała do niego inne kobiety z wyższych rzymskich sfer. Z przekazów, które dotarły do naszych czasów, wynika, że naśladując ulubioną rozrywkę Kaliguli, na którą napatrzyła się we wczesnej młodości, urządzała na Palatynie seksimprezy, których uczestnicy wymieniali się partnerami. Arystokratki parzyły się z obcymi sobie mężczyznami, w tym zapewne również z niewolnikami, na oczach swoich mężów. Messalina nie ograniczała się jednak wyłącznie do hurtowego zażywania grzesznych rozkoszy, w Rzymie głośno było o jej romansach.

Zbrodnicza klika

Gdyby wybryki Messaliny ograniczały się tylko do zdradzania safandułowatego męża, cała sprawa mogłaby się wydawać śmieszna. Niestety, cesarzowa szybko dała się poznać jako kobieta dręczona nie tylko przez nieokiełznane cielesne żądze, lecz także przez głód krwi i bogactwa. Władczyni zawiązała spółkę z wyzwoleńcami Klaudiusza, którzy tworzyli wewnętrzny krąg wokół władcy. Jak pamiętamy, imperator nie był w zbyt dobrych stosunkach z senatem, dlatego swoje rządy wolał opierać na grupie byłych greckich niewolników, którzy wszystko, co mieli, zawdzięczali tylko jemu – miało to zagwarantować ich psią wierność.

Rychło okazało się jednak, że sprytni biurokraci, na których czele stał cesarski sekretarz Narcyz, wykorzystywali swe wyniesienie do nabijania własnej kabzy. Teraz, widząc w tym okazję do jeszcze większego wzbogacenia się, kamarylla sprzymierzyła się z cesarzową. Do kliki dołączył wkrótce gotów na każdą nikczemność prawnik Publiusz Syliusz. Wkrótce ów egzotyczny sojusz zapoczątkował istne rządy terroru.

Zostać jedną z pierwszych ofiar Messaliny miała wątpliwy zaszczyt siostra Kaliguli – Julia Liwilla, na początku rządów Klaudiusza z wielką pompą odwołana z wygnania, na które wysłał ją szalony brat. Cesarzowa czuła zawiść względem powinowatej, gdyż była ona w prostej linii potomkinią Oktawiana Augusta i jako taka miała mocniejsze prawa do tronu niż aktualny władca, ponadto w przeciwieństwie do władczyni Julia cieszyła się popularnością wśród Rzymian, w tym tych z najwyższych kręgów władzy. Po śmierci Kaliguli niektórzy senatorowie proponowali, by to jej męża – Marka Winicjusza – obwołać cesarzem. Co więcej, będący stryjem dziewczyny Klaudiusz bardzo ją lubił. Te wszystkie czynniki zadecydowały, że na młodą kobietę wydano wyrok śmierci. Messalina oskarżyła ją przed mężem o cudzołóstwo, romans z filozofem Seneką i inne zbrodnie. W efekcie siostra Kaliguli znów znalazła się na wygnaniu na małej wysepce na Morzu Śródziemnym, gdzie umarła z głodu (według oficjalnej wersji zagłodziła się sama…).

Wkrótce Rzymem wstrząsnęły wieści o kolejnych ludziach, którzy podpadli cesarzowej i źle się to dla nich skończyło. Pięć lat pomiędzy 42 a 47 r. okazało się czasem terroru sterowanego z kobiecych komnat. Żądza krwi, pragnienie złota i chorobliwa chuć mieszały się ze sobą tak ściśle, że nikt nie był już pewien, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie i któremu z nich zawdzięcza swoje aresztowanie. Na tamten świat wysłani zostali m.in. Marek Winicjusz, który odmówił morderczyni żony, chcącej uczynić go swoim kochankiem, oraz namiestnik Hiszpanii Appiusz Sylan, ojczym Messaliny, do którego ta zapałała pożądaniem. Głowę pod miecz położył też pretorianin Katoniusz Justus, który próbował poinformować wciąż nieświadomego niczego Klaudiusza o tym, co wyrabia się pod jego dachem. Z kolei w roku 47 cesarzowa doprowadziła do śmierci Waleriusza Azjatyka – bogacza i sybarytę, pierwszego człowieka z Galii, który zdobył tytuł konsula. W tym wypadku akurat nie chodziło o seks, ofiara imperatorowej miała pecha być właścicielem słynnych ogrodów Lukullusa, które Messalina zapragnęła dla siebie. Oskarżyła zatem Azjatyka o spisek przeciwko imperatorowi, cudzołóstwo (osobliwie często lubiła rozpustna cesarzowa wysuwać ten zarzut) i… zniewieściałość. Na jej rozkaz z pogwałceniem

Posąg Messaliny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM W LUWRZE

eprasa.pl 9e8667b183

Moneta z Krety z wizerunkiem Messaliny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLASSICAL NUMISMATIC GROUP

prawa rzymskiego, wedle którego byli konsulowie sądzeni mieli być przez senat, pretorianie zawlekli Waleriusza do sypialni Klaudiusza, gdzie żona cesarza, wcielając się w rolę prokuratora, wygłosiła tyradę przeciwko nieszczęsnemu galijskiemu oligarsze. Cała farsa skończyła się tym, że mężczyźnie wręczono krótki miecz i kazano popełnić samobójstwo. Nieszczęśnik zrobił to, czego odeń żądano, przed śmiercią żaląc się tylko oprawcom, że umiera wskutek kobiecej intrygi.

Upadek

Swoją bezkarność Messalina w dużej mierze zawdzięczała cesarskim wyzwoleńcom, którzy izolowali swego pana od wiadomości o wybrykach jego żony. Jednakże w pewnym momencie rozpustna morderczyni zgubiła gdzieś instynkt samozachowawczy i skazała na śmierć jednego z cesarskich sekretarzy, zresztą jej kochanka, Polibiusza. W tym momencie na Narcyza i resztę jego kliki padł blady strach. Zrozumieli bowiem, że pod ich skrzydłami rozhulało się monstrum, które zaczyna wymykać im się spod kontroli i wkrótce może pożreć także ich.

Tymczasem Messalina, czując się wszechmocną boginią, jesienią roku 48 dopuściła się ostatniego ze swoich szaleństw. Kiedy Klaudiusz przebywał w Ostii, cesarzowa ogłosiła, że… bierze rozwód ze swoim starym, safandułowatym mężem i wymienia go na nowszy model w osobie przystojnego i jurnego Gajusza Syliusza, aktualnego konsula. Owa szokująca deklaracja była ukoronowaniem trwającego od dłuższego czasu romansu. Nowy wybranek żony Klaudiusza uchodził za najprzystojniejszego mężczyznę w Rzymie, a w łóżku sprawiał się ponoć niczym Herkules. Messalina zapałała do niego namiętnością, która odebrała jej rozum, kazała nawet przenieść część swoich mebli i rzeczy osobistych z pałacu na Palatynie do rezydencji kochanka. Teraz zaś pod nieobecność męża władczyni postanowiła przeprowadzić dziwaczny zamach stanu i oficjalnie wprowadzić Syliusza na cesarskie pokoje. Jeśli był to rzeczywiście przewrót, to bez wątpienia najbardziej cudaczny w politycznych dziejach ludzkości. Cesarzowa, jej luby i ich zwolennicy, zamiast obsadzać strategiczne punkty w mieście i przekupywać pretorianów, odprawili na Palatynie ceremonię weselną, spisali umowę ślubną między nowożeńcami, a potem urządzili sobie w cesarskich ogrodach orgię.

Tymczasem Narcyz i reszta wyzwoleńców uznali, że nastał czas, by pozbyć się ich dawnej wspólniczki. Messalina ewidentnie straciła kontakt z rzeczywistością i zachowywała się jak szaleniec biegający z pochodnią w dłoni wokół polanego smołą stosu usypanego z suchego drewna. Czym prędzej wyprawiono posłańców do Ostii. Gdy władca dowiedział się o najnowszym wybryku żony (a przy okazji poinformowano go też o jej wcześniejszych dokonaniach), wskoczył do cesarskiego powozu i kazał wieźć się do obozu pretorianów, co chwila pytając nerwowo swoich sług, czy nadal jest cesarzem. Dotarłszy do celu podróży, imperator wezwał gwardzistów, by bronili jego tronu, ci zaś poprzysięgli mu wierność.

Tymczasem informacja o tym, że Klaudiusz konsoliduje siły pod Rzymem, dotarła do uczestników orgii, którzy jak kto stał, nawet jeśli był niekompletnie ubrany, rozpierzchli się w przerażeniu. Sama cesarzowa ruszyła na spotkanie męża, ale nie mogąc znaleźć żadnego transportu, musiała skorzystać z wozu do wywożenia odpadków. Ciągnięty przez muły cuchnący wehikuł wiózł ją ulicami Wiecznego Miasta ku uciesze gawiedzi obrzucającej znienawidzoną władczynię śmieciami.

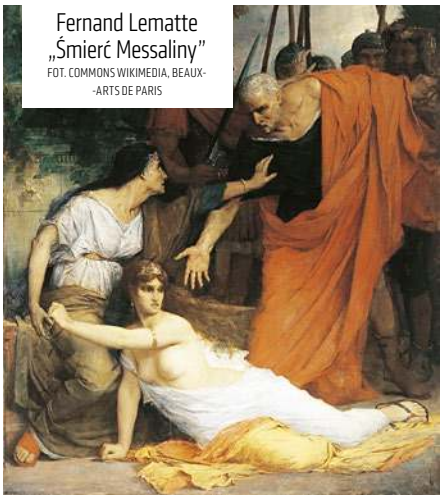

Fernand Lematte „Śmierć Messaliny"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BEAUX-ARTS DE PARIS

Sztylet i miecz

Gdy doszło do spotkania Klaudiusza i Messaliny, kobieta błagała męża o zlitowanie, przypominając, że jest matką ich dzieci. Władca nakazał odeskortować ją do willi Waleriusza Azjatyka i obiecał audiencję następnego dnia rano. Nigdy jednak do niej nie doszło. W nocy do posiadłości, w której przetrzymywano upadłą władczynię, przybyli żołnierze przysłani przez Narcyza. Przerażona niewiasta na ich widok próbowała skończyć ze sobą, ale brakło jej determinacji. Gdy trzęsącymi się dłońmi upuściła sztylet, dowodzący oddziałem setnik przebił ją mieczem.

O tym, że został wdowcem, Klaudiusz dowiedział się przy śniadaniu. Wydawało się, że wieść o śmierci niewiernej żony niezbyt go poruszyła – nie dopytawszy się nawet o szczegóły jej zgonu, zażądał więcej wina i wrócił do jedzenia. Ponadto całkiem możliwe, że ów pozorny brak emocji był w rzeczywistości owocem głębokiego szoku.

Po śmierci Messaliny senat potępił byłą cesarzową. W całym imperium rozbijano na kawałki poświęcone jej posągi i odłupywano dłutem wymieniające ją fragmenty inskrypcji. Poddani Klaudiusza okazali się tak sumienni w wymazywaniu upadłej władczyni z kart historii, że ścierali nawet jej wizerunki z monet! Do naszych czasów zachowało się w związku z tym bardzo niewiele podobizn zdemoralizowanej władczyni. Gdy więc w latach 20. XX w. jej twarz trafiła na plakaty przeprowadzanej we Francji przez rząd kampanii społecznej, autorzy afiszy, tworząc portret żony Klaudiusza, musieli zdać się na swoją wyobraźnię. A jaką szczytną sprawę reklamowała słynna imperatorowa? Otóż była to akcja walki z… chorobami wenerycznymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Orlęta z batalionu „Gozdawa"
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

1944 r. / Powstanie Warszawskie

Orlęta w obronie Starówki

Marek Gałęzowski

Młodzi podkomendni Stanisława Srzednickiego „Stacha" nie zawiedli swojego dowódcy i wychowawcy – 1 sierpnia stawiło się 166 osób, blisko 100 proc. żołnierzy oddziału

Tradycja Orląt Lwowskich – bohaterskich obrońców miasta u zarania polskiej niepodległości – była trwałą częścią świadomości pokolenia Polski niepodległej i jedną z najważniejszych treści kształcenia patriotycznego młodzieży polskiej. W pierwszej połowie lat 30. nawiązała do niej organizacja Orlęta, tworzona przy Związku Strzeleckim. Obydwie powstały z inspiracji sprawującego w Polsce władzę obozu piłsudczyków, tym samym stając się jednymi z wielu tworzących jego społeczne zaplecze.

W chwili wybuchu wojny Orlęta były już ogólnopolską organizacją masową, skupiającą młodzież od 11. do 16. roku życia, liczebnością ustępując jedynie Związkowi Harcerstwa Polskiego. Praca wychowawcza i wstępne przygotowanie wojskowe, w formie odpowiedniej do wieku, prowadzone wśród tych w większości jeszcze dzieci, miały na celu kształtowanie postaw patriotycznych, zdolności twórczej pracy dla państwa polskiego i poświęcenia idei obrony niepodległości w wypadku jej zagrożenia.

Kompania Motorowa

Wybuch wojny przerwał działalność Orląt Związku Strzeleckiego. Starsi członkowie organizacji, których dorastanie przypadło na czasy okupacji, wstępowali przeważnie do Armii Krajowej. Orlęta, które działały w Warszawie, znalazły się w Zgrupowaniu 1679 5. Rejonu VI Obwodu Okręgu Warszawskiego AK. Jednak największą jednostką w całości utworzoną z członków przedwojennych Orląt był dyon motorowy pod dowództwem Stanisława Srzednickiego „Stacha", jednego z najwybitniejszych przedwojennych wychowawców orlęcych, kierującego ich środowiskiem w Warszawie także w czasie okupacji niemieckiej. W październiku 1943 r. dyon przekształcono w Kompanię Motorową i podporządkowano komendzie Okręgu Warszawskiego AK. Żołnierze kompanii mieli zostać wyszkoleni

eprasa.pl 9e8667b183

w obsłudze pojazdów mechanicznych, z przeznaczeniem do służby w odtwarzanym Wojsku Polskim.

Stało się jednak inaczej. W końcu lipca 1944 r. Srzednicki otrzymał rozkaz koncentracji kompanii w kilku mieszkaniach na Starym Mieście. Zawiadomienie o tym większości żołnierzy odbyło się przeważnie w godzinach przedpołudniowych 1 sierpnia 1944 r., często w pośpiechu. Szesnastoletni Rafał Kołłątaj-Srzednicki wspominał, że wraz ze swoim bratem bliźniakiem, Jackiem, wyszli z domu w chwili, kiedy ich matka Antonina podawała codzienny obiad, którego już nie zdążyli zjeść. Była to symboliczna scena, która musiała się wówczas rozegrać w wielu warszawskich domach. W tym wypadku tragicznym jej wyrazem było to, że Jacek do rodzinnego domu nie miał już wrócić, poległ bowiem we wrześniu 1944 r. Dodajmy, że bracia Kołłątaj-Srzedniccy, wyruszając do walki, mieli także osobiste rachunki z Niemcami, którzy kilka miesięcy wcześniej zamordowali w Budapeszcie ich ojca, gen. Jana Kołłątaja-Srzednickiego, wybitnego lekarza, dawnego żołnierza Legionów Polskich. Podkomendni „Stacha" nie zawiedli swojego dowódcy i wychowawcy – stawiło się 166 osób, czyli blisko 100 proc. żołnierzy oddziału. Przypadło na nich siedem karabinów, trzy pistolety i osiemnaście granatów, a z magazynu przy ul. Konwiktorskiej otrzymali koszule, berety i biało-czerwone opaski. Lucjan Fajer, jeden z dowódców powstańczych na Starym Mieście, pisał później, że „chociaż ci chłopcy nie mieli dostatecznego uzbrojenia, wnieśli do Powstania taki entuzjazm i bohaterstwo, że walory te równoważyły inne braki".

Czy rzeczywiście entuzjazm i bohaterstwo tej pełnej poświęcenia młodzieży, rzadko wcześniej spotykane w polskiej historii w takiej skali, mogły równoważyć brak broni i decydować w nowoczesnej wojnie? „Dla Anglików, których tak nienawidzę, a których tak kocha wdzięczny naród polski, pójście w bój bez broni jest rzeczą przede wszystkim śmieszną, komiczną. To tak, jak gdybyś chciał lecieć do Ameryki bez aeroplanu i tylko śmiesznie podskakiwał i machał rękami albo ktoś chciał grać w tenisa bez rakiety i usiłował piłki łapać w kułak. Ale dla nas »bój bez broni« jest nie tylko

Stanisław Srzednicki „Stach" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

szczytem heroizmu, ale i mądrością przeszłych i projektowanych wojen. Nikt u nas na to hasło nie wybucha pogardliwym śmiechem, przeciwnie, wszyscy uroczyście wstają i oddają hołd ofiarom tego rozumu narodowego" – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz.

Jeszcze zanim Orlęta ruszyły do walki, przyszło stoczyć zupełnie inną, obrazującą nadal bardzo mało znaną stronę czasów okupacji niemieckiej walkę. 1 sierpnia w godzinach rannych kilku żołnierzy kompanii, m.in. bracia Marian, Władysław i Zygmunt Elgasowie oraz Zygmunt Salwa „Czymbo", otrzymało polecenie zakupu żywności dla oddziału. Udali się na bazar przy ul. Jana Kazimierza, ale w czasie zakupów musieli użyć broni, ponieważ zostali napadnięci przez paskarzy usiłujących wymusić kupno chleba po wielokrotnie zawyżonej cenie.

Jedyna defilada

Brak broni spowodował, że pierwszego dnia powstania żołnierze kompanii pozostali w miejscach koncentracji. Dopiero następnego dnia oddział udał się na ul. Świętojerską 18, która stała się kwaterą kompanii w czasie walk na Starym Mieście. Kompanię Motorową włączono do batalionu im. Stefana Czarnieckiego, potocznie nazywanego batalionem „Gozdawa", od nazwiska jego dowódcy, kpt. Lucjana Giżyńskiego „Gozdawy". Wchodził on kolejno w skład zgrupowań: Olgierda Ostkiewicza „Sienkiewicza", Stanisława Juszczakiewicza „Kuby", Gustawa Billewicza „Sosny", Grupy Północ AK i zajmował Odcinek Południowo-Zachodni obrony Starego Miasta. 2 sierpnia część żołnierzy Kompanii Motorowej wzięła udział w zdobyciu Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, obsadzając budynki od strony ul. Zakroczymskiej 17. W czasie ataku powstańców na PWPW od ul. Konwiktorskiej nadjechały dwa samochody z żołnierzami wschodnich

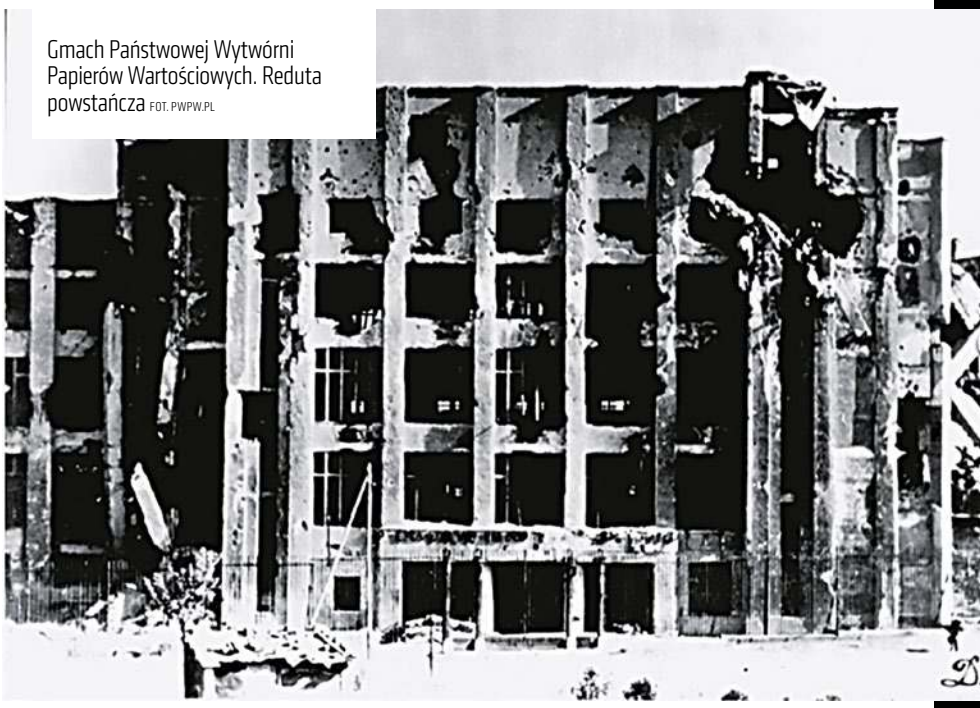
Gmach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. Reduta powstańcza FOT. PWPW.PL

eprasa.pl 9e8667b183

Szczątki „Borgwarda" po tragicznym wybuchu FOT. LEONARD SEMPOLIŃSKI, SPPW1944.ORG

formacji kolaboracyjnych z odsieczą dla załogi PWPW. Żołnierze z kompanii Orląt oraz inni powstańcy z pozycji przy ul. Zakroczymskiej obrzucili obydwa pojazdy butelkami z benzyną, zmuszając ich załogi do ucieczki. Po odparciu kolejnej próby odsieczy niemieckiej z okolic parku Traugutta o godz. 14 załoga niemiecka w PWPW skapitulowała.

Jednym z następnych celów powstańców Starówki, w tym żołnierzy kompanii Orląt, było opanowanie magazynów niemieckich na Stawkach. Po ich zajęciu częściowo poprawiono stan uzbrojenia, a zdobyczne niemieckie panterki umożliwiły jednolite umundurowania także orlęcego oddziału. W następnych dniach jeden z plutonów kompanii, dowodzony przez Zygmunta Elgasa „Cienia", pozostał w magazynach na Stawkach jako część załogi aż do opuszczenia tej pozycji 16 sierpnia.

W tych pierwszych dniach walk grupa żołnierzy Kompanii Motorowej wzięła udział w próbie natarcia na Dworzec Gdański. „Gdy patrzyłem na tę młodzież, pomyślałem w skrytości ducha, że mam do wykonania zadanie zbyt ryzykowne, bez broni maszynowej i dostatecznej ilości granatów" – pisał dowodzący wypadem Lucjan Fajer. Dojście do wyznaczonych punktów okazało się niewykonalne. Rafał Kołłątaj-Srzednicki wspominał, że w pewnym momencie marszu po torach kolejowych powstańcy natknęli się „na stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego. Usłyszeliśmy w ciemności słowo »feuer«, po którym posypała się seria z broni maszynowej, a zza płotu posypały się granaty ręczne. Musieliśmy wycofać się na pozycje wyjściowe".

Mimo niepowodzenia Fajer oceniał ich męstwo bardzo wysoko: „Chłopcy z kompanii Orląt wykazali wielki hart ducha, cechy te nabyli jeszcze w okresie konspiracji, dzięki starannemu wychowaniu żołnierskiemu, jakie otrzymali od swego dowódcy" [Stanisława Srzednickiego – przyp. M.G.]. W kolejnych dniach podejmowano również próby zdobycia pojazdów mechanicznych w celu przekształcenia oddziału zgodnie z przeznaczeniem, do czego ostatecznie nie doszło (m.in. 6 sierpnia na pl. Napoleona wysłano patrol, który bezskutecznie usiłował uruchomić pozostawiony tam uszkodzony czołg niemiecki).

W tych pierwszych dniach powstania był czas i na podniosłe zdarzenia, później coraz rzadsze. Takim było uroczyste zaprzysiężenie w Kościele Garnizonowym nowych żołnierzy Zgrupowania „Gozdawa". Nastąpiło to w wyjątkowym dniu – 6 sierpnia, w 30. rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej. Następnie Orlęta wzięły udział w defiladzie oddziałów powstańczych – jedynej w czasie powstania.

W drugim tygodniu powstania część orląt pod dowództwem „Cienia" weszła w skład 1. kompanii wypadowej. Niektórzy z nich, przeciwni rozbijaniu macierzystej formacji, niechętnie odnieśli się do tego rozkazu, ale Srzednicki odrzucił prośby o możliwość powrotu do Kompanii Motorowej. Jego podkomendni wzięli więc udział w szczególnie ciężkich walkach na odcinku nazwanym redutą Miodowa – Senatorska. „Nieprzyjaciel, nie mogąc szturmem zdobyć poszczególnych redut, kładł morderczy ogień pocisków salwowych artylerii i dział szturmowych. Zawalały się stropy poszczególnych domów, rozbijano ściany frontowe, ale broniący twardo się trzymali, odskakując w chwili ognia do tyłu, powracali natychmiast po jego ustaniu i uparcie odpierali ataki piechoty, mimo coraz większych strat, wzrastającej ilości poległych i ciężko rannych" – pisał jeden z żołnierzy batalionu „Gozdawa".

Tymczasem pozostali żołnierze Kompanii Motorowej dokonywali rozpoznania w rejonie Dworca Gdańskiego i Cytadeli, pomagali ponadto w ewakuacji szpitala przy ul. Długiej, przenosząc rannych pod ostrzałem lotniczym i artyleryjskim na ul. Miodową.

Tragiczny wybuch

Z historią Kompanii Motorowej trwale wiąże się najtragiczniejsze wydarzenie z dziejów walk powstańczych na Starym Mieście. 13 sierpnia w kierunku barykady w pobliżu zbiegu ul. Podwale z pl. Zamkowym, będącej jednym z najważniejszych punktów obrony Starówki, pod osłoną czołgu podjechał „Borgward B IV c" – opancerzony pojazd saperski wyposażony w silny materiał wybuchowy, którego celem było niszczenie szczególnie trudnych do pokonania przeszkód terenowych. Różnił się od słynnego Goliatha tym, że był kierowany przez żołnierza. Po dojechaniu do celu kierowca zsuwał z przedniej części pojazdu ładunek wybuchowy, po czym wycofywał się. „Borgward B IV c" dotarł do barykady, ale obrzucony butelkami z benzyną się zatrzymał; jego kierowca zdołał zbiec, ścigany niecelnymi strzałami.

Powstańcy ugasili ogień na, jak go określili, „czołgu" i w następnych godzi-

eprasa.pl 9e8667b183

nach, za zgodą mjr. Stanisława Błaszczaka „Roga", a bez stanowczego sprzeciwu innych oficerów, rozebrali część barykady i po bardzo pobieżnych oględzinach, krótko przed godz. 17, wprowadzili pojazd na własne pozycje. Następnie kilkoro Orląt – Henryk Paczkowski „Zbyszek", Henryka Żylak „Henia", Henryk Krajczyński „Słoń", Zygmunt Mera „Uciekinier" i wspomniany już Zygmunt Salwa „Czymbo" – uruchomiło zdobyczny pojazd. Kapitulną i Zapieckiem kierowany przez Salwę „Borgward" dotarł na Rynek Starego Miasta, gdzie mjr „Róg" pogratulował powstańcom sukcesu. „Ktoś wyniósł biało-czerwoną flagę na długim drzewcu. Jeden z żołnierzy chwycił ją i od tej pory, w odległości kilkunastu kroków, poprzedzał »tankietkę«" – pisał Robert Bielecki. „Radość była ogromna, tłumy zgromadziły się wokół czołgu, w oknach kamienic, w bramach" – dodawał Piotr Stachiewicz.

Następnie pojazd przez Podwale i Freta dojechał na ul. Kilińskiego i przy zbiegu z ul. Długą zatrzymał się przy niewielkiej barykadzie wewnętrznej. W pobliżu zgromadził się tłum cywilów i wojskowych. Z naprzeciwka od strony pl. Zamkowego nadchodził w kierunku ul. Kilińskiego kondukt żałobny. Zbliżała się godz. 18. Prawdopodobnie Zygmunt Salwa wysiadł z pojazdu i kiedy unosił maskę silnika, nastąpił wybuch zgromadzonego w pojeździe materiału wybuchowego. „Siła wybuchu była tak wielka, że fragmenty ciał ludzkich wyrzucone w powietrze uderzały o ściany domów w odległości kilkudziesięciu metrów, i to na wysokość trzeciego piętra" – pisał Bielecki. Jeden ze świadków, Władysław Sroczyński, wspominał: „Stan ulicy robił niesamowite wrażenie: na całej długości leżeli ranni, konający i zabici. Nad tym wszystkim unosiły się potworne jęki". Według skrupulatnych obliczeń Łukasza Mieszkowskiego, autora monografii poświęconej tragedii z 13 sierpnia, zginęło prawdopodobnie ok. 220 osób – powstańców i cywilów.

Nazwiska części nie są jednak znane, gdyż wielu ciał nie dało się po tym potwornym wybuchu zidentyfikować. „Błędy po kolei popełniali wszyscy uczestnicy tego dramatu […]. To, co się wydarzyło tego dnia – sekwencja wydarzeń zakończona wybuchem czołgu i masakrą – może być traktowane jako metafora wybuchu, przebiegu i wyniku całego powstania, a mit czołgu pułapki staje się metaforą mitu powstania" – mówił Łukasz Mieszkowski. Warto zastanowić się nad tą refleksją, jakże inną od potocznej opowieści o powstaniu, w której nie istnieje nic poza wesołą piosenką o powstańcu, który chce być ranny, aby dostać buziaka od sanitariuszki.

> „Oszałamiało nas rześkie poranne powietrze, a zwłaszcza… panująca wokół cisza. **Miasto spało spokojnym snem"**

Śmierć „Stacha"

W następnych dniach Kompania Motorowa nadal uczestniczyła w obronie Starego Miasta, coraz gwałtowniej atakowanego przez Niemców, na pozycjach przy Miodowej i Senatorskiej, a następnie barykadzie u wylotu ul. Świętojerskiej. 19 sierpnia dowódca kompanii, Stanisław Srzednicki, został przeniesiony do dyspozycji kpt. „Gozdawy" jako oficer do specjalnych zleceń. Już następnego dnia „prawdziwy i jedyny dowódca Orląt i ich twórca" poległ w gmachu Banku Polskiego. „Zginął najdroższy nasz opiekun, który wychował dobrych patriotów, Polaków kochających Ojczyznę i żołnierzy. Dzięki niemu wyszliśmy na prawych obywateli, mężów, ojców, wychowujących swoje dzieci tak, jak ich uczył Obywatel Komendant Orląt Stanisław Srzednicki pseud. »Stach«" – pisał po latach Henryk Kokosza. Śmierć Srzednickiego wpłynęła negatywnie na nastroje żołnierzy Kompanii Motorowej. Według Fajera po śmierci „Stacha" żaden dowódca nie mógł znaleźć wspólnego języka z tymi bardzo młodymi żołnierzami. Historyk Janusz Marszalec podaje zaś ten fakt jako przykład sytuacji, gdy śmierć dobrego, cieszącego się dużym autorytetem oficera prowadziła do komplikacji w podległym mu oddziale, a nawet do rozluźnienia dyscypliny.

Po decyzji opuszczenia Starego Miasta przez powstańców żołnierze Kompanii Motorowej późnym wieczorem 1 września 1944 r. ewakuowali się do Śródmieścia kanałem, którego właz znajdował się przy pl. Krasińskich. Dotarło tam jedynie 72 żołnierzy kompanii z jej pierwotnego stanu, w tym Rafał Kołłątaj-Srzednicki, który wspominał: „Oszałamiało nas rześkie poranne powietrze, a zwłaszcza… panująca wokół cisza. Miasto spało spokojnym snem. Spojrzenia ze zdumieniem lustrowały szyby w oknach odbijające wschodzące nad Pragą słońce, zamiecioną nawierzchnię ulicy Wareckiej. Rozszerzającymi się oczami wpatrywaliśmy się w drzewa na podwórzu za budynkiem. – Rany – ktoś szepnął – drzewa mają zielone liście… Nasze na Starówce umierały osmolone od ognia, a ich czarne konary, rozrzucone niby ręce, trzęsły się na tle rozlanej na niebie łuny".

Tablica upamiętniająca kompanię Orląt. Ulica Podwale 23

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GOPHI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 9e8667b183

Piotr Kitrasiewicz

Niemcy karmili Polaków powieścidłami o chińskich gangsterach handlujących opium – egzotyka kierowała myśli ofiar w inną stronę niż okrucieństwa okupanta. Poziom musiał być odpowiednio niski, adresowany do niewyrobionego literacko czytelnika

1939–1945 / Literatura dla słowiańskich „podludzi"

„Pulp fiction" czasu okupacji

Podczas okupacji hitlerowskiej oficjalny, czyli legalizowany przez Niemców rynek wydawniczy w Polsce niemal nie istniał. Zgodnie z dyrektywami z Berlina władze Generalnego Gubernatorstwa zezwalały zaledwie na edytowanie nielicznych książek: o charakterze praktycznej nauki zawodu technicznego, poradników kulinarnych, różnego rodzaju senników i kalendarzy. W zakresie literatury pięknej tolerowano nieliczne baśnie i bajki dla dzieci, powieści i opowiadania o charakterze erotycznym oraz rozrywkowym, przy czym tym ostatnim nie wolno było wychodzić poza ściśle określony schemat romansidła, melodramatu, kryminału lub utworu przygodowego. Poziom musiał być odpowiednio niski, adresowany do niewyrobionego literacko czytelnika.

Ale nawet tego rodzaju twory quasi-literackie z rzadka ukazywały się w formie sensu stricte książkowej. Głównym nośnikiem drukowanej rozrywki wprowadzanej na rynek GG były bowiem zeszyty z cyklu „Co Miesiąc Powieść", zamieszczające utwory sygnowane nic niemówiącymi czytelnikowi nazwiskami autorów. Były to m.in. fabuły o stosunko-

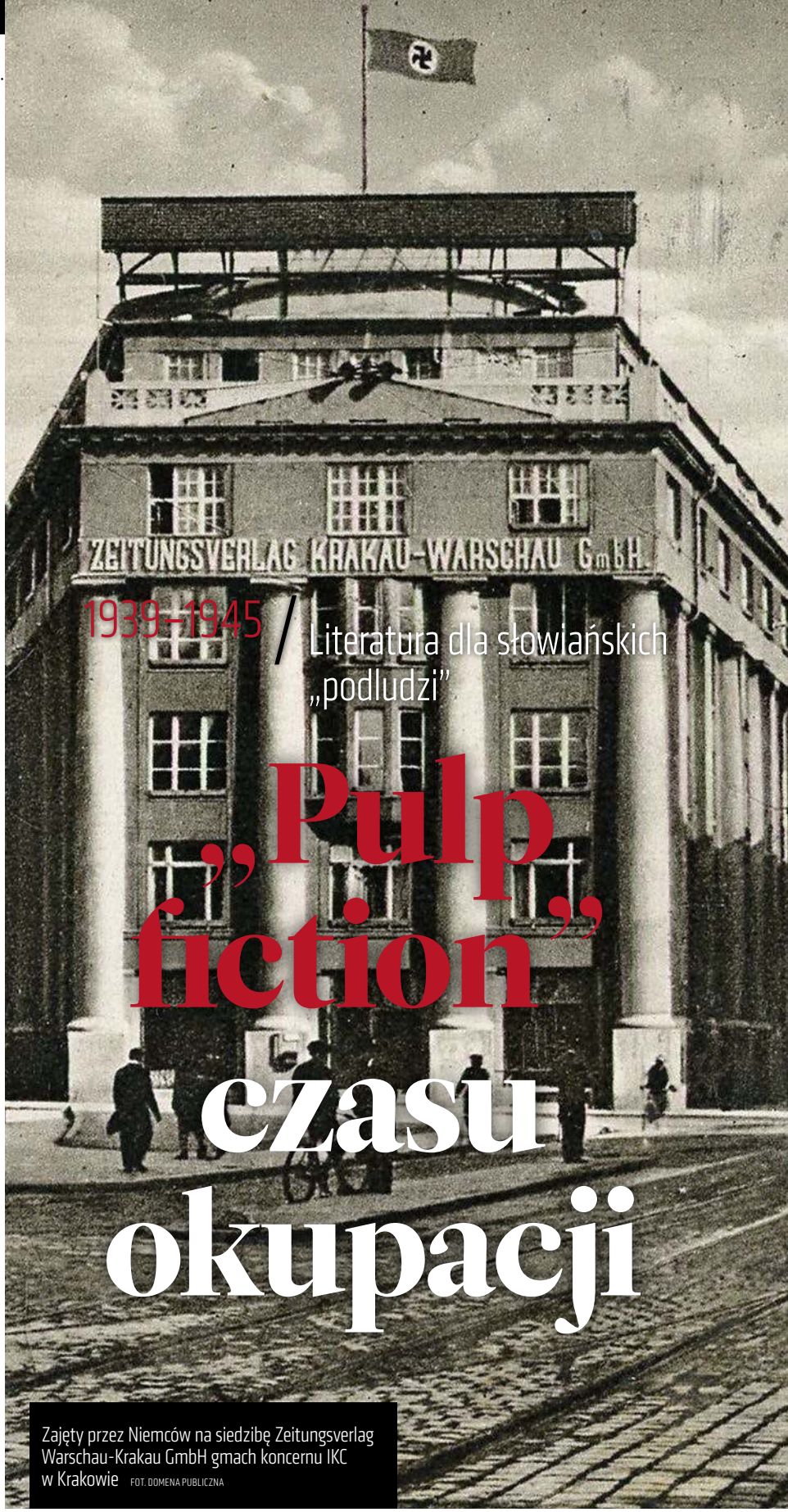

Zajęty przez Niemców na siedzibę Zeitungsverlag Warschau-Krakau GmbH gmach koncernu IKC w Krakowie FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 9e8667b183

FOT. BN/DOMENA PUBLICZNA

wo nieczęsto występujących w polskich powieściach wątkach egzotycznych.

Polska opowieść egzotyczna miała jednak swoją, poboczną – co prawda – tradycję w dwudziestoleciu międzywojennym. Oprócz przygodowych, fabularyzowanych relacji z własnych przeżyć lub opisu losów autentycznych bohaterów z dalekich stron świata, kreowanych piórami Ferdynanda Goetla, Antoniego F. Ossendowskiego, Kamila Giżyckiego czy Arkadego Fiedlera, powstawała cała masa publikacji periodycznych adresowanych do czytelniczych mas, a więc osób, których zainteresowania literackie nigdy nie wzniosły się do poziomu twórczości wymienionych twórców, nie mówiąc o Reymoncie, Żeromskim, Sienkiewiczu, Zapolskiej, lecz pozostały na niskim szczeblu literackiego smaku i wynikających z niego oczekiwaniom. Literatura rozrywkowa edytowana w formie zeszytowej była quasi-książkowym odpowiednikiem licznie wyświetlanych na ekranach drugorzędnych polskich kin filmów klasy B i C, łatwej rozrywki pozwalającej na pewien czas oderwać myśli od trudów codziennego bytowania. Były to wtórne lub wręcz grafomańskie przeróbki wątków i rozwiązań fabularnych występujących w tzw. literaturze groszowej w krajach zachodnich i Stanach Zjednoczonych („pulp fiction") lub właśnie w fabułach filmowych.

Po prostu Wanda

Tego rodzaju schlebiający niskim gustom cel przyświecał okupacyjnym wydawcom wypuszczającym na rynek publikacje zeszytowe, bo nawet pojęcie książki jako takiej należało wyrugować z pamięci narodu przeznaczonego do niewolniczej pracy na rzecz Wielkich Niemiec. W cyklu „Co Miesiąc Powieść" nie mogło być mowy o Polsce ani o jakichkolwiek elementach narodowych czy patriotycznych. Nawet swojsko brzmiące nazwy nie miały określonej przynależności terytorialnej czy regionalnej, a typowo polskie imiona i nazwiska nie doczekiwały się szerszego rozwinięcia. Na przykład „Wanda" pozostawała Wandą – o tym, że była Polką, nie wzmiankowano, podobnie jak o „Stanisławie" czy „Zbigniewie". Dlatego właśnie najbardziej wygodną dla wydawców scenerią były egzotyka i wpisane w nią przygody bohaterów, ponieważ kierowały uwagę odbiorcy w dalekie rejony świata, z dala od codzienności okupacyjnej i utraconej ojczyzny narodu, który ośmielił się przeciwstawić woli i planom III Rzeszy.

Pierwszy zeszyt cyklu „Co Miesiąc Powieść" pojawił się w lipcu 1940 r. Redakcja i administracja mieściły się przy ul. Marszałkowskiej 3 i były związane z koncernem niemieckim Zeitungsverlag Warschau-Krakau GmbH, wydającym prasę polskojęzyczną, w tym „Nowy Kurier Warszawski", z którego drukarni oraz obsługi biurowej korzystały. Przez cały okres wydawania serii jako jej redaktor naczelny figurował Teodor Piekarski, a nominalnym wydawcą był Jan Krzeczkowski. Oba te swojsko brzmiące nazwiska nic nie mówiły czytelnikom i nic dziwnego, bo były to po prostu pseudonimy niemieckich edytorów i redaktorów, operujących językiem polskim reichs- lub volksdeutschów. Podobnie zagadkową, bo prawdopodobnie fikcyjną postacią pozostaje do dzisiaj redaktor naczelny „Nowego Kuriera Warszawskiego", niejaki Franciszek Sowiński.

Kolaboranci o znanych nazwiskach

Wydawnictwo zabiegało o współpracę klepiących biedę polskich pisarzy, a niektórzy z nich – zwykle osoby o mało

eprasa.pl 9e8667b183

znanych nazwiskach i niezbyt wysokich lotach – podejmowali ją, maskując swoją tożsamość pseudonimem. Motywacją była najczęściej po prostu chęć zarobienia, czasem uzyskania legitymacji lub zaświadczenia gwarantujących nieco lepszy status okupacyjny niż zwykły „ausweis", co do pewnego stopnia mogło chronić przed przypadkowym aresztowaniem ze strony okupanta, z łapanką na czele. Ale środowisko literackie okupowanej Warszawy było znacznie bardziej jednolite, jeśli chodzi o przestrzeganie honorowego zakazu współpracy z okupantem, niż np. środowisko aktorskie. Niejeden przymierający głodem literat, patrząc na występy w teatrze Komedia oraz na innych legalnie działających scenach i scenkach przedwojennych gwiazd teatru i filmu, takich jak Adolf Dymsza, Kazimierz Junosza-Stępowski, Franciszek Brodniewicz czy Józef Węgrzyn, mógł powiedzieć sobie: „Właściwie, dlaczego nie?".

Mimo to jednak ci nieliczni ludzie pióra, których nazwiska rozszyfrowano, a którzy popełnili jakiś niewyszukany kawałek prozy wydany nakładem koncesjonowanej przez okupanta oficyny, po wojnie otrzymywali wyroki sądowe niewspółmierne do „wyczynów" kolegów aktorów. Na przykład pisarz Alfred Szklarski (będzie jeszcze o nim mowa) za kilka przygodowych powieści, które ukazały się podczas okupacji, został skazany na osiem lat więzienia, a Adolf Dymsza, który nie tylko wielokrotnie występował na okupacyjnych deskach scenicznych, utrzymywał towarzyskie stosunki z Niemcami, w tym z gestapowcami, otrzymał w formie kary tylko zakaz gry w teatrach warszawskich na okres kilku lat. Nie przeszkodziło mu to zresztą w zagraniu jednej z głównych ról w pierwszym powojennym filmie komediowym, którym był sławny „Skarb".

Wróćmy jednak do serii „Co Miesiąc Powieść". Pod jej szyldem, oprócz utworów o tematyce detektywistycznej czy romansowej osadzonej w rodzimej scenerii, ukazywały się fabuły wpisane w świat dalekiej egzotyki, czasem amerykańskiego Dzikiego Zachodu (np. „Córka ranczera" Witolda Starkiewicza). Perypetie bohaterów miały charakter sensacyjny: często występowała w nich zagrożona, piękna i niewinna heroina, którą ratował przed zakusami różnej maści drani dzielny i odważny młodzieniec. Tym ostatnim był detektyw, poszukiwacz przygód lub awanturnik, który odkrył w sobie szlachetne instynkty pozwalające mu na opowiedzenie się po właściwej stronie. Każdy zeszyt „Co Miesiąc Powieść" oprócz samego utworu zawierał dodatek w postaci rozrywek umysłowych oraz dowcipów rysunkowych. Oferta rozrywek umysłowych składała się z łamigłówek, wirówek, konikówek, rebusów oraz tzw. biletów wizytowych. Te ostatnie stanowią dla nas dzisiaj swoistą ciekawostkę. Z odpowiednio spreparowanych imion i nazwisk pań należało wywnioskować, gdzie one mieszkają. Na przykład „Olga I. Tamp" lub „Nina I. Swapey". Były także rysunki humorystyczne, z reguły reprezentujące mało zabawny i dość pospolity dowcip. Czasem humor ten zawierał elementy propagandy nazistowskiej, ale w złagodzonej postaci. Na przykład jeden z rysunków przedstawia kąpiącą się w eleganckiej wannie damę, która prowadzi towarzyską konwersację z koleżanką. Słowny komentarz do rysunku brzmiał: „Londyńska lady do przyjaciółki: – Uważam, że wanna jest jedyną wodą, której my, Anglicy, możemy teraz używać bezpiecznie". Cena każdego zeszytu wynosiła 1 zł.

W cyklu „Co Miesiąc Powieść" nie mogło być żadnej mowy o Polsce. Była natomiast tematyka egzotyczna, odciągająca uwagę czytelników od realiów okupacji niemieckiej

Handlarze opium z Szanghaju

Jednym z reprezentatywnych dla tego cyklu utworów była powieść Alfreda Murawskiego „Spotkanie w Szanghaju". Ukazała się ona w numerze datowanym na 1 maja 1942 r. Akcja rozgrywa się w Szanghaju w środowisku gangsterów handlujących opium. Gang kierowany przez Czanga Hu Li, którego mocodawcą jest bogaty „mieszaniec", Moran, oczekuje na transport tego narkotyku, który ma przywieźć statkiem dostawca Stevens. Ale Stevens próbuje oszukać bandytów i skrzynie z rzekomym opium zawierają mąkę. Bandyci porywają więc dostawcę i poddają go torturom, żeby dowiedzieć się, co stało się z opium. Po tej scenie akcja przenosi się do Sajgonu. Poznajemy córkę Stevensa, młodą i niewinną Irvin, która próbuje dostać się na statek liniowy płynący do Szanghaju. Ale jedyną możliwością jest popłynięcie z podejrzanym handlowcem, niejakim Johnnym Olskim, który początkowo nie chce jej zabrać, ale zmienia zdanie, kiedy dowiaduje się, że jest ona córką Stevensa. On także pracuje dla dostawcy opium, ale postanawia zerwać z tym procederem. W trakcie rejsu Olski i Irvin zakochują się w sobie i kapitan udziela im ślubu. Formalny związek ma także spełnić określony cel, a mianowicie uchronić Irvin przed poślubieniem człowieka, którego jakoby wybrał dla niej ojciec. A kandydatem na męża dla panny Stevens miał być Moran.

Zobaczmy, jak szybko Johnny i Irvin doszli do porozumienia na pełnym morzu przy blasku księżyca.

„– Czy kochasz mnie tak bardzo, Johnny?

Olski przygarnął Irvin tak silnie do siebie i usta ich zwarły się w długim pocałunku.

– Nie odbiorą mi ciebie, moje maleństwo – powiedział Olski, prostując się. – Żałuję tylko, że nie mogę zawrócić, aby zostawić cię u ciotki.

Nazajutrz rano kapitan »Zefira« dał im ślub".

Zaznaczmy jednak, że bohater pomimo polsko brzmiącego nazwiska nie jest nazwany Polakiem. Przyjrzyjmy się, jakich okrężnych sposobów użył autor, żeby scharakteryzować jego przeszłość, unikając skonkretyzowania przynależności narodowej postaci.

„Olski urodził się na północy Dalekiego Wschodu. Rodzice jego przewędrowawszy prawie całą Azję, osiedli z dala od swej ojczyzny i chociaż stałym ich marzeniem był powrót do rodzinnych pieleszy, nie doczekali się tego szczęścia. Obydwoje umarli, pozostawiając dwudziestoletniego syna w obcym kraju.

eprasa.pl 9e8667b183

Spędzona młodość w surowych warunkach zahartowała Olskiego fizycznie i moralnie, nie załamał się też po stracie rodziców. Nie bał się trudności życiowych i pragnął wypłynąć na szersze wody. Po śmierci rodziców ruszył na południe i po wielu tarapatach zaczął pracować dla koncernu handlującego opium. Od tej też chwili zaczęło mu się lepiej powodzić. Teraz wiózł ósmy z kolei transport zamówiony przez Stevensa. Miał to być też i ostatni. Mianowicie dwa poprzednie transporty zostały przechwycone i skonfiskowane przez władze i Stevens stał na progu bankructwa".

Reklama prasowa książki Murawskiego, czyli Alfreda Szklarskiego FOT. BN

Tropem porywaczy

Olski nie lubił Stevensa, uważał go za kanalię i zamierzał zerwać z nim współpracę. Prawdopodobnie nadal wykonywałby swój proceder przemytnika, gdyby nie poznał Irvin i nie zaryzykował własnego życia, żeby uchronić ją przed zgubą. Po dopłynięciu na miejsce, do Szanghaju, okazało się bowiem, że za ojca dziewczyny podaje się ktoś inny, a ona sama zostaje porwana. Idąc tropem porywaczy, Olski przeżywa niebezpieczne przygody. W jego obecności zostaje zamordowany za pomocą zatrutej strzały wystrzelonej z dmuchawki fałszywy Stevens. Johnny wpada w ręce chińskich gangsterów, milczących i okrutnych, jest torturowany i cudem uchodzi z życiem. A w tym czasie Irvin wpada w ręce Morana, który żąda, żeby za niego wyszła, a kiedy kategorycznie odmawia, próbuje ją zgwałcić. Oto ta dramatyczna scena w wydaniu Alfreda Murawskiego:

„Moran jednym skokiem doskoczył do kobiety, ostrym szarpnięciem odwrócił do siebie, porwał w ramiona i wpił się w jej usta. Naraz z krzykiem puścił Irvin, chwytając się za zbroczone krwią usta. Irvin nie była potulną kobietą Wschodu, jej ostre zęby zostawiły Moranowi pamiątkę [...]. Popchnął ją na maty i zaczął pieścić. Początkowo stawiała opór, ale wkrótce siły opuściły ją. Rozpalone ręce mężczyzny przesuwały się po jej ciele. Drgała, jakby przypalano ją żelazem. Coraz silniej przywierał do niej napastnik i w chwili, gdy już miała spełnić się jej hańba, cicho otworzyły się drzwi pokoju i wsunął się Jack Smith".

Zaiste niesamowite przeżycia oferowała czytelnikowi okupacyjna „literatura". Wyjaśnijmy, w związku z przytoczonym fragmentem, że w przeciwieństwie do losów Irvin, której upadek uratował sprzymierzeniec, detektyw Jack Smith, Polacy pod rządami niemieckimi nie mieli tyle szczęścia. Zwłaszcza że sprzymierzeniec, który przegnał katów gorszych od chińskich gangsterów, nie nosił nazwiska Smith, tylko Stalin.

Autor przygód Tomka

Jednym z nielicznych autorów piszących dla cyklu „Co Miesiąc Powieść", których tożsamość udało się ustalić, był właśnie Alfred Murawski. Pod tym nazwiskiem krył się wspomniany już Alfred Szklarski, który po latach zasłynął jako autor adresowanego do młodzieży przygodowo-egzotycznego cyklu o podróżach polskiego chłopca Tomka Wilmowskiego („Tomek w krainie kangurów", „Przygody Tomka na Czarnym Lądzie", „Tomek na wojennej ścieżce" itp.). W przeciwieństwie do okupacyjnych wypocin późniejsze książki Szklarskiego nie nosiły cech grafomańskich i reprezentowały przyzwoity poziom, ciesząc się zasłużoną popularnością. Podczas okupacji Szklarski vel Murawski popełnił jeszcze kilka innych powieścideł utrzymanych w konwencji egzotycznej (np. „Krwawe diamenty", „Lot do dżungli" czy „Tajemnica grobowca"). Pomimo kolaboracyjnej pracy literackiej Szklarski wziął aktywny udział w Powstaniu Warszawskim, walcząc w szeregach AK.

A cykl „Co Miesiąc Powieść" przestał ukazywać się po październiku 1943 r. W każdym razie nie zachowały się żadne zeszyty z późniejszego okresu. Wśród wydanych tytułów są m.in. „Perły mórz południowych" W. Reinersa, „Kamienny wąwóz" oraz „Byk z Galenty" W. Starkiewicza, „Biała Navajka" A. Halińskiego, „Nanea z kraju Zulusów" W. Riche i wiele innych. Ich autorzy, chociaż prawdopodobnie od dawna już nieżyjący, ciągle czekają na rozszyfrowanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

XX w. / Bolszewickie metody eliminowania przeciwników reżimu

Mengele Stalina

Mikołaj Iwanow

Grigorij Majranowski był szefem laboratorium NKWD, w którym opracowywano trucizny pozwalające zabijać bez pozostawiania śladów. Wypróbowywano je na skazanych na śmierć

Generał Leopold Okulicki, ostatni dowódca Armii Krajowej, skazany w Moskwie w procesie pokazowym na 10 lat, zmarł nagle w więzieniu na zawał serca. Miał zaledwie 49 lat. Aleksiej Nawalny, czołowy rosyjski przeciwnik Władimira Putina, zmarł w podobnych okolicznościach w rosyjskim więzieniu za kręgiem polarnym. Oba zgony dzieli 78 lat, ale mimo upływu czasu wątpliwości co do prawdziwości informacji podawanych przez sowieckie i rosyjskie służby więzienne pozostają te same.

Trzeba być człowiekiem kompletnie naiwnym, aby uwierzyć słowom katów Stalina i Putina. Wiadomo natomiast, że myśl o „czystym" mordowaniu przeciwników politycznych i innych „wrogów ludu" towarzyszyła Stalinowi od momentu objęcia przez niego władzy absolutnej pod koniec lat 20., a może nawet i wcześniej. Nieprzypadkowo w sowieckich służbach siłowych utworzono specjalną jednostkę naukową zajmującą się opracowywaniem nowych, trudnych do wykrycia trucizn. Słynny nowiczok, za którego pomocą dokonuje się zamachów na „zdrajców" reżimu, to trucizna XXI w. Jej korzenie sięgają jednak pierwszych „wynalazków" diabelskiego laboratorium Stalina.

W 1937 r., w czasie wielkiego terroru, na czele tej „jednostki naukowej" umocowanej w strukturach NKWD postawiono Grigorija Moisiejewicza Majranowskiego. Pracował on z dużą grupą podległych mu naukowców nad nowymi sposobami zabijania ludzi. Majranowski nie był nowicjuszem w tej dziedzinie. W latach 1935–1937 kierował laboratorium toksykologicznym Instytutu Medycyny Eksperymentalnej w Moskwie. Tam właśnie spotkał go szef NKWD Gienrich Jagoda i zaproponował przejście do swego resortu na ściśle tajną posadę. Majranowski

eprasa.pl 9e8667b183

FOT. ADOBESTOCK

miał otrzymać nieograniczone możliwości w kwestii opracowywania nowego typu trucizn.

Z dokumentów archiwalnych wynika, że Majranowski przeprowadził pierwsze eksperymenty w „laboratorium śmierci" z pochodnymi gazu musztardowego. Taka trucizna wydawała się bardzo wygodna, ale miała jednak istotną wadę: analiza chemiczna przeprowadzona po sekcji zwłok zmarłego pozwoliłaby ustalić obecność tej substancji w organizmie. Dlatego Majranowski zaczął eksperymentować z digoksyną, kolchicyną, talem i rycyną, zmieniając stężenie tych substancji i sposoby ich wprowadzania do organizmu człowieka.

Każdą opcję przetestowano na tzw. osobach eksperymentalnych. Przeważnie byli to skazani na śmierć więźniowie (zarówno polityczni, jak i kryminalni). Zgodnie z instrukcją opracowaną w laboratorium dla wszystkich badanych ustalono okres obserwacji działania trucizny – od 10 do 14 dni. Jeśli w tym czasie nie nastąpiła śmierć, to nieszczęśnika uśmiercano za pomocą kuli z rewolweru.

Śmierć po kwadransie

Sam Majranowski dał się poznać jako żarliwy badacz trucizn, gotowy nawet narażać własne zdrowie, by osiągnąć wyniki. Wielokrotnie Grigorij Moisiejewicz testował na samym sobie działanie nowych środków, aczkolwiek w zmniejszonych dawkach.

Wytrwałość Majranowskiego i jego pracowników została nagrodzona. Po wielu eksperymentach udało im się stworzyć truciznę idealną dla NKWD. Środkowi nadano oznaczenie K-2. Obserwacje laboratoryjne wykazały, że po podaniu jej ofiara słabła, cichła i po 15 minutach umierała. Aby sprawdzić, czy K-2 nie pozostawia śladów, ciało otrutego przewieziono do kostnicy Instytutu Sklifosowskiego, gdzie patolodzy przeprowadzili rutynową sekcję zwłok. Diagnoza niczego niepodejrzewających lekarzy była jednobrzmiąca: mężczyzna zmarł na ostrą niewydolność serca.

Pracownicy specjalnego laboratorium eksperymentowali z różnymi metodami wprowadzania trucizn do organizmu ofiary. Mieszano je z jedzeniem, wodą, wstrzykiwano, opryskiwano skórę i podawano następnie „królikom doświadczalnym". Z dostępnością takich osób nie było problemów. Jak wynika z dokumentu opracowanego później na podstawie zeznań samego Majranowskiego: „Jesienią 1938 r. zacząłem otrzymywać przydziały od Sudopłatowa, który pracował w Departamencie Zagranicznym NKWD, i od Mierkułowa, który był wówczas zastępcą Komisarza Ludowego Spraw Wewnętrznych ZSRS, do badania i przygotowania substancji trujących i odurzających oraz testowania tych substancji na skazanych na śmierć".

Sam Mierkułow, aresztowany w 1953 r. zaraz po Berii, w czasie śledztwa skomentował powyższe słowa następująco: „Majranowski powiedział mi, że Beria dał mu wcześniej pozwolenie na przeprowadzanie takich eksperymentów na skazanych na śmierć. Następnie zezwoliłem także na przeprowadzanie eksperymentów z użyciem trucizny. Jednocześnie nie uważałem, że robię coś nielegalnego, ponieważ mówimy o skazanych na śmierć wrogach państwa sowieckiego, prowadzono na nich eksperymenty w celu dostarczenia wywiadowi sowieckiemu niezawodnych substancji trujących do sabotażu i działań bojowych".

Za zapewnienie dostaw „żywego materiału laboratoryjnego" do przeprowadzania okrutnych eksperymentów odpowiedzialny był I Oddział Specjalny (później Oddział „A") NKWD. Jego pracownicy wybierali odpowiednie ofiary

Grigorij Majranowski FOT. DOMENA PUBLICZNA

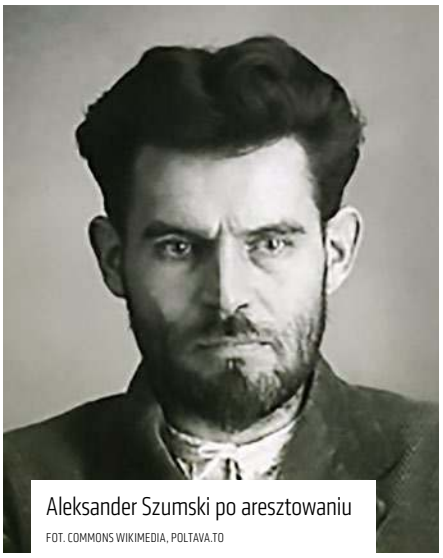

Aleksander Szumski po aresztowaniu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POLTAVA.TO

eprasa.pl 9e8667b183

spośród skazanych na śmierć w więzieniach Butyrki i na Łubiance.

Trudno obecnie określić konkretną liczbę ofiar eksperymentów przeprowadzonych w laboratorium Majranowskiego. Sądząc po niektórych danych, liczba ta może sięgnąć 250 osób. Co więcej, wśród tych, którzy stracili życie w osławionym „Laboratorium X", byli nie tylko więźniowie sowieccy skazani na karę śmierci. Ginęli także jeńcy niemieccy i japońscy, a także Polacy, Koreańczycy i Chińczycy oskarżeni o szpiegostwo i kontrrewolucję. Z zachowanych dokumentów wiadomo, że pod koniec 1945 r. trzech niemieckich emigrantów politycznych, którzy uciekli do Rosji przed nazistami, zostało poddanych eksperymentom i otrzymało śmiertelne zastrzyki.

Po zwycięstwie ZSRS nad III Rzeszą Majranowski pojechał do Niemiec w specjalnej grupie NKWD, aby znaleźć tam materiały dotyczące eksperymentów prowadzonych przez nazistowskich lekarzy. Wrócił jednak do Moskwy wyraźnie rozczarowany: okazało się, że naziści mieli zauważalne opóźnienie w pracy z toksynami w porównaniu z osiągnięciami naukowców z jego laboratorium.

Samo „Laboratorium X" istniało do 1946 r. Następnie zostało włączone do Departamentu Sprzętu Operacyjnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRS, otrzymując nazwę Laboratorium „W". Po wojnie „Doktor Śmierć" aktywnie włączył się w działania Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MBP). Jego przełożonymi byli uznani eksperci do spraw wywiadu i zabójstw: generałowie Paweł Sudopłatow i Naum Eitingon. Sam Majranowski był dumny z udziału w zabójstwach aż do końca swych dni. Jak pisał: „Moją ręką zniszczono kilkunastu wpływowych wrogów władzy sowieckiej, w tym wszelkiego rodzaju nacjonalistów. Generał porucznik Paweł Sudopłatow o tym wie".

Zabójcze zastrzyki

Ile dokładnie osób zabito truciznami wyprodukowanymi przez laboratoria nadzorowane przez Majranowskiego? Nie dowiemy się tego dopóty, dopóki w Rosji panuje totalitaryzm. Bez wątpienia były to setki osób. W ujawnionych w latach 1992–1994 dokumentach są ślady zabójstw jedynie niektórych osób. W 1946 r. amerykański komunista Izaak Oggins, który w latach 30. XX w. pracował jako agent NKWD na Dalekim Wschodzie, a później został aresztowany w Moskwie za „szpiegostwo", zmarł w wyniku wstrzyknięcia trucizny. Amerykanie zabiegali o zwolnienie go z sowieckich łagrów, ale kierownictwo MGB nie chciało, aby Oggins wrócił do USA, ponieważ za dużo wiedział. Trucizna, którą „Doktor Śmierć" osobiście podał Amerykaninowi w szpitalu więziennym, przybywając tam pod przykrywką lekarza, natychmiast rozwiązała wszystkie problemy.

Biskup Teodor Romża FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MISKO 3

Akonityna powodowała u więźniów obfite pocenie się i nudności, a następnie wymioty, biegunkę i rozdzierający ból

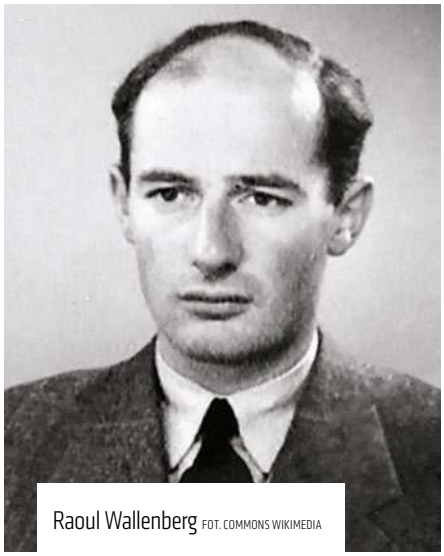
Raoul Wallenberg FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Latem 1946 r. grupa funkcjonariuszy MGB przeprowadziła w Uljanowsku akcję mającą na celu wyeliminowanie niejakiego Sameta, żydowskiego inżyniera z Polski, zaangażowanego w tajne prace nad nowymi okrętami podwodnymi. Samet miał zamiar wyemigrować do Palestyny, ale ponieważ znał tajemnice wojskowe, nie pozwolono mu opuścić Kraju Rad. Funkcjonariusze bezpieki złapali go na ulicy, wywieźli za miasto, gdzie w ustronnym miejscu Majranowski wstrzyknął mu środek mający symulować śmierć z powodu ostrej niewydolności serca.

Kilka miesięcy później Ołeksandr Szumski, ukraiński bolszewik, oskarżony przez Stalina o nacjonalizm, również został zabity zastrzykiem. Istnieją podstawy, aby sądzić, że słynny szwedzki dyplomata Raoul Wallenberg został zamordowany w 1947 r. w więzieniu na Łubiance trucizną z laboratorium Majranowskiego. Tak samo zginęli najpewniej również ostatni dowódca AK gen. Leopold Okulicki i ostatni delegat rządu RP na kraj Jan Stanisław Jankowski.

Mniej więcej w tym samym okresie Majranowski udostępnił MGB dawkę nowo opracowanej trucizny na bazie kurary. Takim specjalnym środkiem zamordowano w Mukaczewie Teodora Romżę, arcybiskupa ukraińskiego Kościoła unickiego. Został on zabity w wyniku tajnej, wieloetapowej operacji MGB. Najpierw miejscowi funkcjonariusze MGB spowodowali wypadek samochodowy, a następnie, gdy ranny kapłan trafił do szpitala, dyżurująca pielęgniarka (tajna współpracowniczka bezpieki) zrobiła ks. Romży zastrzyk z trucizny Majranowskiego. Patolodzy odnotowali śmierć arcybiskupa z powodu ostrej niewydolności serca.

Najbardziej brutalne eksperymenty w „Laboratorium X" przeprowadzono z akonityną. Godzinę po podaniu

eprasa.pl 9e8667b183

akonityna powodowała u więźniów obfite pocenie się i nudności, a następnie wymioty, biegunkę i rozdzierający ból. Następnie występowały skurcze mięśni całego ciała, w tym mięśni oddechowych. Cierpienia więźniów kończyły się dopiero po kilku godzinach, w wyniku zatrzymania akcji serca. Ponadto na przełomie lat 30. i 40. laboratorium Majranowskiego przeprowadziło testy ze specjalną amunicją z akonityną. Komendant laboratorium strzelał takimi kulami w ofiarę eksperymentu, oszczędzając jednak żywotne organy, po czym obserwowano działanie trucizny.

Serum prawdy

Majranowski, mimo swoich wielkich zasług dla Stalina, wpadł w końcu w tarapaty. 13 grudnia 1951 r. został aresztowany przez władze pod zarzutem wzięcia udziału w spisku syjonistycznym (z pochodzenia był Żydem). Wśród zarzutów znalazły się m.in. zaniedbanie obowiązków i „nielegalne posiadanie i wykorzystanie silnych substancji trujących". Co więcej, „zaniedbanie" Majranowskiego polegało również na tym, że podczas wykonywania kilku akcji specjalnych jego trucizny nie zadziałały. Śledczy MGB pracowali nad jego sprawą ponad rok. W czasie dochodzenia Majranowski złożył zeznania. Mówił m.in.: „Podczas moich eksperymentów ze stosowaniem trucizn, które testowałem na skazanych na najwyższą karę, zetknąłem się z faktem, że niektóre trucizny mogą posłużyć do wywołania tzw. szczerości ze strony osoby objętej dochodzeniem. Substancjami tymi okazały się chloral-skopolamina i fenamino-benzedryna (Cola-S). Stosując chloral-skopolaminę, zauważyłem, że – po pierwsze – jej dawki podawane jako śmiertelne w rzeczywistości takie nie są. Sprawdzałem to wielokrotnie. Dodatkowo zauważyłem oszałamiający efekt po zastosowaniu Coli-S, który utrzymuje się średnio około jednego dnia. W chwili, gdy zaczyna mijać, następuje całkowite odrętwienie i pojawiają się przebłyski świadomości, jednocześnie funkcje hamujące kory mózgowej są nadal nieobecne. Wykonując w tym czasie metodę refleksologii (pchanie, szczypanie, polewanie wodą), można wydobyć z podmiotu szereg jednosylabowych odpowiedzi na krótko postawione pytania. Podczas stosowania Coli-S u pacjenta rozwija się silny stan pobudzenia kory mózgowej, utrzymująca się przez kilka dni bezsenność, w zależności od dawki. Istnieje niekontrolowana potrzeba zabrania głosu. Dane te skłoniły mnie do zastanowienia się nad wykorzystaniem tych substancji w celu uzyskania tzw. szczerości od osób objętych śledztwem".

Zimą 1953 r. odbył się proces Majranowskiego. Dwa tygodnie przed śmiercią Stalina zapadł wyrok. Niespodziewanie oskarżony uniknął kary śmierci. „Doktor Śmierć" został skazany tylko na 10 lat więzienia.

Przyczyną tak łagodnego wyroku, jak na czasy stalinowskie, była prawdopodobnie chęć dalszego wykorzystywania unikatowej wiedzy i doświadczeń Majranowskiego. Za kratkami Majranowski w dalszym ciągu był konsultantem MGB: w tym celu kilkakrotnie był zabierany do Moskwy z Więzienia Specjalnego nr 2 we Włodzimierzu.

„Doktor Śmierć" próbował uzyskać zwolnienie, pisał listy do samego Berii, przekonując, że jest niezbędny do dalszej pracy nad truciznami, tak potrzebnymi państwu i jego organom bezpieczeństwa. Pisał m.in.: „Mam propozycję użycia kilku nowych substancji, zarówno z asortymentu tabletek nasennych, jak i leków śmiercionośnych".

Jako więzień Majranowski został jeszcze wykorzystany przez władze w czasie śledztwa i procesu swojego byłego szefa Ławrientija Berii. Zeznania Majranowskiego stały się niemal centralnym wątkiem oskarżenia przeciwko temu najbliższemu współpracownikowi Stalina. Istnieją świadectwa, że na jednym z przesłuchań Majranowski stracił panowanie nad sobą i rozpłakał się na widok swego bezpośredniego dowódcy gen. Sudopłatowa, który również był oskarżony w procesie Berii.

Sam Sudopłatow, udając obłąkanego w czasie śledztwa, wyszedł stosunkowo obronną ręką z opresji. Odsiedział kilka lat w więzieniu, dożył lat 90., opublikował swoje wspomnienia, a nawet został zrehabilitowany. Trudno w to uwierzyć, ale na froncie dzisiejszej wojny na Ukrainie po stronie agresorów walczy batalion ochotników z Mariupola imienia Sudopłatowa. Są też plany wzniesienia w Mariupolu, rodzinnym mieście kata, jego pomnika.

W 1962 r. Majranowski został zwolniony z więzienia. „Doktor Śmierć" wrócił do rodzinnej Machaczkały, gdzie pracował w jednym z instytutów badawczych. Śmierć zastała doktora w łóżku dwa lata później. Ironią losu jest to, że Grigorij Moisiejewicz zmarł na zawał serca, a przecież taką przyczynę zgonu diagnozowano zazwyczaj po podaniu trucizn z jego laboratorium.

Mieszkający dziś w Niemczech synowie Majranowskiego złożyli niedawno do Sądu Najwyższego Federacji Rosyjskiej prośbę o rehabilitację ich ojca. Bezskutecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

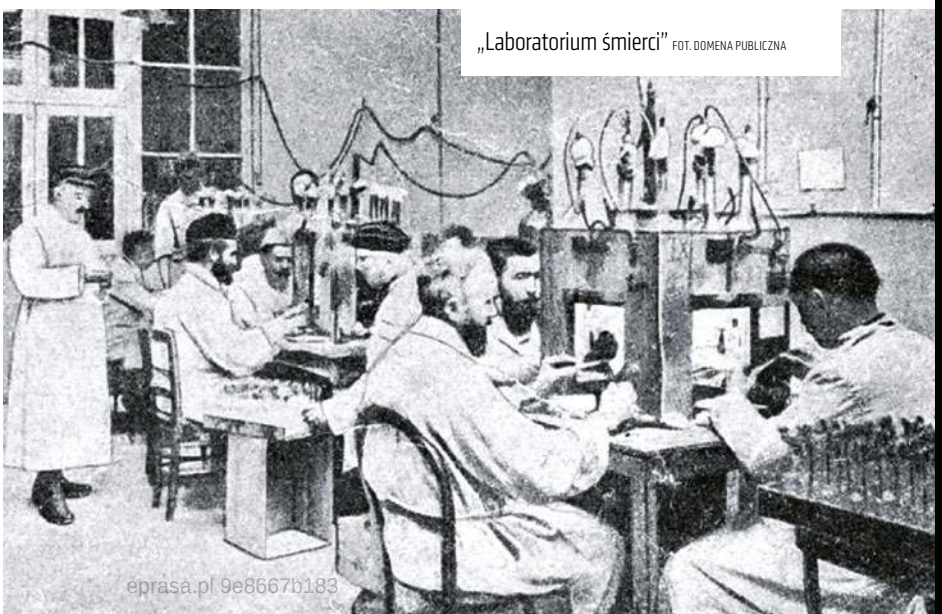

„Laboratorium śmierci" FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 9e8667b183

X–XX w. / Burzliwe dzieje legendarnego rodu

Topniejące imperium Habsburgów

Sławomir Koper

W czasach świetności władali niemal połową Europy. Genetyka i rozkwit nacjonalizmów przyniosły kres potęgi dynastii

Dzieje słynnej dynastii sięgają X w., ale przez kolejne trzy stulecia nikt nie mógł przewidywać, że ród zrobi wielką karierę. Jego pierwszym potwierdzonym przedstawicielem był niejaki Guntram Bogaty, mający posiadłości na dzisiejszym pograniczu niemiecko-szwajcarskim. Tam też znajduje się zamek Habsburg, od którego rodzina wzięła swoje nazwisko.

Przełomowym wydarzeniem w dziejach rodu był wybór Rudolfa Habsburga na króla Niemiec w 1273 r. Jego najważniejszym rywalem do tronu był król Czech Przemysł Ottokar II, ale elektorzy uznali, że Przemyślida jest zbyt potężny i zagrażałoby to ich pozycji politycznej. Przemysł bowiem skorzystał z wygaśnięcia dynastii Babenbergów i opanował Austrię, Styrię i Karyntię. Dla niemieckich możnowładców wygodniejszy był znacznie słabszy władca i właśnie dlatego na króla wybrano Rudolfa. Ciekawostką natomiast pozostaje to, że wiadomość o wynikach elekcji miał przynieść mu burgrabia Norymbergi, Fryderyk von Hohenzollern, przodek dynastii panującej później w Prusach.

W chwili wyboru Rudolf nie posiadał zbyt wielkich posiadłości. Nosił tytuł hrabiego Habsburga i Kyburga oraz władał Górną Alzacją. Doskonale jednak rozumiał, że utrzymanie w rękach rodu niemieckiej korony wymagało zbudowania potęgi terytorialnej Habsburgów.

Stan posiadania władcy Czech zagrażał pozycji nowego króla, a ponadto Rudolf uznał, że kraje austriackie znakomicie nadają się na bazę rozwoju rodu. W tej sytuacji doszło do wojny pomiędzy niedawnymi rywalami do korony Niemiec, która zakończyła się sukcesem Habsburga. Przemyślida poniósł klęskę pod Suchymi Krutami i zginął na polu bitwy, a Rudolf nadał kraje austriackie swoim synom. Nie udało mu się jednak przeprowadzić elekcji na króla Niemiec swojego najstarszego potomka, Albrechta. Wprawdzie ostatecznie zasiadł on na tronie w Akwizgranie, ale dopiero po kilkuletnim panowaniu Adolfa z Nassau, który w lipcu 1298 r. został zdetronizowany i poległ w bitwie pod Göllheim.

Po śmierci Alberta przez kolejne półtora stulecia na niemieckim tronie zasiadali przedstawiciele rodu Luksemburgów lub Wittelsbachów. Dopiero

Pałac Schönbrunn w Wiedniu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THOMAS WOLF, WWW.FOTO-TW.DE

eprasa.pl 9e8667b183

w 1438 r. Habsburgom udało się odzyskać godność królewską (i przy okazji koronę cesarską), którą mieli dzierżyć aż do likwidacji Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

Ród już wówczas prowadził politykę dynastyczną, czego dowodem było przejściowe panowanie w Czechach i na Węgrzech w pierwszych dekadach XV stulecia. Natomiast Austria została podniesiona do rangi arcyksięstwa, a z czasem tytuł arcyksiążęcy zaczął przysługiwać wszystkim członkom rodziny.

Szczęśliwa Austrio, żeń się!

Za właściwego twórcę potęgi dynastycznej Habsburgów uchodzi cesarz Maksymilian I. To właśnie on miał być autorem maksymy, że ród nie powinien wdawać się wojny, gdyż lepiej zawierać korzystne małżeństwa. Cesarzowi sprzyjała koniunktura polityczna w Europie, gdzie wygasały dawne dynastie lub ich sukcesorkami stawały się kobiety. Maksymilian zresztą osobiście dał przykład takiej polityki, gdy w 1477 r. poślubił dziedziczkę Burgundii i Niderlandów – Marię. Wprawdzie doprowadziło to do wojny z Francją, ale cesarzowi udało się utrzymać większość zdobyczy w swoich rękach. W 1495 r. ożenił swojego syna, Filipa Pięknego, z Joanną Szaloną, która niebawem została dziedziczką tronów Kastylii i Aragonii. W efekcie Habsburgowie przejęli władzę nie tylko nad zjednoczoną Hiszpanią, lecz także nad jej powiększającym się imperium kolonialnym.

Dynastia dbała o małżeństwa dynastyczne także w linii żeńskiej. Dziwnym jednak trafem, chociaż ród uchodził za wyjątkowo płodny, austriackie arcyksiężniczki często nie dawały potomstwa swoim mężom. Boleśnie mieli się o tym przekonać Jagiellonowie, gdyż dwie habsburskie żony Zygmunta Augusta nie urodziły następcy tronu, podobnie jak żona króla Czech i Węgier Ludwika Jagiellończyka. Z tego powodu po śmierci Ludwika w bitwie z Turkami pod Mohaczem (1526) opanowali oni trony w Budzie i w Pradze, a sukcesja była możliwa dzięki małżeństwu siostry zabitego króla z synem Filipa Pięknego.

Rudolf I Habsburg FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W efekcie Habsburgowie stali się najważniejszą dynastią na kontynencie, chociaż nie wszystkie ich plany zostały zrealizowane. Nigdy nie udało im się zdobyć tronu polskiego, a dwie elekcje, na których wybrano przedstawicieli tego rodu, zostały unieważnione. Szlachta polska obawiała się bowiem niemieckich władców i zdecydowanie poparła Stefana Batorego, a później Zygmunta III Wazę.

W lutym 1500 r. na świat przyszedł Karol, syn Filipa Pięknego i Joanny Szalonej. Wychowywał się w Niderlandach w kręgu kultury francuskiej, a chociaż był synem Niemca i Hiszpanki, to sam miał problemy z określeniem swojej narodowości.

„Mówię po hiszpańsku do Boga – twierdził – po włosku do kobiet, po francusku do mężczyzn, a po niemiecku do mojego konia".

Pod jego władzą znalazły się: Hiszpania, Niderlandy i księstwo Burgundii, a w 1519 r. został królem Niemiec (koronacja cesarska odbyła się w lutym 1530 r.). Hiszpanię traktował jednak marginalnie, uważając ten kraj za zaplecze finansowe. Były to bowiem czasy niezwykłych zdobyczy kolonialnych w Nowym Świecie, gdy pod ciosami hiszpańskich konkwistadorów padły bogate imperia Inków i Azteków. Z Ameryki do Europy płynęły ogromne ilości złota i srebra, które zresztą doprowadziły do katastrofalnej inflacji na starym kontynencie w wiekach XVI i XVII. Ceny wzrosły wówczas o 400–500 proc.

Zamek Habsburg (Szwajcaria)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROLAND ZUMBUEHL

Francuska rywalka

Karol najbardziej był zainteresowany rywalizacją z Francją o Italię. W 1494 r. rozpoczęły się bowiem tzw. wojny włoskie, których pretekstem były roszczenia króla Francji, Karola VIII, do tronu w Neapolu. Początkowo Francuzi osiągali wielkie sukcesy, a Karol VIII koronował się na władcę Neapolu. Jego armię zdziesiątkowała jednak nowa choroba przywleczona z Ameryki, którą podwładni monarchy roznosili po całej Italii. Stąd też zwykło się nazywać syfilis „francuską chorobą". Było to wówczas schorzenie śmiertelne, o czym niebawem mieli przekonać się dwaj Jagiellonowie: król Jan Olbracht i jego brat, kard. Fryderyk.

Wojny w Italii trwały wiele lat i niewiele zmieniła w tej kwestii zmiana na tronie francuskim. Wprawdzie Karolowi V udało się pokonać pod Pawią w 1525 r. króla Francji Franciszka I i wziąć go do niewoli, ale cesarz miał coraz większe problemy z koalicją państw włoskich sprzeciwiających się hiszpańskiej dominacji. Podczas tych wojen doszło do jednego z najbardziej dramatycznych wydarzeń w dziejach Rzymu.

Karol V wprawdzie dysponował potężną armią, ale mimo eksploatacji bogactw Nowego Świata wciąż brakowało mu pieniędzy. W efekcie nie był w stanie regularnie opłacać wojsk zaciężnych, co doprowadziło do tragedii. Potężna armia cesarskich najemników ruszyła na Stolicę Apostolską, a sytuację pogarszało to, że w jej skład wchodzili głównie nienawidzący katolicyzmu protestanccy chłopi.

W maju 1527 r. Wieczne Miasto zostało zdobyte i doszło tam do

eprasa.pl 9e8667b183

nieprawdopodobnej rzezi, gwałtów i rabunków. Czegoś podobnego nigdy wcześniej nad Tybrem nie widziano, gdyż nawet Wizygoci i Wandalowie, którzy zdobyli i zrabowali Rzym u schyłku antyku, okazali się bardziej cywilizowani. Tym razem mordowano praktycznie każdego, kobiety gwałcono i zabijano, grabiono i podpalano kościoły, klasztory i pałace. Przez osiem dni zginęło ok. 12 tys. osób, a jeden ze świadków wspominał, że „piekło jest niczym w porównaniu z tym, co działo się w Rzymie". Mowa o słynnym Sacco di Roma, które położyło kres epoce odrodzenia w Rzymie. Miasto było tak zniszczone, że nastąpił eksodus ocalałych mieszkańców – jego populacja spadła wówczas z 55 tys. do 10 tys.

Ostatecznie Karolowi V udało się zdominować Italię i zakończyć długoletnie wojny. Jednak jeszcze przed formalnym podpisaniem traktatu pokojowego (w kwietniu 1559 r. w Cateau-Cambrésis) Karol V abdykował i usunął się do klasztoru. Hiszpańskie posiadłości (wraz z koloniami, Niderlandami oraz Neapolem) przejął jego syn Filip II, natomiast korony środkowoeuropejskie, łącznie z niemiecką i cesarską, brat Ferdynand I. Od tej pory dynastia podzieliła się na dwie linie: austriacką i hiszpańską.

Rysy na potędze

Od abdykacji Karola V (były monarcha zmarł w 1558 r.) rozpoczął się powolny zmierzch potęgi Habsburgów. Wprawdzie hiszpańska linia dynastii opanowała jeszcze tron portugalski i pozostała na nim do 1640 r., ale pozycją rodu zachwiały reformacja i wojny religijne w Europie. Władza zwierzchnia cesarza nad protestanckimi księstwami Rzeszy stała się iluzoryczna, a bunt w Niderlandach oderwał od imperium hiszpańskiego Zjednoczone Prowincje. Jeszcze gorsze skutki przyniosła klęska Wielkiej Armady (1588), która miała podbić i rekatolizować Anglię. Okazało się, że potężne hiszpańskie galeony nie potrafiły pokonać lżejszych okrętów angielskich dowodzonych przez znakomitych żeglarzy. Nic w tej kwestii nie pomogła przygniatająca przewaga Hiszpanów, którzy wystawili aż 130 okrętów przeciwko zaledwie 34 jednostkom angielskim.

Karol V FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM PRADO

Maria Teresa
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ACADEMY OF FINE ARTS VIENNA, BUSCHCAN

Obie linie dynastii często zawierały małżeństwa pomiędzy sobą lub wybierano kandydatki na żony z blisko spokrewnionych rodów panujących

Ostateczny cios dominacji Habsburgów w Europie zadała wojna trzydziestoletnia. Wprawdzie utrzymali trony: cesarski, hiszpański, czeski i węgierski oraz władzę nad Austrią, jednak musieli pogodzić się ze zdobyczami Szwecji i Francji. Uznali też ostatecznie niezależność Związku Szwajcarskiego i Zjednoczonych Prowincji (Niderlandów). Za sukces można natomiast uznać stopniowe odzyskiwanie z rąk Turków ziem węgierskich i chorwackich, na czym skoncentrowała się austriacka linia rodu.

Tymczasem zbliżał się kryzys dynastyczny w Hiszpanii. Tamtejsza gałąź rodziny degenerowała się w zastraszającym tempie. Obie linie dynastii często zawierały małżeństwa pomiędzy sobą lub wybierano kandydatki na żony z blisko spokrewnionych rodów panujących. Inna sprawa, że wybór był niewielki – kobieta wchodząca do rodziny Habsburgów musiała być katoliczką, a do tego pochodzić z dynastii nieustępującej specjalnie znaczeniem rodowi męża.

Najlepszym dowodem na degenerację hiszpańskich Habsburgów był ostatni przedstawiciel rodu na tronie w Madrycie, Karol II. Był on aż w 14 liniach potomkiem Joanny Szalonej i nic dziwnego, że był osobnikiem upośledzonym umysłowo i fizycznie. Z powodu przerostu dolnej szczeki nie mógł nawet zamknąć ust, co spowodowało, że miał problemy z mową i odżywianiem. Zawsze otwarte usta powodowały, że cały czas się ślinił i sapał. Cierpiał na depresję, sypiał w trumnie, a jako impotent nie miał potomstwa. Gdy zmarł w listopadzie 1700 r., rozpoczęła się wojna o sukcesję hiszpańską, w wyniku której tron w Madrycie wraz z koloniami zamorskimi przejęli francuscy Burbonowie. Linii austriackiej przypadły tylko południowe Niderlandy (teren dzisiejszej Belgii) oraz posiadłości włoskie z Neapolem, Sardynią i Mediolanem.

Niebawem, po wygaśnięciu linii hiszpańskiej podobny los zagroził Habsburgom austriackim. Cesarz Karol VI nie miał synów, tylko córkę Marię Teresę. Wprawdzie tzw. sankcja pragmatyczna miała zapewnić jej dziedziczenie, ale po śmierci cesarza doszło do wojny o sukcesję austriacką. W jej wyniku Habsburgowie stracili Śląsk na rzecz Prus oraz Księstwo Parmy i Piacenzy, które opanowała Hiszpania.

Maria Teresa poślubiła księcia Lotaryngii Karola I i od tej pory dynastię zaczęto określać mianem domu habsbursko-lotaryńskiego.

Cesarstwo austriackie

Austria wzięła udział w rozbiorach Rzeczypospolitej, czego skutkiem było zagarnięcie Galicji wraz ze Lwowem i z Krakowem. Jednak niebawem Habsburgów dotknęła kolejna katastrofa, którą były rewolucja we Francji i wojny napoleońskie.

eprasa.pl 9e8667b183

Dynaści z Wiednia wraz z innymi monarchami europejskimi pragnęli „przywrócić porządek" nad Sekwaną, a sprawę dodatkowo zaogniło ścięcie Marii Antoniny, królowej Francji, córki Marii Teresy. Wojny nie przebiegały jednak po myśli interwentów. Sytuacja przybrała zupełnie fatalny charakter, gdy na scenie pojawił się młody generał: Napoleon Bonaparte. Korsykanin regularnie, przez blisko 20 lat (nieważne, czy jako generał, konsul czy cesarz), zadawał Austriakom ciężkie klęski i za każdym razem monarchia naddunajska traciła część swojego terytorium. Pod władzą Francuzów znalazły się Italia, Dalmacja i Belgia, a w sierpniu 1806 r. cesarz Franciszek II został zmuszony do zrzeczenia się korony cesarskiej i niemieckiej. Cesarstwo Rzymskie przestało istnieć, ale wygląda na to, że Habsburg przewidywał taki rozwój wypadków, gdyż dwa lata wcześniej został ogłoszony dziedzicznym cesarzem Austrii.

Był to zresztą dość rozsądny monarcha. W odróżnieniu od wielu innych władców nigdy nie chciał dowodzić na polu bitwy, uważając, że nie było to zajęcie dla koronowanych dyletantów. Sprawy polityczne oddał natomiast w ręce zdolnego dyplomaty Klemensa von Metternicha, zwolennika legitymizmu i odbudowy przedrewolucyjnego porządku.

Klęska Napoleona i kongres wiedeński przywróciły władzę Habsburgów nad większością utraconych terytoriów (poza Belgią). Niebawem jednak istnieniu monarchii zagroziły wydarzenia Wiosny Ludów i rebelia Węgrów. Młody cesarz Franciszek Józef musiał poprosić Rosję o pomoc i wojska Mikołaja I zdławiły powstanie. Kilka lat później car miał tego gorzko żałować, gdy Austriacy odmówili mu wsparcia w czasie wojny krymskiej. Stwierdził wówczas, że należy do dwóch najgłupszych królów Polski, gdyż podobnie jak Jan III Sobieski on także ratował Habsburgów. W efekcie car zdjął ze swojego biurka popiersie austriackiego cesarza i demonstracyjnie podarował je swojemu lokajowi.

Dziesięć lat po Wiośnie Ludów Habsburgowie stracili swoje włoskie posiadłości. Było to skutkiem przegranej w wojnie z Napoleonem III i zjednoczenia Italii pod rządami dynastii sabaudzkiej z Piemontu. Zła passa Habsburgów trwała dalej, gdyż w 1866 r. doszło do wojny z Prusami o hegemonię w Niemczech. Klęska oznaczała utratę wpływów i niebawem doprowadziła do zjednoczenia Niemiec pod berłem Hohenzollernów. Przy okazji wspomagający Prusaków Włosi odzyskali Wenecję, będącą dotychczas pod władzą Austrii.

Nie udała się również wyprawa Maksymiliana, brata Franciszka Józefa, po koronę Meksyku. Wprawdzie Habsburg został tam ogłoszony cesarzem, ale ostatecznie poniósł klęskę i w czerwcu 1867 r. stracił życie w egzekucji.

Czas na reformy

W tym samym roku państwo Habsburgów zmieniło swój charakter. Ponoszone klęski sprawiły, że politycy z Wiednia zrozumieli, iż konieczne są reformy. W tej sytuacji zawarto ugodę z Węgrami, powołując dualistyczną monarchię nazywaną Austro-Węgrami. Franciszek Józef został oficjalnie koronowany na króla Węgier, zachowując jednocześnie tytuł cesarza Austrii. Stąd też wzięło się popularne określenie państwa Habsburgów jako monarchii cesarsko-królewskiej.

Większość narodów znajdujących się pod berłem dynastii uzyskała szeroką autonomię narodową i kulturalną, chociaż coraz częściej pojawiały się głosy o konieczności przekształcenia monarchii w państwo federacyjne. Do tego jednak nigdy doszło, ale warto pamiętać, że w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej raczej nikt nie zakładał rozpadu Austro-Węgier na państwa narodowe. Polacy pragnęli zjednoczenia ziem polskich pod berłem Habsburgów i przekształcenia naddunajskiej monarchii w państwo trialistyczne, a podobne ambicje przejawiali również Czesi. Natomiast Chorwaci planowali zerwanie unii personalnej z Węgrami i bezpośrednią zależność od Wiednia. Dominowały nastroje lojalistyczne, mało kto wyobrażał sobie upadek monarchii Habsburgów.

Karol I z żoną Zytą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CARL PIETZNER

Wielka wojna zmieniła jednak wszystko i klęski na frontach spowodowały, że w drugiej połowie 1918 r. „Austria rozlazła się jak stare gacie". Kolejne narodowości ogłaszały niepodległość, a kraje ościenne zajmowały przygraniczne terytoria. Karol II, następca Franciszka Józefa, próbował ratować monarchię poprzez przekształcenie jej w państwo federacyjne, jednak było już za późno. Habsburgowie zostali zdetronizowani, a Austria i Węgry na mocy traktatów pokojowych straciły większość swoich terytoriów.

Austria stała się republiką. Węgry pozostały wprawdzie królestwem, ale pod rządami regenta, adm. Miklósa Horthyego. Dwie próby odzyskania tronu w Budapeszcie podjęte w 1921 r. przez Karola zakończyły się niepowodzeniem. W tej sytuacji ostatni cesarz Austrii i król Węgier został przewieziony na portugalską Maderę, gdzie rok później zmarł na zapalenie płuc. Tam też został pochowany, a jego żona, cesarzowa Zyta, przeżyła go o blisko 70 lat (zmarła w 1989 r. w wieku 96 lat – przed śmiercią odwiedziła jeszcze Austrię).

W 2004 r. Karol został beatyfikowany, a pięć lat później rozpoczęto proces beatyfikacyjny jego żony. Potomkowie Habsburgów żyją do dnia dzisiejszego i dalej posługują się tytułem arcyksiążęcym. Syn Karola I Otto von Habsburg był nawet posłem do parlamentu europejskiego i przewodniczącym Międzynarodowej Unii Paneuropejskiej. Nawiasem mówiąc, boczna linia rodu, będąca właścicielami tzw. państwa żywieckiego, odegrała chwalebną rolę w dziejach Polski. Ale to już materiał na inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Krzysztof Masłoń

1867–1924 / Józef Teodor Konrad Korzeniowski

Polski akcent Conrada

Sto lat temu zmarł Joseph Conrad – klasyk literatury światowej, który do końca pozostał jedną wielką enigmą. Odrodzenie Polski było dla niego jednocześnie powodem do dumy i zadrą

Z Polski wyjechał na stałe w roku 1874, przerywając naukę w krakowskim gimnazjum. Przyszłość swoją postanowił związać z morzem. Zaczynając jako prosty marynarz, doszedł do stopnia kapitana, pływając na jednostkach najpierw francuskiej, a następnie brytyjskiej marynarki. Odbywał najbardziej egzotyczne rejsy do Azji, Afryki, Ameryki i Australii. Po latach Michał Choromański nazwie go w tytule jednej ze swoich powieści „Słowackim wysp tropikalnych". On sam w wywiadzie, którego udzielił w 1914 r. dla „Tygodnika Ilustrowanego", powiedział m.in.: „Angielscy krytycy – wszak istotnie jestem pisarzem angielskim – mówiąc o mnie, zawsze dodają, że jest we mnie coś niezrozumiałego, niepojętego, nieuchwytnego. Wy jedni to nieuchwytne uchwycić możecie, niepojęte pojąć. To jest polskość. Polskość, którą wziąłem do dzieł swoich przez Mickiewicza i Słowackiego". Ale zaakcentował też: „Dwie rzeczy osobiste napełniają mnie dumą, że ja, Polak, jestem kapitanem angielskiej marynarki i że nieźle potrafię pisać po angielsku".

Do profesjonalnego pisarstwa zabrał się stosunkowo późno, po tym, jak w 1894 r. zwolnił się z pacy na morzu. Odtąd żył z pióra. Obywatelstwo brytyjskie otrzymał w 1886 r., dopiero trzy lata później tracąc status obywatela Imperium Rosyjskiego, co wcześniej bardzo mu doskwierało.

Nie tylko w świecie, lecz także w Polsce zasłynął najpierw jako marynista.

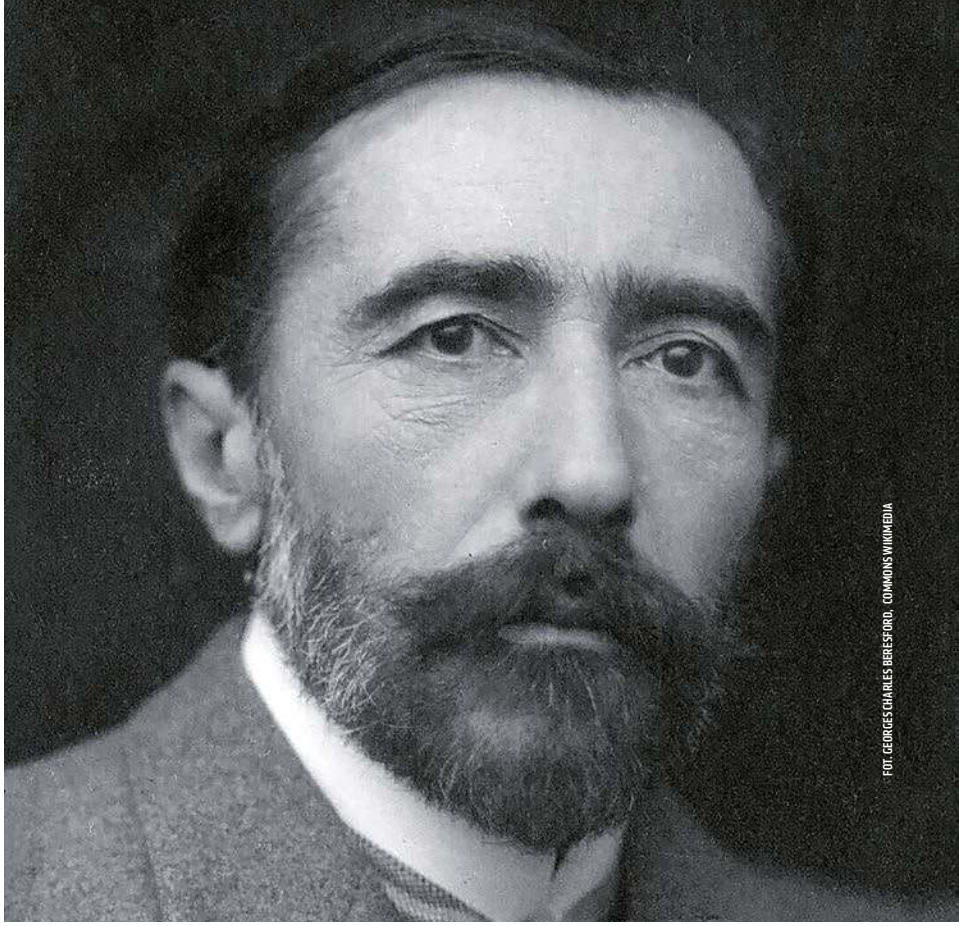

FOT. GEORGES CHARLES BERESFORD, COMMONS.WIKIMEDIA

eprasa.pl 9e8667b183

Nie od razu zwrócono uwagę na to, co w jego powieściach i opowiadaniach najważniejsze. A były to pytania o odpowiedzialność w obliczu zagrożeń, o honor, o charakter, o konieczność dokonywania wyborów. Był Conrad moralistą, który nieustannie konfrontował zasady etyczne wzięte wręcz z rycerskiego kodeksu z rzeczywistymi zachowaniami ludzkimi, w takim, a nie innym miejscu i czasie.

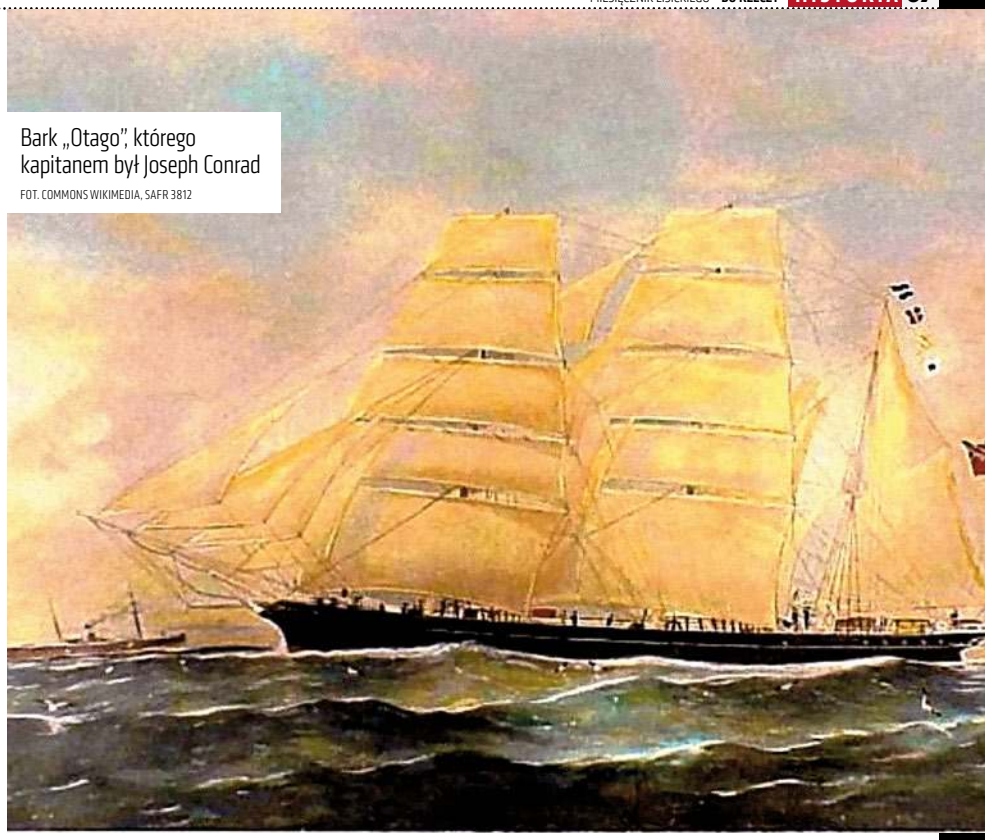

Bark „Otago", którego kapitanem był Joseph Conrad

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAFR 3812

Szlachectwo zobowiązuje

Przypisany do literatury anglosaskiej uznaniem cieszy się i w innych krajach, no może z wyjątkami… Wybitny conradysta, Zdzisław Najder (tak, tak, ten sam, zmarły w 2021 r. skazany na śmierć przez PRL-owski sąd, były dyrektor Radia Wolna Europa), w rozmowie, którą w 1997 r. przeprowadziłem z nim dla „Plusa Minusa", zwrócił uwagę, że na sesje Polskiego Towarzystwa Conradowskiego, któremu przewodniczył, nie przyjeżdżali Niemcy.

– Może dlatego – mówił – że są na Conrada obrażeni, bo on o Prusakach pisał gniewne rzeczy. Poprosiłem jednak dyrektora Instytutu Goethego, żeby pomógł znaleźć jakiegoś conradystę niemieckiego, ponieważ zobowiązuje do tego przynajmniej uwielbienie, którym darzył Conrada Tomasz Mann. Jest to jedyny przypadek tego rodzaju, gdyż, owszem, André Gide bardzo cenił Conrada, Paul Valery także, ale tu mamy dwóch wielkich światowych pisarzy, którzy, że tak powiem, startowali w tej samej konkurencji. Conrad wprawdzie bardzo źle pisał o Prusakach, ale przecież wcale nie gorzej niż Konrad Adenauer.

Jak mistrza traktowali go Galsworthy, Wells, Henry James. Z Rosjanami był zgryz, bo wprawdzie Conrad bardzo wysoko cenił Turgieniewa, ale już o Dostojewskim zdanie miał jak najgorsze. „Autor »Lorda Jima« – pisał Rafał Bluth, porównując obu prozaików – zazwyczaj tak powściągliwy i nieskłonny do zwierzeń na temat swych mistrzów i antagonistów literackich, zdawał się tracić właściwe mu opanowanie, gdy tylko zaczynano mówić o Dostojewskim. Przy powierzchownym spojrzeniu idiosynkrazję tę można wytłumaczyć jedynie narodowym antagonizmem lub pewnego rodzaju rywalizacją". Ale chodziło o coś więcej. Conrad mówił o sobie, że jest Polakiem zanglicyzowanym. Ze swojego pochodzenia był dumny. Kiedy trzy miesiące przed śmiercią pierwszy w dziejach Anglii rząd socjalistyczny zaoferował mu tytuł szlachecki, pisarz odmówił premierowi Ramseyowi MacDonaldowi. Dlaczego? „Przypuszczam, że wystarczającym powodem była świadomość, że pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny i przyjęcie tytułu byłoby jak gdyby wyparciem się tego dziedzictwa" – czytamy w „Życiu Josepha Conrada-Korzeniowskiego" Zdzisława Najdera.

Antypatia etniczna Conrada obejmująca w gruncie rzeczy wszystkich Rosjan była, ze względów rodzinnych i zesłańczych wspomnień z dzieciństwa, całkowicie zrozumiała, ale pisarstwa autora „Zbrodni i kary" nie był w stanie zaakceptować z powodów ideowych. Według Rafała Blutha „Conrad sądzi, że mentalność rosyjska, uwidoczniona z taką siłą w twórczości Dostojewskiego, nie może, a przede wszystkim nie powinna być wszczepiona w kulturę zachodnią. Jako źródło irracjonalnych instynktów jest ona podstawą rozprzężenia i nieładu: Zachód nie mógłby jej bezkarnie przyswoić. Może właśnie jako ostrzeżenie zostały napisane między rokiem 1907 a 1911, w okresie, który nastąpił bezpośrednio po rewolucji rosyjskiej i jej upadku – dwie powieści Conrada: »Tajny agent« i »W oczach Zachodu«. Druga powieść jest świadomą i zamierzoną parafrazą polemiczną »Biesów« Dostojewskiego […]. Odmienna mentalność tych dwu pisarzy – jeden z własnego wyboru na wskroś zachodni i racjonalista, drugi – krańcowo wschodni i intuicjonista – wystarcza, aby wyjaśnić repulsję Conrada".

Tak czy inaczej, kiedy w styczniu 1915 r. Ignacy Paderewski wezwał Conrada do przyłączenia się do Komitetu Pomocy dla Ofiar Wojny w Polsce, ten odmówił, pisząc: „Z pełnym szacunkiem dla Pana wybitnej osobowości nie mogę wstąpić do Komitetu, w którym, jak się dowiaduję, będą występować nazwiska Rosjan".

Wierność bez nadziei

Początki polskiego zainteresowania Conradem sięgają lat 90. XIX stulecia.

eprasa.pl 9e8667b183

Już wówczas próbowano go tłumaczyć, ale przede wszystkim informowano, kto zacz, no i zastanawiano się, czy dobry z niego Polak czy wręcz przeciwnie. Głośnym echem odbił się zwłaszcza spór o „emigrację zdolności", który wiedli na łamach petersburskiego „Kraju" Wincenty Lutosławski, Tadeusz Żuk-Skarszewski i, co najistotniejsze, Eliza Orzeszkowa. Opierając się na, najdelikatniej rzecz ujmując, mijających się z prawdą informacjach Lutosławskiego, wysunęła ona wobec Conrada zarzut dezercji narodowej, by nie powiedzieć wprost – zaprzaństwa. Trudno było przejść nad tym do porządku dziennego i, podobno, jeszcze po latach na widok książki autorki „Nad Niemnem" wołał: „Nic mi tej baby nie przynoście!". Na pewno krzywdząca była opinia, jakoby Conrad dla pieniędzy zaniedbał narodowe obowiązki, ale osąd ten można spróbować zrozumieć.

– Ona miała do tego moralne prawo – twierdził Zdzisław Najder. – To była pisarka na europejską skalę, czytana zresztą za granicą, przekładana, głównie na rosyjski. Mało było wtedy w Europie kobiet o takich umiejętnościach pisarskich i takich horyzontach myślowych. Nie była to może autorka klasy Jane Austen czy George Eliot, ale dobra pisarka, odważnie podejmująca niektóre tematy, np. żydowski, po raz pierwszy w literaturze europejskiej. Ostatecznie ona też nie musiała siedzieć w swoim Grodnie, tylko gdzieś sobie ułożyć wygodnie życie.

Eliza Orzeszkowa postawiła pytanie zasadnicze: Czy pisarz powinien przechodzić do innej kultury i do innego języka? Dla Conrada stanowiło to pewien zgryz. „Musiał sam przed sobą tłumaczyć się z grzechu braku wiary, braku nadziei – kontynuował Najder. – Dla niego wskrzeszenie Polski było problemem, gdyż przy całej radości z tego faktu odczuwał wstyd. W 1914 r. napisał memoriał w sprawie polskiej, w którym znakomite są fragmenty o tym, jak to Rosja nigdy się na niepodległość Polski nie zgodzi. Nadal żyjemy w podobnym świecie… Dla Conrada lata 1914–1920 były powodem do dumy z Polski, ale i zadrą – no bo gdzie on wtedy był? Dochował, co prawda, wierności, ale wierność bez nadziei mało jest jeszcze warta".

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę aura wokół Conrada się poprawiła w jakiejś mierze dzięki Stefanowi Żeromskiemu, który w przedmowie do podjętej wtedy zbiorowej edycji dzieł autora „Zwycięstwa" pisał: „Należy dołożyć wszelkich starań, ażeby to zbiorowe wydanie było godnym nas, literatów polskich, pozdrowieniem wielkiego twórcy z tej ziemi, gdzie stała jego kołyska".

Niesłychanie ważnym pisarzem stał się Joseph Conrad dla pokolenia, które w latach drugiej wojny światowej podjęło walkę z podwójnym okupantem naszej ziemi. Ten pisarz wierności i odpowiedzialności, wytrwałości w sytuacjach zgoła beznadziejnych stał się ideowym kompasem dla takich ludzi, jak Jan Józef Szczepański, kontynuator tematyki conradowskiej w literaturze polskiej.

Uczuciowe urazy

Dramatyczny życiorys Josepha Conrada zawiera niemało luk, a brakuje dokumentów, które by poświadczyły domniemania biografów pisarza.

– Niejasne jest – wyliczał Zdzisław Najder – kiedy urodził się ojciec Conrada, nie znamy daty urodzin jego żony, ale metryk z tych lat nie ma w tych okolicach, w których być powinny. Jest też dziwna historia z metryką samego Conrada. Urodził się w szpitaliku w Berdyczowie, ochrzczony został dwa dni później przez karmelitę z miejscowego klasztoru, natomiast oficjalne świadectwo urodzenia wystawiono mu pięć lat później w Żytomierzu. Odbył się wtedy uroczysty chrzest chłopca, tylko że bez udziału samego zainteresowanego, który wówczas był w Warszawie albo już z rodzicami na zesłaniu. Nie ma dokładnej daty, znamy tylko rok: 1862. Wydanie dokumentu musiało być załatwione „na lewo", bo ojciec Conrada siedział w Cytadeli, z której pojechał prosto na zsyłkę".

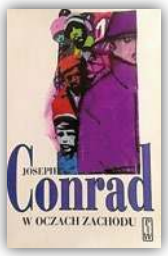

Ojciec pisarza, też człowiek pióra Apollon Korzeniowski, był jednym z ludzi przygotowujących powstanie roku 1863. Aresztowany został przez Rosjan już we wstępnej fazie prac organizacyjnych i wraz z żoną Ewą z Bobrowskich, też skazaną za konspirację, zesłany w głąb Rosji, do Permu, zamienionego następnie na Wołogdę, gdzie dziś znajduje się pomnik Conrada, który jako dziecko przebywał tam w latach 1862–1863. Korzeniowscy przenieśli się potem do Czernihowa na Ukrainie, gdzie w 1865 r. zmarła na gruźlicę matka przyszłego pisarza. Ta sama choroba zmogła jego ojca cztery lata później. Chłopiec już wtedy znajdował się pod opieką swego wuja, Tadeusza Bobrowskiego, postaci dla niego wyjątkowej.

„Tadeusz Bobrowski – pisał Rafał Bluth – nienawidził powstania styczniowego. Zwolennik Wielopolskiego, z dużą odwagą cywilną, gdy jeszcze można było, przeciwstawiał się zarówno czerwonym, jak i białym (pierwszych traktował jako szaleńców, drugich jako oportunistycznych głupców). Wypadki potoczyły się z tragiczną szybkością, uderzając w opozycjonistę widza szeregiem ciosów bolesnych. Naprzód ukochana przez niego siostra Ewa, oddana całkowicie mężowi, idzie na zatracenie. Później idzie do powstania brat Stefan, nawet bez »narady« z nim – starszym bratem i opiekunem. Nie udaje się uratować osobistego szczęścia. Umiera przedwcześnie ukochana żona, niedługo też za nią podąża i dziecko jedyne. Może najsilniej wstrząsnął nim tragiczny zgon brata, genialnego młodzieńca, którego Marszałek Piłsudski w swym studium poczytuje za największego po Wielopolskim człowieka tej epoki. Stefan Bobrowski, pierwszy dyktator powstania i wódz czerwonych,

eprasa.pl 9e8667b183

zginął, jak wiemy, w pojedynku z ręki szui Grabowskiego, protegowanego przez krakowskich oportunistów białych. Nie przebaczy im tego Tadeusz, rozszerzający zresztą swą niechęć na cały Kraków czy Galicję.

Nie zmieniła rewolucja Bobrowskiego, zaostrzając jedynie sceptycyzm racjonalistyczny, a równocześnie może pogłębiając nieco sferę jego uczuciowych urazów".

Conrad był młodzieńcem ideowym, ale samymi ideami żyć przecież się nie da. I doceniał to, że wuj ma do niego wyraźną słabość, pomagając mu w wydobywaniu się z najtrudniejszych tarapatów, jak np. wtedy, gdy dokonał, na szczęście nieudanej, próby samobójczej. Pamiętał też, że wprawdzie ukochana jedyna córka Tadeusza Bobrowskiego zmarła w wieku 13 lat, ale wuj miał i bratanków, i siostrzeńców, nie jego jednego.

– Był wśród nich – opowiadał mi Zdzisław Najder – Stanisław, którego uwięziono za nauczanie robotników w Warszawie, co złamało mu karierę, po której wuj wiele sobie obiecywał. Musiał go ten bratanek irytować, bo w rozrabiactwie Conrada była jednak jakaś egzotyka, aura tajemniczości, atmosfera wielkiej przygody. To jest psychologicznie zrozumiałe, gdyż ci wszyscy krewniacy żyjący bliżej potrzebowali pieniędzy na mieszkanie, węgiel, mięso, u jednych dzieci dorastały, ktoś się chciał żenić. Rzecz nie w tym nawet, że go naciągali na pieniądze, ale że tych pieniędzy wciąż potrzebowali, i Bobrowski był tego świadomy. Conrad też wiecznie potrzebował pieniędzy, ale on pływał po morzach, miał niesamowite przygody i tak dalej.

Wpływ ich na siebie był zresztą obustronny. Conrad też, zderzając się z zupełnie innym psychicznie wujem, uczył się tolerancji, a że był człowiekiem lojalnym, zdawał sobie sprawę z tego, ile mu zawdzięcza. Gdyby nie było pieniędzy wuja, nie wiadomo, czy w ogóle mógłby się poświęcić literaturze, a tak miał od czego zaczynać. Nieprzypadkowa była więc dedykacja na debiutanckim »Szaleństwie Almayera«: »Pamięci T.B.«. T.B. zapewniał środki, by Conrad mógł sobie gryzmolić, kupować książki, czytać je. A czytał dużo, jego znajomość literatury francuskiej była imponująca, chyba większa niż literatury angielskiej".

Niektórzy twierdzili nawet, że jego francuski z „marsylskim" akcentem był lepszy niż wyuczony z książek angielski, także opatrzony akcentem, z tym że polskim. Po francusku jednak nie próbował nawet pisać, dokonał innego wyboru.

Całe rzesze odbiorców kultury, bynajmniej nie conradystów, dotknęły twórczości tego znakomitego pisarza poprzez film

W aurze tajemniczości

Czy znajomość polskiej historii i kultury pomaga w odczytywaniu Conrada? Z całą pewnością, choć nie jest bezwzględnie konieczna. „Cały rycersko-szlachecki etos dla Anglików jest dość egzotyczny – wyjaśniał mi Zdzisław Najder. – Francuzi go lepiej rozumieją, ale znajomość polskiego zaplecza jest dla conradysty niezbędna. Chodzi tu o język – nie w sensie języka narodowego, tylko języka pojęć filozoficznych, pojęć moralnych, pojęć politycznych. Conradowski solidaryzm społeczny w Anglii mógł wyglądać na afektację, gdyby nie był normalny w literaturze polskiej, w której jako postulat obecny był bardzo wyraźnie".

Całe rzesze odbiorców kultury, bynajmniej nie conradystów, dotknęło twórczości tego znakomitego pisarza poprzez film. Nie byłoby przecież słynnego „Czasu apokalipsy" Francisa Forda Coppoli z 1979 r. z niezapomnianą kreacją Marlona Brando jako płk. Kurtza, gdyby nie „Jądro ciemności" Conrada, na którego motywach powstało to wielkie dzieło sztuki filmowej z akcją przeniesioną w czasy wojny wietnamskiej. A „Jądro ciemności" miało też inną, również ważną ekranizację, z 1993 r., gdy do reżyserii przeniesionego na ekran utworu wziął się Nicolas Roeg, w rolach głównych obsadzając Tima Rotha i Johna Malkovicha. Zachwycano się także „Pojedynkiem" Ridleya Scotta z 1977 r., gdzie zagrali Keith Carradine, Harvey Keitel i Albert Finney. Film zresztą bardzo szybko odkrył dla siebie Conrada, bo jeszcze w epoce kina niemego, gdy w 1919 r. Maurice Tourneur nakręcił „Victory".

O samym Conradzie wciąż wiemy o wiele za mało. Był dyskretny, nie prowadził dziennika, nie pisał pamiętników, jego listy do Tadeusza Bobrowskiego spłonęły w Powstaniu Warszawskim. W Anglii wiódł życie osobne, a w nielicznych wypowiedziach o charakterze publicznym zacierał ślady, kluczył, kształtował swoją postać tak, jak mu było wygodnie, nie zawsze zgodnie z faktami. Ale pozostawił po sobie wiele wspaniałych utworów, bo poza już w tym tekście wymienionymi jeszcze m.in. „Wyrzutka", „Murzyna z załogi »Narcyza«", „Tajfun", „Nostromo", „Korsarza".

Jego rzymskokatolicki pogrzeb odbył się 7 sierpnia 1924 r. w Canterbury. Uroczystość była skromna, wzięło w niej udział ok. 60 osób. Tego dnia w tym samym miejscu zgromadził tłumy festiwal krykietowy. Ci ludzie nie mieli pojęcia o odejściu kogoś tak znaczącego jak autor „Jądra ciemności". Jego przyjaciel, Cunninghame Graham, z goryczą przywoływał czyjeś słowa, że „gdyby umarł Anatol France, cały Paryż przyszedłby na jego pogrzeb". Ale Josepha Conrada, pochowanego pod błędnie wyrytym na nagrobku nazwiskiem Josefa Teadora Konrada Korzeniowskiego, pięknie, w imieniu literatury angielskiej, pożegnała Virginia Wolf:

„Nagle, nie dając czasu na uporządkowanie naszych myśli i przygotowanie zdań – nasz gość nas opuścił; i to odejście bez pożegnania i ceremonii harmonizuje z jego przybyciem wiele lat temu, kiedy osiedlił się w tym kraju. Zawsze bowiem otaczała go jakaś aura tajemniczości. Składały się na nią częściowo jego polskie pochodzenie i niezapomniany wygląd, częściowo jego decyzja zamieszkania na głębokiej wsi, z dala od plotek i salonów, a jedynym źródłem wiadomości o nim byli zwyczajni ludzie, którzy wpadli na chwilę z wizytą i potem opowiadali o nieznanym gospodarzu, że ma doskonałe maniery, najbystrzejsze w świecie oczy i mówi po angielsku z silnym obcym akcentem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" (w środku) i oficerowie 5. Wileńskiej Brygady AK FOT. IPN

Lata 40. XX w. / Podziemie antykomunistyczne

Samoobrona, nie powstanie

Niedawno ukazała się nowa monografia polskiego podziemia antykomunistycznego autorstwa Rafała Wnuka i Sławomira Poleszaka. Autorzy podkreślają, że jego struktury zbrojne powstawały jako siły samoobrony złożone z ukrywających się przed represjami UB i NKWD, partyzantów z NSZ, AK i BCh. Nie było ze względu na terror sił sowieckich i komunistycznych polskich możliwości uniknięcia zbrojnej konfrontacji z tzw. władzą ludową, choć – jak słusznie podkreślają autorzy – nie cieszyła się ona szczególną aprobatą ze strony przywódców różnych nurtów antykomunistycznego podziemia. Wręcz przeciwnie, organizacje ogólnokrajowe – od NSZ poczynając, poprzez NZW, a na WiN kończąc – dążyły do wyprowadzenia ludzi z „lasu" i zakończenia walki zbrojnej, niemającej szans powodzenia. Jednak wyjście „z lasu" w realiach lat 1945–1947 z uwagi na komunistyczne represje nie zawsze było możliwe. Dopiero amnestia z 1947 r. stworzyła taką szansę. Większość tych, którzy z niej skorzystali, uratowała życie, choć przeszła przez komunistyczne więzienia. Inni na skutek działań bezpieki zmuszeni zostali do powrotu na straceńczą ścieżkę walki partyzanckiej. Tak oni, jak ich nieujawnieni koledzy ginęli w leśnych ostępach lub od kul komunistycznych plutonów egzekucyjnych.

Walorem książki jest to, że jej autorzy oparli się częstej, niestety, pokusie napisania hagiografii struktur tzw. drugiej konspiracji. Efektem jest m.in. otwarte przedstawienie problemu zbrodni dokonanych przez powojenne podziemie. Te godne potępienia zdarzenia były – w warunkach brutalnego konfliktu, który miał miejsce w latach 1944–1956 – niestety nieuchronne. W ostatnim rozdziale publikacji autorzy zaprezentowali swoje stanowisko wobec wielu zagadnień, które wiążą się z działalności podziemia. Należy do nich także spór o to, czy w latach powojennych mieliśmy do czynienia z powstaniem antykomunistycznym czy też raczej z samoobroną. Wydaje się, że ten drugi termin jest bardziej adekwatnym opisem rzeczywistości. Natomiast zdecydowanie pomylili się autorzy w ocenie okupacyjnych władz od 1945 r. sprawujących kontrolę nad terytorium RP, ponieważ rządy sowieckiej agentury trudno uważać za polską władzę.

Są w książce pewne wątpliwe sformułowania. Pierwszą jest nieuprawnione sugerowanie rzekomego przekroczenia rozkazów rtm./mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" przez podkomendnych podczas akcji odwetowej na pograniczu polsko-litewskim. W 5. brygadzie działania podejmowane bez akceptacji dowódcy były karane śmiercią. Z pewnością dwutygodniowy okres do nadejścia Armii Czerwonej był wystarczający, aby to uczynić. Nie zrobiono tego, gdyż podwładni wykonywali rozkazy rotmistrza. Dodać jednak należy, że te zbrodnie nie mają związku z działalnością podziemia antykomunistycznego, lecz dotyczą okresu funkcjonowania 5. Wileńskiej Brygady w strukturach AK. Trzeba też zwrócić uwagę na fakt rozstrzelania na rozkaz „Łupaszki" czterech jeńców niemieckich po walce pod Worzianami 31 stycznia 1944 r., o czym autorzy nie napisali.

Do tej samej kategorii wątpliwych informacji należy zaliczyć opis wydarzeń podczas akcji w Parczewie 5 lutego 1946 r. Oddział „Jastrzębia" zabił tam trzech Żydów, członków współpracującej z MO i UB Ochrony Miasta (jeden z nich, Abraham Zysman, należał do PPR). Brak tych danych może wprowadzić w błąd czytelnika przekonanego, że ofiarami byli żydowscy cywile. Drobnych potknięć jest w książce więcej, nie ulega jednak wątpliwości, że jest to jedna z najlepszych i najważniejszych prac, które ukazały się na temat polskiego podziemia antykomunistycznego. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

SŁAWOMIR POLESZAK, RAFAŁ WNUK
„NIEZŁOMNI CZY REALIŚCI? POLSKIE PODZIEMIE ANTYKOMUNISTYCZNE BEZ PATOSU"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 9e8667b183

Zaczerpnąć wolności w Zakopanem

Mekka artystów, wytchnienie od wszechobecnej cenzury, powiew swobody. Zakopane w dobie zaborów nie bez przyczyny uważane było przez Polaków za duchową i artystyczną stolicę. Miejsce to znajdowało się na terenie wielonarodowych Austro-Węgier, które – w przeciwieństwie Prus i Rosji – prowadziły łagodną politykę wobec Polaków. W Zakopanem spotykali się najsłynniejsi literaci i naukowcy ze wszystkich zaborów. Zwłaszcza od czasu, kiedy lecznicze pobyty w Zakopanem oraz górskie wędrówki po Tatrach zaczął promować lekarz i botanik, dr Tytus Chałubiński, w miejscu tym po prostu wypadało bywać. Towarzyska śmietanka Warszawy, Wilna, Krakowa czy Lwowa coraz częściej na letnisko wybierała właśnie stolicę Tatr. Nie inaczej było w dwudziestoleciu międzywojennym.

W szczególny sposób miasto od zawsze przyciągało artystów. Bliskość tatrzańskich lasów i atmosfera tajemnicy, która otaczała wyniosłe szczyty, intrygowała malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy i poetów. Pod Tatrami spotykały się najznamienitsze postaci, a także rodziło się wiele nowych talentów. Przyczyniły się do tego m.in. powstałe w Zakopanem szkoły (np. Szkoła Przemysłu Drzewnego), gdzie szlifowano artystyczne umiejętności. Wiele niezwykle zdolnych osób „objawiło się" wówczas wśród miejscowych. Twórczość ludowa została dzięki temu ukazana szerszej publiczności i weszła do głównego nurtu polskiej sztuki. Snycerstwo, haftowanie czy malowanie na szkle zyskiwały rosnące grono admiratorów.

W książce autorka przedstawia sylwetki 22 artystów, którzy tworzyli tytułowe „nasze Zakopane". Praca ta będzie z pewnością świetną pomocą w poszukiwaniach klimatu Zakopanego sprzed kilku i kilkunastu dekad. Autorka wskazuje ludzi, ich dzieła oraz miejsca, zachęcając do własnych przemyśleń. Jej refleksje uzupełniają ciekawe fotografie oraz liczne reprodukcje obrazów. ©℗ *Anna Szczepańska*

BIANKA ROLANDO
„NASZE ZAKOPANE"
BOSZ

Ciekawie o Piłsudskim

Co łączy Wolfganga Templina z bohaterem jego książki, Józefem Piłsudskim? Obaj byli więźniami politycznymi i obaj walczyli z Rosją: jeden z rosyjskim caratem, drugi z rosyjskim komunizmem – w NRD.

Zapewne Templin czuje więc sympatię do Marszałka, ale nie pisze o nim bezkrytycznie. Podtytuł książki brzmi: „Od rewolucjonisty do marszałka". Nie jest to jednak wyłącznie biografia polityczna, Templin pisze także o życiu prywatnym Piłsudskiego. Kreśli jego sylwetkę sprawnym piórem, więc lektura jest przyjemnością. To naprawdę dobra, nie za długa, ale esencjonalna biografia Marszałka. Zawiera wszystko, co należy o nim wiedzieć, bez wchodzenia w szczegóły. ©℗ *Tomasz Stańczyk*

WOLFGANG TEMPLIN
„JÓZEF PIŁSUDSKI. OD REWOLUCJONISTY DO MARSZAŁKA"
BELLONA

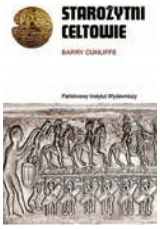

BARRY CUNLIFFE
„STAROŻYTNI CELTOWIE"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

ARCHEOLOGICZNA NIEWIADOMA

Celtowie nie zostawili po sobie żadnych źródeł pisanych, a jednak ich wpływ na dzieje Europy jest niezwykle znaczący. Autor, brytyjski historyk i archeolog, od lat bada fenomen, którym w dziejach Starego Kontynentu byli Celtowie. Dlaczego tak prężnie rozwijająca się kultura upadła w tak krótkim czasie? ©℗ ***(a.s.)***

FELIKS KONECZNY, JOANNA I JAROSŁAW SZARKOWIE
„DZIEJE POLSKI OPOWIEDZIANE DLA MŁODZIEŻY"
ZYSK I S-KA

DZIEJE POLSKI DLA MŁODZIEŻY

Książki Feliksa Konecznego do dziś wzbudzają dyskusje. Przed 100 laty wiele z nich należało do pionierskich. Jedną z nich autor napisał z myślą o młodych czytelnikach. Wspaniale napisana książka została wzbogacona o rozdziały poświęcone najnowszej historii Polski. ©℗ ***(a.s.)***

PETER HEATHER
„UPADEK CESARSTWA RZYMSKIEGO"
REBIS

ANATOMIA UPADKU

Dlaczego w 476 r. Rzym rozleciał się na kawałki? Jeszcze w poprzednim stuleciu Imperium Rzymskie było prawdziwą potęgą. Nie było to więc powolne schodzenie ze sceny dziejów. Peter Heather wskazuje na jeden kluczowy czynnik, który pchnął sąsiadów Rzymu do przenikania przez jego granice, co ostatecznie doprowadziło do implozji. ©℗ ***(p.w)***

eprasa.pl 9e8667b183

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Kochanowski

złośliwy

Mało znany jest fakt, że nasz pierwszy wielki poeta umieszczony został swego czasu w rejestrze autorów zakazanych. Co prawda, na dość niskim szczeblu, nie w rejestrze watykańskim, a lokalnym, polskiego zakonu jezuitów. Miało to jednak spore praktyczne znaczenie, bo jezuici w tym czasie, a mowa o pierwszej połowie wieku XVIII, prowadzili większość szkół. Czym podpadł im autor pieśni „Czego chcesz od nas, Panie" i świetny tłumacz „Psałterza Dawidowego"?

Najlepiej wyjaśni to mało znana – ciekawe dlaczego? – fraszka „O kapłanie":

Prawo jest, aby kapłan nie mógł pojąć żony
Tenże nie ma być w żadnym członku uszczerbiony
Jeśli nie miał mieć żony, mogli go zostawić
Przy uszu – ale jajec lepiej było zbawić.

Celibat księży mistrzowi z Czarnolasu, delikatnie mówiąc, „nie siedział" – sam zrezygnował ze stanu duchownego mimo widoków na dochodowe probostwo, by mu nie podlegać. Podobnych kpin można w twórczości poety znaleźć więcej. Pamiętajmy, że za jego czasów był to temat dość świeży. Pomysł, by wymagać od księży bezżenności, pojawił się wprawdzie wcześniej, ale interpretowano go raczej jako zakaz zawierania oficjalnych związków, które mogłyby skutkować pojawieniem się potomstwa uprawnionego do dziedziczenia po duchownym. Ale żeby tak w ogóle nic? Ten pomysł papiestwa, eksponowany w reformach podjętych wskutek reformacji (za moich czasów zwano je „kontrreformacją", dziś mówi się raczej o „ruchu potrydenckim"), długo uznawano za absurdalny. Przede wszystkim dlatego, że, sądząc po świadectwach epoki, mało który kapłan się mu podporządkowywał, ale też mało który miał na tyle „jajec", żeby – jak inny wielki naszej literatury owych czasów, Stanisław Orzechowski – kontestować papieski nakaz otwarcie i demonstracyjnie łączyć wykonywanie obowiązków kapłańskich z małżeństwem.

> / Celibat księży mistrzowi z Czarnolasu, delikatnie mówiąc, „nie siedział" – **sam zrezygnował ze stanu duchownego mimo widoków na dochodowe probostwo,** by mu nie podlegać

Większość załatwiała sprawę na boku, dostarczając jednym zgorszenia, a innym, w tej liczbie Kochanowskiemu, materiału do niezliczonych kpin z kaznodziejów, co za dnia pouczają, a na noc biorą do łoża małpę. Małpa, wyjaśnię na wszelki wypadek, w dawnej polszczyźnie oznaczała prostytutkę. Fakt, że zetknąwszy się z egzotycznym zwierzęciem, nazwali je Polacy tak brzydko, pozostaje, nawiasem mówiąc, jedną z wielkich zagadek naszego języka – podobnie jak pytanie, dlaczego łacińskie słowo, wymyślone jako wytworny eufemizm na określenie Barbary Radziwiłłówny, której jako królowej nie wypadało nazwać wprost „dziewką", stało się z czasem słowem bardzo wulgarnym, a z kolei obelżywe „kobieta" – neutralnym.

Mniejsza o to: zwracam uwagę, że złośliwe przycinki Kochanowskiego wobec kapłanów nie gorszyły jego współczesnych ani nie przeszkadzały nikomu jeszcze grubo ponad 100 lat po jego śmierci. Religii przecież nie krytykował, tylko jej niegodnych funkcjonariuszy. Zgodnie zresztą z duchem czasów generalnie szlachta polska trwała przy katolicyzmie, ale nie przeszkadzało jej to widzieć w Kościele zagrożenie dla swoich wolności i traktować go z wielką dozą krytycyzmu. Późniejsze umieszczenie tych krytyk na indeksie to jeden z wielu dowodów, jak degenerowała się Rzeczpospolita w czasach saskich. Niestety, historycy wciąż wolą widzieć Sarmację właśnie w jej zdegenerowanej, saskiej formie, zamiast doceniać krainę wolności i zdrowego rozsądku, którą była ona w czasach swej potęgi. ©℗

eprasa.pl 9e8667b183

Piotr Semka

/ Felieton

Biografia pęknięta

23 lipca zmarł Andrzej Milczanowski. Najbardziej znany był z pełnienia funkcji wiceszefa i szefa Urzędu Ochrony Państwa na początku lat 90. Co ciekawe, w mediach ukazało się bardzo niewiele wzmianek wspomnieniowych o tym niegdyś bardzo znanym polityku. Można było nawet odnieść wrażenie, że wokół tej postaci zapanowała jakaś kłopotliwa cisza.

W czynnej polityce w III RP był tylko pięć lat, ale na pewno zaliczyć można go do najbardziej tajemniczych postaci tamtego okresu. Osobiście poznałem Andrzeja Milczanowskiego w 1989 r., gdy byłem reporterem pism solidarnościowych. Zrobił wtedy na mnie dobre wrażenie. Poważny, rzeczowy działacz ze Szczecina, który miał za sobą dwa lata więzienia w stanie wojennym za udział w strajku w szczecińskiej stoczni im. Adolfa Warskiego. Wtedy, w 1989 r., należał do tych solidarnościowców, którzy przestrzegali przed zbyt szybkim braniem władzy od PZPR.

Wiedziałem, że jest doświadczonym prawnikiem, który wspierał swoją wiedzą działaczy „S" ze Szczecina. Dlatego nie zdziwiłem się, że mianowano go w 1990 r. zastępcą szefa Urzędu Ochrony Państwa. „Wysyłamy go do MSW, aby zrobił porządek po bezpiece" – tak wówczas rekomendowali go czołowi działacze związku. Tym większym szokiem była dla mnie w 1991 r. relacja Bronisława Wildsteina, że to właśnie Milczanowski osobiście rozkazał zablokować dostęp do akt SB z lat 70. dotyczących okoliczności zamordowania Stanisława Pyjasa (Wildstein po powrocie z emigracji we Francji robił wszystko, by odnaleźć sprawców śmierci swojego przyjaciela). Milczanowski był jednak niezwykle zdeterminowany. Powoływał się na dobro służb i brak podstaw prawnych do ujawnienia akt SB. Zobaczyłem wtedy w Milczanowskim kogoś, kto w przedziwny sposób z solidarnościowego opozycjonisty zamienił się w człowieka czującego lojalność wobec ludzi dawnych służb.

Pamiętam też, jak na konferencji w MSW ten sam Milczanowski ogłaszał, że w Polsce nie ma mafii. W kraju, w którym wówczas setki, a może i tysiące właścicieli lokali gastronomicznych mogłoby opowiedzieć o wizytach rekieterów żądających haraczu, takie deklaracje wygłaszane nieznoszącym sprzeciwu tonem budziły zdumienie. Wszystko to sprawiło, że gdy w grudniu 1991 r. powstał rząd Jana Olszewskiego, głoszący zamiar przeprowadzenia lustracji, nie zdziwiło mnie odejście Milczanowskiego z funkcji szefa MSW. Oczywiście wrócił na swoje stanowisko natychmiast po „nocy teczek" i obaleniu rządu Olszewskiego. Potem „Gazeta Polska" ujawniła listę agentów wśród posłów i polityków solidarnościowych, którą Milczanowski stworzył dla premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, poprzednika Olszewskiego. Jak wiadomo, zgadzała się ona w znacznej mierze z listą Antoniego Macierewicza, którą wówczas przedstawiano w atakach jako stek kłamstw.

Przez kolejne trzy lata Milczanowski był przedstawicielem prezydenta Wałęsy w lewicowych rządach. Już po wygranej Aleksandra Kwaśniewskiego w grudniu 1995 r. Milczanowski oskarżył nowo powołanego premiera z SLD Józefa Oleksego o bycie sowieckim agentem o pseudonimie Olin. Oleksy zmuszony był podać się do dymisji, ale parę lat później sąd ogłosił, że Oleksy jest w kwestii agenturalności niewinny. Żeby było jeszcze ciekawiej, inny sąd uwolnił Milczanowskiego od zarzutów o nieprawdziwe oskarżenie Oleksego, używając niejasnej formuły o „działaniu w stanie wyższej konieczności".

Po 1996 r. Milczanowski zniknął z życia politycznego, skupiając się na prowadzeniu kancelarii notarialnej w Szczecinie. Uaktywnił się publicznie tylko raz, po wprowadzeniu ustawy dezubekizacyjnej, która za rządów PiS odbierała byłym oficerom SB dodatki emerytalne. Dlaczego po śmierci Milczanowskiego panowała tak powszechna cisza? Obóz liberalny był zakłopotany udziałem byłego szefa MSW w tzw. aferze Olina, a prawa strona pamiętała mu jego nieprawdopodobnie wręcz emocjonalne zaangażowanie na rzecz trzymania akt byłej SB pod kluczem. A ja nie tracę nadziei, że za ileś lat jakiś młody dociekliwy badacz pokusi się o napisanie biografii tej dość makiawelistycznej postaci, która współtworzyła początki III RP. ©℗

eprasa.pl 9e8667b183

1942–1943 / Brytyjskie polowanie na niemiecką ciężką wodę

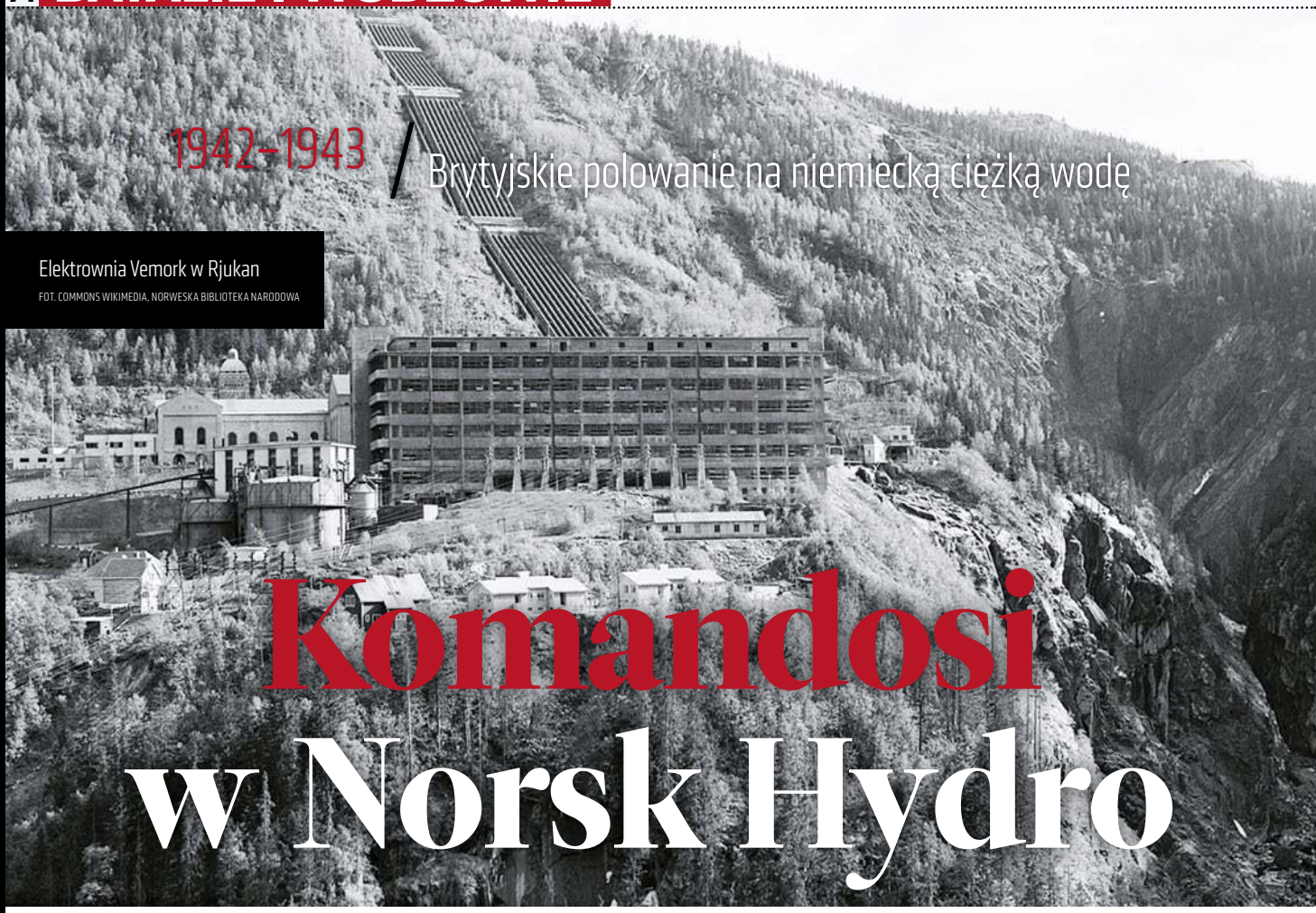

Elektrownia Vemork w Rjukan

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NORWESKA BIBLIOTEKA NARODOWA

Komandosi w Norsk Hydro

Piotr Włoczyk

„Był to najwspanialszy wyczyn, jaki widziałem podczas tej wojny" – powiedział o akcji „Gunnerside" dowódca wojsk niemieckich w Norwegii

Załogi dwóch halifaxów desperacko wypatrywały flar. Był późny wieczór 19 listopada 1942 r. Szybowce holowane przez bombowce miały zostać odczepione nad płaskowyżem Hardanger, który został wybrany przez planistów w Londynie jako dosyć dobre miejsce do lądowania. Jednak zła pogoda i – jak się później miało okazać – fatalny błąd w nawigacji spowodowały, że załogi halifaxów nie miały szansy zobaczyć flar odpalonych przez czekających na ziemi czterech norweskich komandosów (zostali zrzuceni miesiąc wcześniej).

Na pokładach szybowców znajdowała się grupa świetnie wyszkolonych komandosów i saperów mających jedno zadanie – wykoleić program atomowy III Rzeszy. Ich celem był znajdujący się niedaleko w okręgu Telemark zakład Norsk Hydro, zbudowany przy hydroelektrownię Vemork. III Rzesza uzyskiwała w nim ciężką wodę (tlenek deuteru) – związek chemiczny, który był kluczowym elementem niemieckiego programu atomowego

Operacja „Freshman" skończyła się jednak dramatycznie. Szybowce się rozbiły, katastrofie uległ również biorący udział w akcji bombowiec RAF. Spośród 34 komandosów 23 przeżyło zderzenie z ziemią, ale zostali szybko schwytani przez gestapo, a następnie zamordowani. Podczas ekshumacji ich zwłok okazało się, że przed egzekucją związano im ręce drutem kolczastym.

Niemcy odetchnęli z ulgą, ciesząc się z wyeliminowania żołnierzy, którzy mieli zagrozić ich bezcennemu zakładowi. Jednak to wcale nie był koniec tej historii. Czterech norweskich komandosów, którzy czekali na szybowce, wciąż ukrywało się w głuszy, a tymczasem w Londynie Kierownictwo Operacji Specjalnych (SOE) od razu zaczęło przygotowywać kolejną wyprawę mającą zniszczyć instalacje Norsk Hydro.

Grzyb nad Londynem

Brytyjczycy na tamtym etapie wojny bardzo się obawiali niemieckiego programu atomowego. „Wiedzieliśmy, jak

eprasa.pl 9e8667b183

RYS. MARZENA WŁOCZYK

bardzo Niemcy starają się uzyskać ciężką wodę – Winston Churchill wspominał po wojnie. – Te dwa złowieszczo brzmiące słowa, przerażające wręcz, coraz częściej pojawiały się w naszych tajnych dokumentach. A co, jeżeli wróg stworzyłby bombę atomową przed nami?". Churchill aż do 1944 r. bał się niemieckiego uderzenia atomowego na Londyn.

Brytyjczycy zaczęli się obawiać niemieckiego programu atomowego pod koniec 1941 r., gdy ich wywiad ustalił, że III Rzesza znacząco zwiększa produkcję ciężkiej wody. Jedynym miejscem, gdzie Niemcy mogli ją pozyskiwać, był wspomniany Norsk Hydro. Zakład mieścił się w trudno dostępnym miejscu – kompleks postawiono na krawędzi głębokiego wąwozu, w cieniu wysokich gór. Do Norsk Hydro prowadził tylko jeden most, który został przez Niemców świetnie zabezpieczony. Wokół zakładu rozmieszczono też miny i potężne reflektory. Wydawało się, że obiekt produkujący ciężką wodę jest twierdzą nie do zdobycia. SOE znalazło jednak odpowiednich ludzi, którzy byli gotowi podjąć ryzyko.

Jednym z nich był Joachim Rønneberg, 23-letni Norweg, który niecałe dwa lata wcześniej uciekł ze swojej ojczyzny, wraz z siedmioma innymi młodymi mężczyznami, na pokładzie kutra rybackiego. Cała ósemka rwała się do walki o wolną Norwegię i postanowiła przedostać się do Wielkiej Brytanii, gdzie szkoleni byli żołnierze z niemal wszystkich okupowanych przez Niemców państw.

– Wszyscy chcieliśmy walczyć z Niemcami. Gdy pojawiliśmy się na Wyspach, akurat utworzono SOE. Wziąłem udział w bardzo wymagającym szkoleniu dla komandosów – walka wręcz, posługiwanie się wszelakimi rodzajami broni, sabotaż, przetrwanie w dziczy, radzenie sobie w przypadku pojmania. Chciałem jak najszybciej wziąć udział w akcji. I oto nadarzyła się okazja – opowiadał w rozmowie ze mną Joachim Rønneberg.

Młody Norweg został wciągnięty do drugiej misji przeciw Norsk Hydro. Co ciekawe jednak, w trakcie planowania tej operacji ludzie z SOE ani razu nie wymienili przy Rønnebergu terminu „ciężka woda". – Wiedzieliśmy tylko, że ta operacja jest bardzo ważna i że mamy za wszelką cenę zniszczyć rury i aparaturę produkcyjną w zakładzie Norsk Hydro. Nie miałem pojęcia na temat istnienia niemieckiego programu atomowego – opowiadał mój rozmówca. – Dowiedziałem się wtedy o tym tragicznym zdarzeniu z brytyjskimi komandosami… Musieliśmy być gotowi do akcji jak najszybciej.

Mord na nieszczęsnej grupie żołnierzy, którzy mieli wysadzić Norsk Hydro, popełniony został na podstawie Kommandobefehl. Był to rozkaz wydany przez Adolfa Hitlera, który nakazywał rozstrzeliwać pojmanych alianckich komandosów. – To była zbrodnia. Niemcy zamordowali również rannych komandosów! Wiadomo, że przed śmiercią gestapo przesłuchało część z nich. Przed naszą misją poinformowano nas o tym, co stało się z naszymi poprzednikami, więc wiedzieliśmy, że nie możemy dać się pojmać i w razie problemów musimy walczyć do samego końca – opowiadał Rønneberg. – Co ciekawe, Brytyjczycy dali nam swoje mundury, sądząc, że w przypadku schwytania będziemy mimo wszystko mieli większe szanse na przeżycie, niż gdybyśmy polecieli w mundurach z norweskimi naszywkami. Na wszelki wypadek SOE przekazało nam też kapsułki z cyjankiem… Tak czy inaczej ja osobiście uważałem tę misję za bilet w jedną stronę. Jestem przekonany, że nie tylko ja tak myślałem. Wyjść cało z tej misji wydawało się czymś nierealnym, mimo gruntownego szkolenia i wielokrotnego powtarzania planu akcji. Jednak to, co stanie się z nami po misji, nie zajmowało nas tak bardzo jak

Część niemieckiej aparatury do prac nad syntezą jądrową

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NUCLEAR FISSION DEUTSCHES MUSEUM, J. BREW

eprasa.pl 9e8667b183

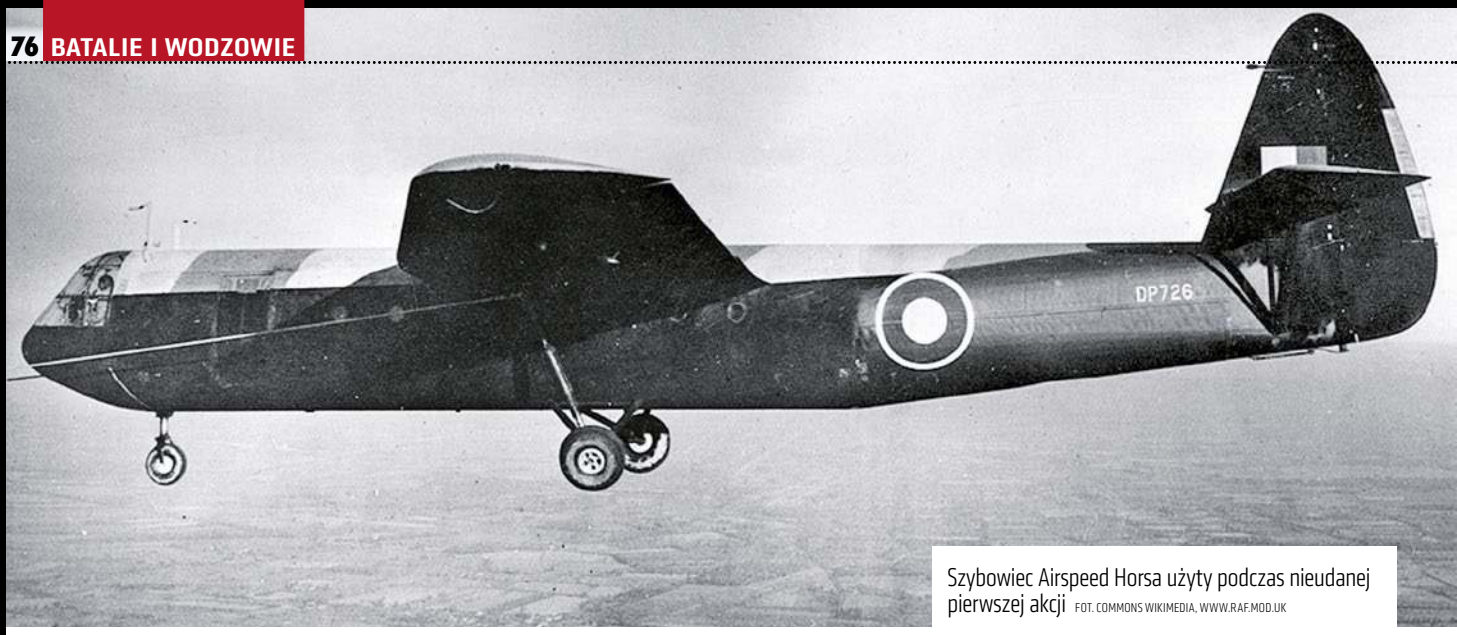

Szybowiec Airspeed Horsa użyty podczas nieudanej pierwszej akcji FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WWW.RAF.MOD.UK

samo wysadzenie w powietrze instalacji. Temu zagadnieniu poświęcaliśmy całą naszą uwagę. Wyjechałem przecież do Wielkiej Brytanii z nadzieją, że będzie mi dane wrócić do Norwegii i walczyć o wolność.

Przypadkowy przecinak

16 lutego 1943 r. samolot RAF zrzucił nad południową Norwegią sześciu norweskich komandosów. Ich misji nadano kryptonim Gunnerside. Dowódcą oddziału był właśnie Joachim Rønneberg. Skoczkowie połączyli się po kilku dniach ze zrzuconymi w październiku poprzedniego roku czterema komandosami. Dwanaście dni później Norwegowie przystąpili do właściwej akcji.

– Wylądowaliśmy w bardzo trudnym terenie. To była prawdziwa norweska zima – działaliśmy w górach na wysokości ponad tysiąca metrów. Nasz cel umiejscowiony był nad głębokim wąwozem z bardzo stromymi ścianami. Jeden jedyny most przerzucony przez wąwóz był doskonale zabezpieczony przez Niemców, wisiał na wysokości ok. 70–80 metrów nad płynącą w dole rzeką. Nie było mowy, żebyśmy w kilka osób mogli się przez niego przedrzeć. Zostawało nam więc tylko pokonanie tych stromych ścian... Jeden z nas sprawdził wcześniej, czy da się pokonać tę trasę. Okazało się, że było to możliwe, choć stając na krawędzi wąwozu, wydawało się to absolutnie niewykonalne. Niemcy uważali, że nie sposób sforsować ścian wąwozu, w związku z czym nie zabezpieczyli odpowiednio bocznego wejścia na teren fabryki. Weszliśmy więc niepostrzeżenie właśnie bokiem – opowiadał Rønneberg.

W tym momencie okazało się, jak wielką rolę potrafi odegrać w takich zaplanowanych w najmniejszych detalach misjach kompletny przypadek. Kilka tygodni przed akcją w Norsk Hydro Joachim Rønneberg wybrał się, jeszcze podczas szkolenia w Cambridge, do kina. Po drodze przechodził obok sklepu z artykułami metalowymi i z niewiadomych przyczyn jego uwagę przyciągnął wystawiony w witrynie przecinak do metalu. Norweski komandos postanowił kupić ten przyrząd „na wszelki wypadek".

– Gdy zakradaliśmy się pod ogrodzenie zakładu produkującego ciężką wodę, okazało się, że kupno tego przecinaka było bardzo dobrym pomysłem. Piłka do metalu, w którą wyposażyli nas Brytyjczycy, była bowiem do niczego i bez przecinaka mielibyśmy olbrzymie problemy z cichym wejściem na teren kompleksu – śmiał się, opowiadając mi tę historię.

Najważniejsze, że Niemcy nie wszczęli alarmu, więc norwescy komandosi wciąż byli „niewidzialni" – ich cel był już dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Przerwa na okulary

– Na terenie kompleksu podzieliliśmy się na dwie drużyny: jedna (złożona z czterech ludzi) pilnowała budki strażniczej, a druga przekradła się do głównego budynku, żeby podłożyć ładunki wybuchowe. Ja byłem w tej drugiej. Mieliśmy wejść do tego budynku bocznymi drzwiami, ale człowiek, który miał je zostawić otwarte dla nas, nie zrobił tego. Bodajże rozchorował się i nie mógł przyjść do pracy. Musieliśmy więc wymyślić coś innego. Ja wślizgnąłem się do środka przez wąski tunel z kablami elektrycznymi, a koledzy weszli z drugiej strony przez okno. Wszystko w środku wyglądało tak, jak nam wcześniej opowiedziano. Mieliśmy bardzo dobre informacje wywiadowcze. W hali produkcyjnej był wtedy tylko jeden człowiek – norweski

Ampułki z ciężką wodą produkcji Norsk Hydro FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALCHEMIST HP, PSE-MENDELEJEW.DE

eprasa.pl 9e8667b183

pracownik tego zakładu. Nie sprawiał nam jednak problemów, wykonywał nasze polecenia. Bez zwłoki zaczęliśmy podkładać ładunki wybuchowe. Wszystko szło bezproblemowo, aż tu nagle ten mężczyzna zaczyna biadolić, że... zgubił gdzieś okulary – opowiadał Rønneberg. – Pomogliśmy mu je znaleźć. Trzeba było widzieć tę sytuację – ten człowiek płakał prawie, mówiąc, jak ciężko jest dostać w okupacyjnych warunkach okulary... Chwilę później byliśmy już gotowi do wysadzenia zakładu. Postanowiłem tu trochę zmodyfikować plan i skróciłem lonty – zamiast dwóch minut mieliśmy na ucieczkę 30 sekund. Dzięki temu ograniczaliśmy ryzyko udaremnienia sabotażu. Uciekając, usłyszeliśmy wybuch, więc mieliśmy pewność, że instalacja, która tak interesowała Brytyjczyków, została zniszczona.

Norsk Hydro wyleciał w powietrze, a przy tym komandosi nie musieli wystrzelić ani jednego pocisku! Do pełnego sukcesu brakowało jeszcze tylko bezpiecznej ewakuacji norweskich patriotów w brytyjskich mundurach. Wbrew pozorom nie była to prosta rzecz. Norwegia nasycona była bowiem niemieckimi wojskami. Dość powiedzieć, że jeden okupant przypadał tam na dziewięciu mieszkańców!

– Hitler trzymał w tym malutkim kraju, liczącym zaledwie 3 mln mieszkańców, wielkie siły. On sam narzekał, że w Norwegii stacjonowało 400 tys. niemieckich żołnierzy – powiedział „Historii Do Rzeczy" Asbjørn Jaklin, norweski dziennikarz i wydawca, badacz okresu okupacji, autor książki „Bitwa o Narwik. 62 dni desperackiej walki". – To była olbrzymia armia, w większości stacjonująca na północy. Wszystko dlatego, że Hitler bał się brytyjskiej inwazji. To nie była fantazja. Winston Churchill prosił swoich generałów o przygotowanie planów wielkiej inwazji Norwegii.

Norwescy komandosi musieli się przedrzeć do Szwecji. Drogę (ponad 300 km!) mieli pokonać na nartach, kłopot polegał jednak na tym, że ścigało ich kilka tysięcy niemieckich żołnierzy (niektóre źródła mówią o nawet 10 tys.).

– Dysponowaliśmy bardzo dobrym sprzętem i świetnymi mapami. Pogoda też nie była najgorsza. W sumie wspominam te 18 dni jako całkiem przyjemną wycieczkę krajoznawczą po Norwegii (śmiech) – opowiadał Joachim Rønneberg. – Cały czas mieliśmy na sobie mundury, ale dojeżdżając do granicy, wyrzuciliśmy je i założyliśmy ubrania cywilne. W tamtym okresie Szwedzi wciąż nie wiedzieli, kto wygra wojnę – byli ostrożni, więc zgłosiliśmy się jako norwescy uchodźcy. Wpuszczono nas, kilka dni byliśmy trzymani w specjalnym ośrodku. Szwedzi łyknęli bajeczkę o uchodźcach i pozwolili nam pojechać do Sztokholmu. Tam skontaktowaliśmy się z brytyjską ambasadą i po kilku dniach byliśmy już w Londynie. Spotkaliśmy się tam z dosyć ciepłym przyjęciem (śmiech).

Haakon VII dekoruje uczestników akcji. Pierwszy z lewej: Joachim Rønneberg FOT. LEIF KROHN ØRNELUND/OSLO MUSEUM

Nic dziwnego, że gratulacjom nie było końca – wyczyn komandosów pod dowództwem Rønneberga był prawdziwym majstersztykiem. Bodaj najlepszy komplement sprawił tym mężnym chłopakom z kraju fiordów gen. Nikolaus von Falkenhorst – dowódca wojsk niemieckich w Norwegii – który powiedział później: „Był to najwspanialszy wyczyn, jaki widziałem podczas tej wojny".

Niewiara Niemców

Joachim Rønneberg doczekał się za życia pomnika. Wzniesiono go 10 lat temu w jego rodzinnym Ålesund, a w ceremonii odsłonięcia brała udział m.in. księżniczka Astrid (ur. 1932 r.), córka króla Olava V.

Asbjørn Jaklin nie ma wątpliwości: – Joachim Rønneberg to wielki norweski bohater! Jesteśmy bardzo dumni z naszego prężnie działającego ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej.

Bohaterski – ale osobiście bardzo skromny – komandos zmarł w 2018 r. w wieku 99 lat. Kondolencje płynęły wówczas w ogromnej masie z Wielkiej Brytanii, gdzie do końca pamiętano o niesamowitym wyczynie Norwegów, który ukoił na pewien czas obawy Brytyjczyków przed niemiecką bombą atomową. W samej Norwegii bohatera żegnały tłumy. „To jeden z naszych największych herosów" – podkreślała ówczesna norweska premier Erna Solberg.

Po wojnie okazało się, że obawy Brytyjczyków były mocno przesadzone. Niemiecki program atomowy w rzeczywistości jeszcze na samym początku utknął w martwym punkcie – przede wszystkim dlatego, że brakowało im uranu. Można powiedzieć, że zniszczenie zakładu Norsk Hydro pogrzebało do reszty trupa, którym był niemiecki program atomowy.

O tym, jak zaawansowane były w III Rzeszy prace nad bombą atomową, wiele mówi reakcja grupy niemieckich fizyków jądrowych na wieści płynące z Hiroszimy. Naukowcy pracujący w programie atomowym Hitlera trzymani byli latem 1945 r. przez Brytyjczyków w posiadłości Farm Hall, która naszpikowana była aparaturą podsłuchową. W prywatnych rozmowach dosyć zgodnie twierdzili oni, że taki wybuch byłby niemożliwy i Amerykanie na pewno blefują. Niemieccy naukowcy uważali bowiem, że zbudowanie tak potężnej bomby to kwestia kilku dekad. „Nie wierzę w ani jedno słowo w tej całej sprawie" – powiedział wówczas Werner Heisenberg, szef niemieckiego projektu atomowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

1914–1918 / Umocnienia polowe w pierwszej wojnie światowej

Wojna okopowa

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Obrazy docierające z Ukrainy broniącej się przed rosyjskim najazdem jako żywo przypominają sceny sprzed 110 lat. Pierwsza wojna światowa była konfliktem, w którym budowa umocnień polowych przybrała skalę bezprecedensową

Pozowane zdjęcie żołnierzy armii austro-węgierskiej na froncie wschodnim FOT. ARCHIWUM AUTORA

Wojna pozycyjna kojarzy się przede wszystkim z frontem zachodnim, gdzie przybrała najbardziej trwałą formę, a stopień koncentracji technicznych środków bojowych był największy. Walki toczone w Belgii i we Francji wywierały wpływ na wszystkie inne teatry działań, tutaj też rozstrzygnęły się losy wojny. Niemniej jednak zjawisko okresowo występowało na wszystkich frontach, zwłaszcza wschodnim i włoskim (tam wojna okopowa miała postać walk wysokogórskich, a przeciwnikiem była przede wszystkim sama natura), z najbardziej typowymi elementami walk pozycyjnych. Były nimi rozbudowane w głąb linie okopów, użycie gazów bojowych i elitarnych oddziałów szturmowych etc. Zbliżony charakter miały też próby wyjścia z impasu, a rosyjska ofensywa Brusiłowa czy walki pod Caporetto swoją skalą niewiele ustępowały zmaganiom nad Sommą czy pod Verdun.

Okopy nie były wynalazkiem pierwszej wojny światowej, a geneza umocnień ziemnych sięga starożytności (mistrzostwo w tej materii osiągnęli Rzymianie). Ich budowa stała się prawdziwą sztuką na przełomie wieków XVII i XVIII, gdy za sprawą francuskiego inżyniera Sebastiana Vaubana oblężenia przybrały postać matematycznej łamigłówki znaczonej kilometrami precyzyjnie wytyczanych okopów i korytarzy minowych. Zaciekłe walki toczone o Sewastopol podczas wojny krymskiej, amerykański Fredericksburg w trakcie wojny secesyjnej, a także o Plewnę (wojna rosyjsko-turecka) i Port Artur (konflikt rosyjsko-japoński) udowodniły, że rów strzelecki w połączeniu ze zmasowanym ogniem karabinowym potrafią na długi czas powstrzymać i zdziesiątkować nawet pięciokrotnie silniejszego przeciwnika.

Niemniej jednak były to oblężenia, w trakcie których pozbawione odsieczy i zaopatrzenia twierdze prędzej czy później ulegały przewadze atakującego. Nikt nie przypuszczał, by wojnę pozycyjną mogły ze sobą toczyć milionowe armie polowe, które odgrodziwszy się setkami kilometrów umocnień na wzór rzymskiego limesu, zdolne byłyby do długotrwałej obrony „karmionej" niezakłóconymi dostawami zaopatrzenia, amunicji i ludzkich rezerw. Niemal wszędzie panował duch ofensywny, a śmiały atak na bagnety – rodem z czasów fryderycjańskich – przesądzać miał o wyniku natarcia: „Jeżeli stronie nacierającej nawet po rzuceniu do boju wszystkich karabinów nie uda się wywalczyć przewagi ogniowej, dowódca winien jednak o tym pamiętać, że powodzenie jest udziałem wytrwałych i że wytrwanie bez wyjątku jest lepsze, mniej powoduje strat niż odwrót […]. Piechota przepojona duchem zaczepnym, fizycznie i moralnie wytrwała, dobrze wyszkolona i dobrze prowadzona nawet w najcięższych warunkach będzie walczyła z powodzeniem. Piechota zwalcza przeciwnika ogniem, a bagnetem łamie jego ostatni opór" (regulamin armii austro-węgierskiej z 1911 r.).

Na początku konfliktu rzeczywiście walczono w oparciu o takie regulaminy, co doprowadziło do niewyobrażalnych strat (rok 1914 okazał się najkrwawszym w ciągu całej wojny) i wyczerpania walczących armii. Wobec morderczego, skoncentrowanego ognia atakująca piechota okazała się bezsilna. Sytuację tą doskonale oddają słowa przyszłego prezydenta Francji Charles'a de Gaulle'a, podówczas podporucznika 33. Pułku Piechoty: „Spokój, którym zarażali oficerowie ginący na stojąco; bagnety zakładane na karabiny przez kilka zawziętych plutonów; trąbki dodające odwagi;

eprasa.pl 9e8667b183

nadzwyczajne ofiary samotnych bohaterów [...] nic nie pomaga. W mgnieniu oka okazuje się, że wszystkie cnoty świata nie ochronią przed ogniem". Żołnierska cnota rzeczywiście nie mogła ochronić przed ogniem nowoczesnej broni palnej, dlatego żołnierzy stłoczono w okopach.

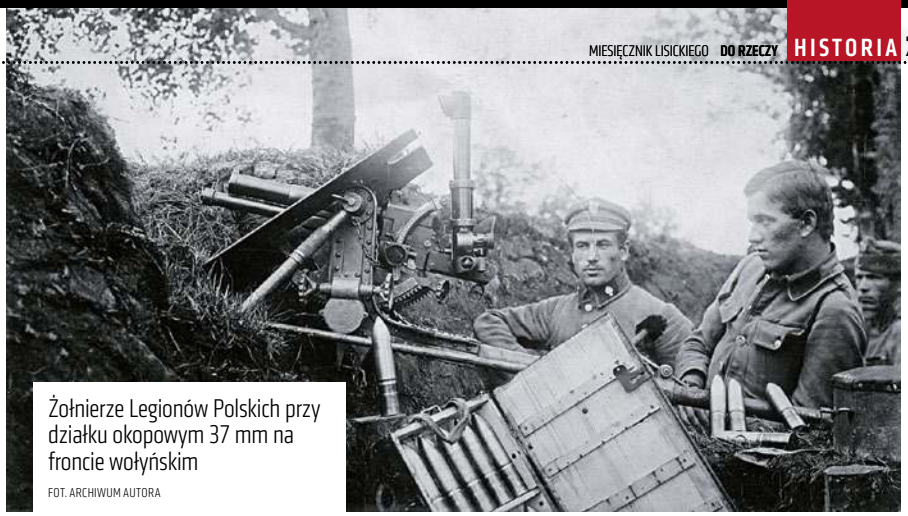

Żołnierze Legionów Polskich przy działku okopowym 37 mm na froncie wołyńskim

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Trzypozycyjna rubież

Jesienny „wyścig do morza" i listopadowe walki we Flandrii w 1914 r. zakończyły działania manewrowe na froncie zachodnim. Rozpoczął się okres walk pozycyjnych trwający do 1918 r. Dopiero za sprawą czołgu – a przynajmniej z dużym jego udziałem – udało się powrócić do manewru. W ciągu tego długiego okresu budowa umocnień polowych stała się prawdziwą sztuką, wzrosło ogromnie znaczenie wojsk inżynieryjnych. Kształtowanie linii obronnych oraz ich charakter podlegały ciągłemu doskonaleniu, wynikającemu z nowych doświadczeń i coraz bardziej niszczycielskiego działania artylerii. Gdy na początku 1915 r., podczas pierwszej ofensywy sprzymierzonych w Szampanii, ostrzał armatni trwał zaledwie kilka godzin (100 ciężkich dział), jesienią tego samego roku przygotowanie natarcia pod Artois (660 dział dużego kalibru) zajęło już blisko tydzień. W obu przypadkach efekty ofensywy były mizerne, wdarto się do 3 km w głąb linii niemieckich.

Przyczyna niepowodzeń tkwiła w bardzo głębokim urzutowaniu wojsk, które rozmieszczano na kilku pozycjach obronnych. Zazwyczaj budowano dwie lub trzy pozycje. Pierwsza – główna, składająca się z kilku linii okopów oddalonych od siebie o 100–200 m – wspierana była przez tyłową, znajdującą się kilka kilometrów za linią frontu, poza zasięgiem artylerii przeciwnika. Z czasem pomiędzy tymi dwoma zaczęto tworzyć tzw. pozycję ryglową. Trzypozycyjna rubież składała się z pozycji wysuniętej, głównej i tyłowej, dodatkowo wzmocnionej ryglową. Głębokość sięgała zazwyczaj kilkunastu kilometrów, ale mogła dochodzić nawet do kilkudziesięciu (na froncie wschodnim do 30 km). Oczywiście priorytetem były względy obronne, nie można jednak zapominać, że tak głębokie urzutowanie umożliwiało rozmieszczenie odpowiedniej liczby magazynów z materiałami budowlanymi i żywnością, składów amunicyjnych, punktów sanitarnych, latryn i schronów biernych. Okopy budowano różne, w zależności od charakteru terenu, podłoża i dostępności materiałów. „Rowy muszą być tak głębokie, aby uniemożliwiały przeciwnikowi obserwowanie ruchu w naszych okopach, a więc możliwie 2 m 50, i tak szerokie, aby nie mogły być łatwo zasypane, oraz aby pozwalały na stały ruch (transport rannych, przenoszenie amunicji i materiałów budowlanych itd.). Gdzie okopy są zbyt wąskie, należy porobić wymijanie lub 10 do 12 m, z tyłu okopu założyć specjalny rów do komunikacji, tak zwany »rów komunikacyjny«, połączony dużą ilością rowów łącznikowych z okopem" – pisał w 1920 r. Stefan Rowecki (późniejszy „Grot") w swym znakomitym studium o umocnieniach polowych.

Zasieki i potykacze

Linie okopów posiadające wydzielone stanowiska strzeleckie, tzw. zatoki oraz lisie jamy (schrony), były kręte, dzięki czemu ograniczano rozrzut odłamków i skutki ostrzału skrzydłowego w przypadku wdarcia się przeciwnika. Budowano specjalne stopnie dla strzelców, a nawet oparcia dla łokcia przy składaniu się do strzału. Przedpiersia wzmacniano workami z piaskiem. Na przedpiersia wysuwano stanowiska obserwacyjne oraz snajperskie. Zarysowała się tendencja kopania coraz głębiej, co zmuszało do szalowania ścian (wykorzystywano rozmaity materiał: deski, faszynę, blachę falistą). Nie wszędzie było to jednak możliwe; w leżącej na depresji Flandrii okopy „rosły" w górę. Linie transzei wzmacniano punktami oporu, zazwyczaj dobrze zamaskowanymi i połączonymi systemem rowów łącznikowych. Trudną przeszkodą do pokonania były szerokie pasy zasieków z drutu kolczastego. Starano się je wytyczać w taki sposób, aby uniemożliwić przeciwnikowi zbliżenie się do okopu na odległość rzutu granatem, ale jednocześnie zapewnić pełne pokrycie ogniem własnej broni strzeleckiej. Innym zadaniem systemu przeszkód było kanalizowanie ataków wroga w wybranym miejscu, zwykle znajdującym się pod kontrolą karabinów maszynowych.

Oprócz drutów kolczastych utrapieniem nacierających żołnierzy były żelazne potykacze w formie ostrych kolców (znane od starożytności), które setkami rozrzucano na przedpolach okopów. Kaleczyły nogi i utrudniały czołganie. Do perfekcji doprowadzono sztukę kamuflażu, pojawiły się siatki maskujące, sztuczne drzewa etc. Pod koniec wojny Niemcy na masową skalę zaczęli wzmacniać swe pozycje bunkrami żelbetonowymi (np. Linia Hindenburga). Tak rozbudowana i nasycona rozmaitymi przeszkodami pozycja obronna powodowała, że nawet jej przełamanie, zazwyczaj okupione kolosalnymi stratami, nie gwarantowało sukcesu, ponieważ przeciwnik miał zazwyczaj dość czasu, aby przerzucić odwody i skoncentrować je na kolejnej pozycji. Atakująca piechota, pozbawiona wsparcia artylerii, która nie sięgała w głąb rubieży nieprzyjaciela, musiała prędzej lub później zalec pod ogniem artylerii, wszędobylskich karabinów maszynowych i snajperów. Dopiero czołg umożliwił jej przerwanie tego koszmarnego impasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Piotr Zychowicz

Polska powinna ogłosić neutralność wobec konfliktu Niemców z Sowietami. Drogą do odbudowy Rzeczypospolitej był upadek obu totalitarnych molochów

Józef Beck i niemieccy generałowie Blomberg i Fritsch FOT. NAC

1941 r. / Polska wobec wojny III Rzeszy i ZSRS

Między Stalinem a Hitlerem

22 czerwca 1941 r. Hitler zaatakował Stalina. Wojna sowiecko-niemiecka stała się faktem. Tragiczna dla Polski koniunktura dobiegła końca, dwaj okupanci wzięli się za łby. Rozpoczęcie tego konfliktu postawiło kierownictwo polityczne i wojskowe Rzeczypospolitej przed dylematem: Jak zachować się wobec wojny?

Możliwości były oczywiście trzy:

1) opowiedzieć się po stronie Niemiec;

2) opowiedzieć się po stronie Związku Sowieckiego;

3) zachować neutralność wobec konfliktu dwóch wrogów.

Logika jasno wskazywała, że skoro we wrześniu 1939 r. Rzeczpospolita została napadnięta przez dwóch wrogów i przez dwóch wrogów została rozebrana, to niepodległość odzyska, jeżeli obaj ci wrogowie zostaną pokonani.

Oprócz logiki wskazywało na to również niedawne doświadczenie historyczne. W wyniku pierwszej wojny światowej Rzeczpospolita odrodziła się niczym Feniks z popiołów właśnie dlatego, że konflikt ten przegrały zarówno Niemcy, jak i Rosja. Najpierw w roku 1917 Niemcy rozbiły Rosję, a rok później same załamały się na froncie zachodnim. W efekcie Polacy nie tylko odzyskali wolność, lecz także rozepchnęli się łokciami na mapie Europy.

Jasne więc było, że podczas kolejnego światowego konfliktu Polska będzie mogła odzyskać niepodległość, tylko jeśli ten scenariusz się powtórzy. Dla wielu

eprasa.pl 9e8667b183

Polaków wychowanych na PRL-owskiej propagandzie to teza szokująca, ale jest ona trudna do podważenia.

Na opak

Polska mogła wyjść zwycięska z ostatniego konfliktu europejskiego wyłącznie wtedy, gdyby na froncie wschodnim III Rzesza pokonała Związek Sowiecki. A w drugiej fazie wojny kapitulowała na zachodzie na rzecz Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Bezsporność tej tezy potwierdził przebieg wydarzeń. Polska przegrała wojnę dlatego, że wygrał ją Związek Sowiecki. Załamanie się III Rzeszy nie przyniosło nam automatycznie odzyskania wolności. Na placu boju pozostał bowiem zwycięski Związek Sowiecki, który naszą ojczyznę zalał swoimi armiami i ujarzmił. W efekcie na niepodległość musieliśmy czekać aż do czasu, gdy to państwo się załamało. Niestety, nastąpiło to dopiero w roku 1991.

Jest oczywiste, że w interesie Polski leżało, żeby Sowiety upadły wcześniej, już podczas wojny. Niestety, postąpiliśmy na opak, podejmując działania mające na celu pomoc bolszewikom w zwyciężeniu Niemcy.

Można to wymienić choćby akcję „Wachlarz", czyli antyniemiecką dywersję na zapleczu frontu wschodniego. Kolejny przykład: udział polskich okrętów w konwojach transportujących anglosaską broń przeznaczoną dla Armii Czerwonej.

Wszystko to było skutkiem błędnej polityki sterowanego przez Brytyjczyków rządu na uchodźstwie.

Nie, nie są to żadne wydumane teorie snute po latach zza biurka. Podczas wojny byli Polacy, którzy tak rozumowali i usiłowali zawrócić naród z drogi wiodącej ku przepaści. Mało tego – na początku zdrowy rozsądek zdawał się dominować nawet wśród czynników kierowniczych Polskiego Państwa Podziemnego.

Zacznijmy od „Biuletynu Informacyjnego", oficjalnego organu Związku Walki Zbrojnej, poprzednika Armii Krajowej. W pierwszym numerze tego pisma, który ukazał się po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, zamieszczony został artykuł pod wiele mówiącym tytułem „Panu Bogu chwała i dziękczynienie".

Podpisanie umowy Sikorski-Majski

FOT. NAC

Żaden z nas nigdy nie wątpił w zwycięstwo Wielkiej Brytanii nad Niemcami – pisał jego autor. – Ale dalekowzroczni politycy polscy z troską myśleli o tej chwili, w której runie wreszcie potęga germańska, gdyż oprócz nas na ten dzień zachwiania się Niemiec czekał również olbrzym rosyjski, potężnie uzbrojony, nietknięty wyczerpaniem wojny. To, co się stało 22 czerwca 1941 roku, wyzwala nas od zmory nierównej walki z Moskwą nazajutrz po załamaniu się Rzeszy. Albowiem przed własnym upadkiem Rzesza przygotuje Polsce cudny dzień na odrodzenia podarunek: podważenie, a może nawet rozbicie imperium sowieckiego!

W „Biuletynie Informacyjnym" z 3 lipca 1941 r. napisano, że w wojnie między Hitlerem a Stalinem „dla wyzwolenia naszej Ojczyzny korzystniejsza jest przegrana Sowietów". A trzy tygodnie później artykuł wstępny pisma nosił charakterystyczny tytuł „Nie martwmy się niemieckimi zwycięstwami".

Sukcesy niemieckie na Wschodzie wywołały w niektórych środowiskach polskich zdenerwowanie i przygnębienie – pisał autor. – Czy istnieją choćby najmniejsze powody do smutku? Stanowczo nie. Rozbicie zaborczej potęgi moskiewskiej jest nieodzownym warunkiem dla odzyskania przez nas wolności.

Święte słowa! Jest to jedno z najmądrzejszych zdań napisanych przez Polaków podczas drugiej wojny światowej. Szkoda, że tak szybko o nim zapomniano.

Wydaje się, że na ówczesne ideowe oblicze Polskiego Państwa Podziemnego olbrzymi wpływ miał pierwszy dowódca ZWZ gen. Stefan Grot-Rowecki. W rozkazie wysłanym jeszcze w 1940 r. do komendantów okręgów wschodnich pisał on:

Najwygodniejszym dla nas rozwiązaniem byłoby, gdyby Niemcy, zaatakowawszy Rosję, zniszczyli jej siłę militarną.

Jak widać, był to nie tylko znakomity żołnierz, oficer obdarzony olbrzymim autorytetem i charyzmą, lecz także człowiek zdolny do racjonalnego politycznego myślenia. Aresztowanie go w roku 1943 przez Niemców było jedną z największych polskich tragedii drugiej wojny światowej.

Tymczasem w 1941 r. podobne nastroje panowały również wśród wojska na wychodźstwie. Zastępca szefa Sztabu Naczelnego Wodza płk Leon Mitkiewicz po powrocie z Ameryki w końcu czerwca notował:

W całym sztabie w Londynie zostałem nastroje oczekiwania – nie chcę powiedzieć, że radosnego – że za parę tygodni Rosja będzie definitywnie rozbita i że Niemcy w tryumfie zakończą wojnę z Rosją w Moskwie, obalając ustrój sowiecki.

Rozbudzone nadzieje

Ten nastrój radości, o którym bał się napisać wprost Mitkiewicz, był w pełni uzasadniony.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej – pisał Władysław Studnicki – rozbudził nadzieję nawet u tych, którzy zwątpili w pomyślny obrót wypadków. Z rozrzewnieniem i ze łzami w oczach przysłuchiwano się radiowemu obwieszczeniu wojny. Pamiętano, że Polska zawdzięcza swą niepodległość klęskom Rosji, a zwrot zachodnich swoich dzielnic zwycięstwu Aliantów. Przez klęskę Rosji odzyskamy nasze wschodnie dzielnice, przez porażkę Niemiec w walce z Ameryką i Anglią odzyskamy niepodległość.

Cytować tak można by jeszcze długo. Jak widać, nie brakowało w Polsce rozsądnych ludzi. Jaką wobec tego postawę powinni byli zająć Polacy w obliczu wojny między Hitlerem a Stalinem? Sojusz z Niemcami nie wchodził w grę i możemy tę ewentualność od razu odrzucić. Obie strony nie miały na to najmniejszej ochoty. Skoro więc nie mogliśmy Niemcom pomóc w tak pożądanym dla nas dziele zniszczenia Związku Sowieckiego, to chociaż nie powinniśmy byli im w tym przeszkadzać.

W interesie państwa polskiego było ogłoszenie ścisłej neutralności wobec konfliktu niemiecko-sowieckiego. I, co ciekawe, ta neutralność została ogłoszona.

Przypominamy – pisał „Biuletyn Informacyjny" – że polskie czynniki miarodajne w kraju wyraźnie określiły, że Polaków obowiązuje na terenie obu okupacji wroga w stosunku do obu najeźdźców neutralność. Stwierdzamy z całym naciskiem, że ktokolwiek z Polaków odważy się dobrowolnie pomagać którejkolwiek ze stron – uznany będzie za zdrajcę.

Bardzo to było słuszne. Problem polegał tylko na tym, że zgodnie z tą definicją już niedługo za zdrajców należałoby uznać rząd w Londynie z premierem i ze wszystkimi ministrami. Premier Władysław Sikorski 30 lipca 1941 r. podpisał bowiem pakt ze Stalinem, który do historii przeszedł jako układ Sikorski-Majski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9e8667b183

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

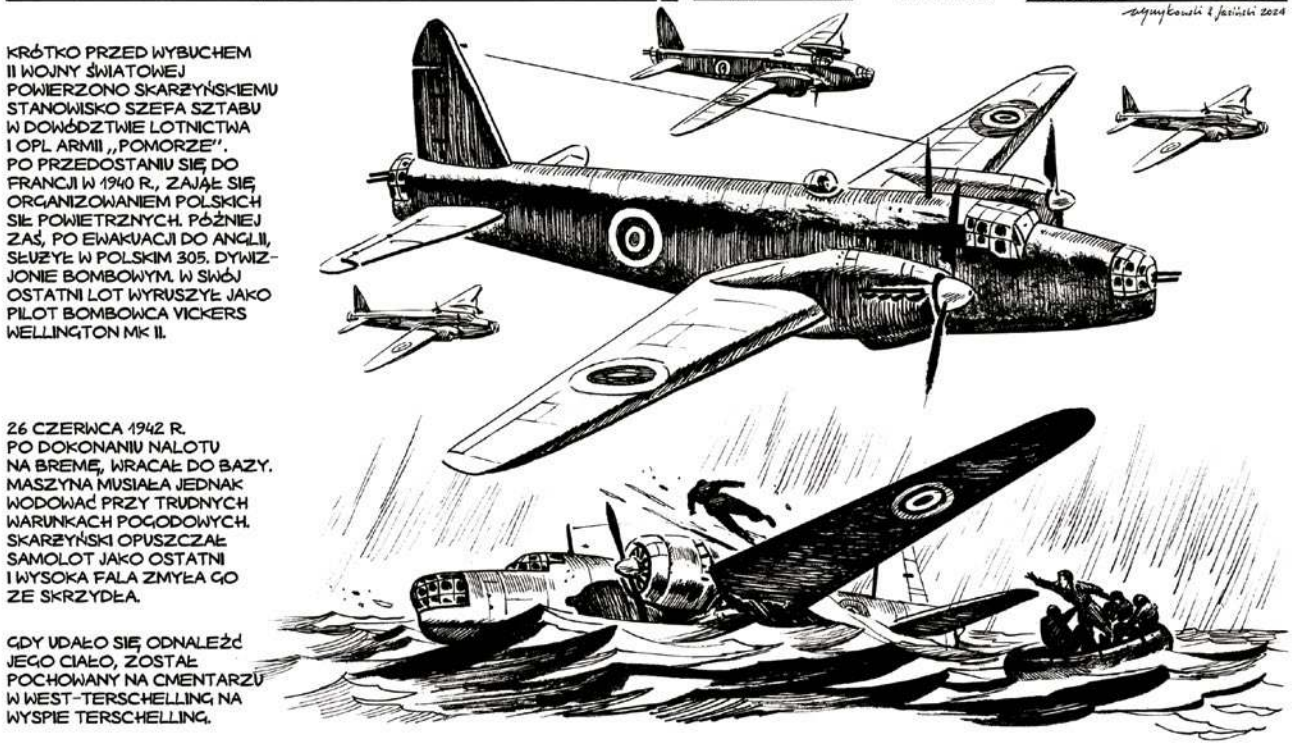

eprasa.pl 9e8667b183

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROGER MANVELL, HEINRICH FRAENKEL: „HIMMLER. ZBRODNIARZ GOTOWY NA WSZYSTKO"

Himmler. Zbrodniarz gotowy na wszystko

„Z perspektywy Himmlera jego osobistą tragedię stanowiło to, że choć tak bardzo pragnął sprawować rządy, to okazał się całkowicie niezdolny do przynoszącego jakiekolwiek pozytywne efekty wykorzystania posiadanej wiedzy. Choć wspomnienie jego nazwiska budziło przestrach w sercach milionów ludzi, to on sam pozostał nerwowy, wręcz bojaźliwy i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, kiedy Hitler go krytykował. A jednak to Himmler z końcem wojny trzymał w rękach wszystkie karty atutowe, które jeszcze pozostawały nazistowskim Niemcom, i przez wielu był uważany za pewnego sukcesora Hitlera".
/Wprowadzenie, fragment/

Heinrich Himmler – szef SS i Gestapo oraz jeden z głównych realizatorów ludobójczego programu „ostatecznego rozwiązania" kwestii żydowskiej – należał do najpotężniejszych i budzących największą grozę ludzi w nazistowskich Niemczech. Autorzy tej klasycznej już biografii – w której wykorzystano między innymi zdobyte przez Amerykanów dokumenty przekazane po wojnie do Bundesarchiv (Niemieckich Archiwów Federalnych) oraz zapisy rozmów z krewnymi Himmlera i członkami jego personelu – pokusili się o wnikliwą analizę tego, jak z pozoru przeciętny młodzieniec wyrósł na ogarniętego obsesją i przesądnego człowieka, odpowiedzialnego za zgładzenie milionów ludzi.

Książka ta, pełna intrygujących informacji na temat życia osobistego Himmlera, jego poczynań i przekonań, zasługuje na miano głębokiego studium historycznego, poświęconego najbardziej mrocznej postaci spośród nazistowskich przywódców.

157 zł

oszczędność 48 zł

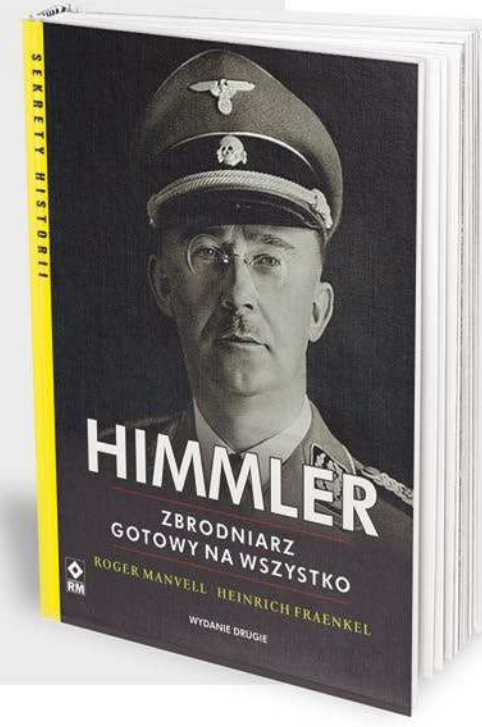

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9e8667b183

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Od 12 lipca Republika rozpoczęła nadawanie na ogólnopolskim naziemnym multipleksie MUX-8 na kanale 51.
Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

eprasa.pl 9e8667b183